CZĘŚĆ II

Był 13 stycznia 1945 roku. Krótki zimowy dzień miał się ku końcowi. Wszystko powoli zaczynało tonąć w mroku. Wracałem do mojej szkoły z codziennego obchodu chat we wsi, w których doglądałem nauki dzieci. Szkoła jest zamknięta. Nie chcę by dzieci czas marnowały. Jak mogę, tak im po chatach w nauce dopomagam. Gospodarze płacą mi za to. Wracałem właśnie do siebie z bochenkiem pysznego świeżego chleba. Już z daleka po przez mrok dostrzegłem przed szkołą furmankę i kręcących się wokół radzieckich żołnierzy. Jakoś wydało mi się to dziwne, nie podejrzewałem jednak niczego złego. Moje złe przeczucie, jakie miałem od dłuższego czasu, tym razem we mnie zamilkły. Przeczucia te nurtowały mnie oddawna, Coraz silniej kształtowała się we mnie świadomość, że zostanę aresztowany. Widziałem siebie już w NKWD, w otoczeniu enkawudzistów o złoconych epoletach. Przeżywałem udrękę dochodzeń. Gdy tylko znalazłem się sam ze swoimi myślami, zaraz podpowiadały mi one zwroty, z jakimi do enkawudzistów winienem się zwracać, argumenty, jakie przed nimi będę wytaczał na swoją obronę. Podświadomość sygnalizowała mi, że jednak będę aresztowany. A przecież owego styczniowego wieczoru śmiało i spokojnie mijałem kręcących się obok szkoły enkawudzistów, przyjaźnie niemal pozdrawiałem ich na korytarzu wchodząc do mego pokoju. Przeznaczeniu musiało stać się zadość...

Zaledwie znalazłem się w mieszkaniu i zdążyłem zrzucić z siebie wierzchnie okrycie, w pokoju zjawił się enkawudzista. Zaczęła się zwykła, towarzyska niemal rozmowa. Co porabiam, jak żyję, skąd pochodzę, jak mi się tutaj na wsi wiedzie? Po wypale-

niu śmierdzącego papierosa z machorki zakręconej w zwykły kawałek gazety, enkawudzista pokój mój opuścił.

Drugą połowę szkoły, po przeciwnej stronie obszernej sieni, zajmowały trzy rodziny uchodźców radzieckich spod Smoleńska, których umieścili tam jeszcze Niemcy. Zżyłem się z nimi bardzo. Zachodziłem do nich często wieczorami na pogawędkę, tak że między nami zadzierżgnęły się nici prawdziwej przyjaźni. I teraz wyszedłem na korytarz chcąc poprosić do siebie syna jednej z rodzin, Waśkę, z którym nieraz spędzałem wieczory. Chciałem go zawołać, by zjadł ze mną, jak to się zwykle zdarzało, kolację. Drogę zastąpił mi jeden z żołnierzy.

- Dokąd? - padło pytanie.

- Na tamtą stronę, do ludzi, którzy tam mieszkają - odparłem.

- Nie wolno, proszę wrócić do mieszkania.

Zacząłem uświadamiać sobie, że chyba jestem albo zostanę aresztowany. Wróciłem do pokoju i spojrzałem za okno w czerń styczniowej nocy. Wiedziałem, że tam niedaleko był lasek, za nim osada Franopol, zaś tam życzliwi mi ludzie, mógłbym się może u nich ukryć, a potem przedostać się gdzieś dalej. Pomyślałem o ucieczce. Z lekka uchyliłem okno. Ciężkie kroki żołnierza, błysk karabinu w płynącym z pokoju świetle uświadomiły mi, że o ucieczce mowy być nie może, że jestem strzeżony i już jestem więźniem.

Próbowałem coś robić, czymś się zająć, jakoś rozpędzić niepokojące mnie czarne myśli, zbagatelizować rodzące się we mnie przypuszczenie i złowrogie przerzucia. Wziłem do ręki

jakąś książkę ocalałą ze szkolnej biblioteki, zacząłem przeglądać zeszyty dzieci, które po chatach uczyłem, zeszyty, które zwykle zabierałem do siebie, aby w domu spokojnie poprawiać zadane ćwiczenia. Niestety, nic mi jakoś nie szło. Nad wszystkim górował niepokój, troska, przeczucie czegoś groźnego i bardzo złego, a co się musiało stać. Noc za oknem gęstniała. W naturze panował ogromny spokój, który mąciły jeno powolne i ciężkie kroki wartownika za oknem. Pomyślałem, że należało by coś zjeść i po prostu położyć się spać. Nalałem w kubek zimnego mleka, odkroiłem kawałsk przyniesionego chleba, posmarowałem kromkę masłem i zabrałem się do jedzenia. W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł uzbrojony żołnierz, który ze mną już z wieczora przeprowadził towarzyską rozmowę.

- Kuszajetie da? - powiedział z przyjaznym uśmiechem, dość wymownie spoglądając w stronę stołu i mojej skromnej wieczerzy.

- Ano tak - odpowiedziałem - trzeba się trochę posilić. Może zjecie coś ze mną?

- Chętnie - odpowiedział - bo, prawdę mówiąc, to już jestem porządnie głodny i przemarznięty.

Wyjąłem z szafy butelkę samogonu, którego produkcja wówczas po wsiach doskonale się rozwijała, nalałem w szklankę i podałem żołnierzowi.

- Wypijcie na rozgrzewkę.

- Spasibo. Za wasze zdrowie! - odpowiedział żołnierz, niemal jednym duszkiem wychylając szklanicę.

Podałem mu chleb i masło. Nasmarował, podjadł. Kiedy jednak chciałem nalać mu drugą szklankę ognistego napoju - odmówił.

- Nie wolno. Jestem na służbie. Dziękuję. Ot, lepiej porozmawiajmy.

- Późno już - odpowiedziałem, - może lepiej spoczniemy, prześpimy się trochę do rana.

- Nie, lepiej porozmawiajmy, spać będziemy jutro - zareplikował enkawudzista, sadowiąc się wygodnie na stojącej pod ścianą ławce, o którą oparł karabin.

Siedziałem przy stole z pewnym zdziwieniem wpatrując się w żołnierza, nie świadom jeszcze sytuacji w jakiej się znalazłem i jego taktyki w stosunku do mnie. Wszystko to miałem pojąć później.

Światełko małej lampy naftowej zaczęło drgać i przygasać. Wypaliła się nafta. Trzeba było dolać świeżej. Butelkę z naftą, jaka mi jeszcze pozostała z ostatniej imprezy urządzanej w szkole, jeszcze w czasie okupacji niemieckiej, miałem schowaną w sieni. Skierowałem się ku drzwiom, żeby ją stamtąd przynieść.

- A wy kuda? - zapytał śledzący bacznie moje ruchy, żołnierz.

- Do sieni, po naftę, widzicie, że lampa gaśnie.

- Ładno, idiomtie w miescie /Dobrze, idziemy razem/ - odrzekł. Wstał z ławki, wziął karabin, przerzucił go przez ramię i wyszedł ze mną.

W jego towarzystwie odszukałem w sieni butelkę z naftą. Wróciliśmy razem do pokoju, gdzie zacząłem manipulować przy lampie. Żołnierz znów usiadł na ławce pod ścianą, z głośnym stukiem odstawił karabin i w dalszym ciągu bacznie obserwował moje ruchy.

Zapaliłem jakiś kawałek posiadanej jeszcze świecy, zdjąłem z lampy szkiełko, wyczyściłem je, nalałem nafty, obciąłem nadpalony knot i zapaliłem ponownie. Błysnęła jasnym światłem.

- Można trochę knot przykręcić, po co nam tyle światła nie będziemy przecież nic robić, a do rozmowy światła nam wystarczy - powiedział mój wartownik.

- Ale o czym mamy mówić? - zapytany coraz bardziej świadom mego losu.

- A opowiedźcie, jak to do was tutaj przejeżdżali polscy partyzanci, co oni tu robili, o czym rozmawiali, ilu ich było, jakie mieli rangi. Czy dużo było oficerów, jaką mieli broń, jakie mundury?

- Nie wiem, nie interesowało mnie to. Przyjeżdżali, zachodzili, ale przecież widzicie sami, że szkoła stoi przy drodze i każdy, kto tą drogą przejeżdża, do szkoły wstępuje. Wstępowali tu i wasi partyzanci.

- No tak, a wasi bandyci to ich i wybili.

- Nic o tym nie wiem. Siedzę tu w szkole, nigdzie się nie oddalam, najwyżej do wsi po trochę jedzenia. Skąd mogę wiedzieć, co się tam gdzieś dzieje.

- Nu, ładno. Jeszcze o tym wszystkim dokładnie opowiecie. Posiedźcie teraz spokojnie, tylko nie usypiajcie, tak musimy doczekać ranka.

Wyciągnął nogi przed siebie, rozparł się wygodnie na ławce nie spuszczając jednak ze mnie oczu.

Czas zaczynał mi się dłużyć, chwytała mię senność, ale ilekroć przymykałem oczy i opadała mi głowa na piersi, głos żołnierza i mocne stuknięcie karabinem o podłogę przywoływały mnię do porządku, płoszyło moją senność i zmuszało do dalszego czuwania.

Rój przeróżnych myśli kłębił mi się gwałtownie pod czaszką. Chwilami wydawało mi się, że w przerażającej ciszy tej nocy słyszę moje myśli buszujące po pokoju, że słyszę ich głuchy

tętent z drogi, którą biegną gdzieś daleko, do osób mi bliskich, z którymi być może nieprędko przyjdzie mi się spotkać. Do miejsc znajomych mi i drogich, których może zobaczyć mi już nie będzie dane. Zdawało mi się, że słyszę znieruchomiałe w czasie echa tego wszystkiego, co się tutaj w mojej szkole działo. Gwar dzieci, popisy recytatorów, śpiewy chóru, rzewne tony skrzypiec, dialogi i występy moich "aktorów". To znów myśli moje wracały do rzeczywistości. Przypominałem sobie swoje przeczucia, uświadamiałem sobie, że oto zaczynają się one sprawdzać. Że oto wkrótce już będę musiał istotnie użyć tych wszystkich słów, argumentów, zwrotów i oświadczeń, które mi dyktowały i podpowiadały moje przeczucia. Świadomość, że już jestem w rękach NKWD, poczęła się we mnie ostatecznie kształtować, niemniej jednakże gdzieś tam, tliła się nikła iskierka nadziei, że może to tylko przejściowe nieporozumienie, że wszystko się dobrze skończy, wszystko się wyjaśni, że najwyżej mnie przesłuchają i zostanę zwolniony, bo przecież do żadnej winy w stosunku do władz radzieckich się nie poczuwałem. Przecież za Niemców ryzykowałem życiem dokarmiając ukrywających się żołnierzy radzieckich czy nosząc kosze prowiantów do getta w miasteczku. Zwodna to miała być tląca się iskierka...Tak doczekaliśmy świtu.

Zaczynało szarzeć, gdy w budynku szkolnym wszczął się ruch. Słychać było w korytarzu ciężkie kroki żołnierzy i głośne rozmowy. Nawoływania się właścicieli furmanek, którzy noc spędzili w pustych klasach szkolnych. Zaprzęganie koni do wozów, które całą noc stały przy nich okryte derkami. Wreszcie rozmowy moich lokatorów uchodźców, szczęk wiader, z którymi śpieszyli po wodę do odległej od szkoły studni.

Mój opiekun opuścił pokój. Poczułem lekki głód. Zjadłem kromkę chleba i wypiłem kubek zimnego mleka. Zgasiłem zbędną już lampę i pełen niewesołych przeczuć, czekałem tego, co miało teraz nastąpić.

Dzień zapowiadał się piękny. Pokazało się słońce i złotem pokryło bure, gdzie niegdzie tylko z lekka śniegiem przysypane, jeszcze jesienią zaorane pola. Na drodze przed szkołą ustawiły się furmanki. Były ich trzy. Obok każdej kręcili się żołnierze.

Rozwidniło się już zupełnie, gdy w pokoju zjawił się znów opiekujący się mną enkawudzista.

- No, proszę się zbierać, jedziemy - wyrzekł od progu.

- Dokąd? Zapytałem niemal machinalnie, bez potrzeby i przekonania, zdając sobie sprawę z tego, że i tak na pytanie nie otrzymam właściwej odpowiedzi.

- To się okaże dokąd, zobaczycie - odpowiedział. - No, już wychodzimy.

Odruchowo spojrzałem na zegarek, dochodziła godzina ósma, czas, w którym zwykle szykowałem się do wyjścia na codzienny obchód chat i uczących się dzieci. Narzuciłem na siebie palto, włożyłem czapkę, żołnierz otworzył drzwi i puścił mnie przed sobą. Przeszedłem korytarz i znalazłem się na dworze. Oblała mię złocistość słoneczna, aż musiałem przymrużyć oczy. Stojący przy wozach żołnierze przyglądali mi się z ogromnym zainteresowaniem. Uświadomiłem sobie, że w rozgrywającej się akcji ja gram główną rolę. Przy drzwiach wyjściowych szkoły stanęła grupka radzieckich repatriantów, poczciwych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem i którym niejednokrotnie w miarę swoich możliwości ułatwiałem trudne warunki bytu. Milcząc patrzeli na mnie ogromnie smutnym, jakże jednak wymownym wzrokiem. Oni zdawali sobie sprawę z tego, co się na ich oczach rozgrywało. Oni wiedzieli,

dokąd pojadę i co mnię czeka...

- Proszę, siadamy - - powiedział żołnierz wskazując mi wymoszczone słomą siedzenie na ostatnim wozie. Wskoczyłem na furmankę, usiadłem, żołnierz ulokował się obok mnie. W tej chwili podbiegł do wozu Waśka, chłopak z którym się przyjaźniłem. Dostrzegłem, że miał łzy w oczach. Chwycił moją rękę, uścisnął mocno i wetknął w nią potężną kromkę chleba. Jakże mi się ona później przydała.

- Proszczaj, Wasia! - na to jedno tylko zdobyć się mogłem, poczułem bowiem gwałtowny ucisk w krtani i rosę w oczach, która na chwilę zamgliła mi wszystko.

Wozy ruszyły. Na dwóch pierwszych jechały grupki żołnierzy, na trzecim ja z moim opiekunem. Styczniowe słońce nie szczędziło swoich blasków i swojej pieszczoty.

Jechaliśmy lekkim truchtem. Z prawej strony minęliśmy tak dobrze mi znany nikły lasek sosnowy, za nim małe jeziorko, na którym urządzałem Święto Morza i wreszcie skręciliśmy do wsi. Tam już wieść się rozniosła, że aresztowano nauczyciela, że właśnie wiozą go do miasteczka, do siedziby NKWD. Kto żyw wyległ więc na ulicę przed chaty. Lęk przed wszechwładnymi "wyzwolicielami" nie pozwolił nikomu głośno wyrazić swoich uczuć. Żegnano mnie pełnymi żalu, ogromnie wymownymi spojrzeniami, żegnano tu i ówdzie lekkim gestem rąk, głębokim westchnieniem, cichą modlitwą, co starsze kobiety bowiem żegnały się pobożnie, rogami chustek ocierając zroszone oczy. Byłem w tej wsi lubiany. Nie było chyba we wsi chaty, której bym nie odwiedził jako nauczyciel dzieci, jako doradca w przeróżnych sprawach, jako dobry kompan i gawędziarz co to o Polsce udręczonej a czekającej dnia wyzwolenia potrafił mówić jako wielki przyjaciel młodzieży

wiejskiej, ba, czasami nawet jako lekarz. Teraz ten ich przyjaciel, ten, z którym tak się we wsi zżyli, z którym dzielili się wszystkim, co tylko mieli, otoczony uzbrojonymi żołnierzami opuszczał ich z pewnością na zawsze, opuszczał bez możności serdecznego pożegnania się, bez uścisku dłoni... Opuszczał i szedł być może w niewolę, poniewierkę i udrękę, jaką "wyzwoliciele" nieśli ze sobą i o jakiej coraz to szersze i okropne rozchodziły się wieści...

Patrzyłem na te zgromadzone przed chatami postacie. Patrzyłem w te rozżalone twarze, słałem im chwilami jakieś nikłe uśmiechy, to znów spoglądałem przed siebie tępo z jakimś zobojętnieniem i zupełną determinacją.

Tak wyjechaliśmy z mojej wsi. Stoczyliśmy się jeszcze z górki i wjechaliśmy na szeroką drogę prowadzącą do miasteczka.

W miasteczku przed urzędem NKWD mieszczącym się w piętrowym drewnianym domu bogatego Żyda, właściciela młyna, wywiezionego przez Niemców , stały liczne furmanki, kręcili się jacyś ludzie, żołnierze radzieccy, milicjanci przybyli tu z armią mijali się oficerowie o złotych epoletach, pod ścianami budynków popłakiwały jakieś kobiety otulone chustkami i trzymające w rękach koszyki z prowiantem.

Dwóch enkawudzistów wprowadziło mnie do budynku. Weszli po schodach na pierwsze piętro. W korytarzu znajdowało się wiele osób. Przeważnie mężczyźni. Poznałem kilku znanych mi z sąsiedztwa gospodarzy. Wymieniliśmy tylko spojrzenia. Strzegący tak mnie jak i innych enkawudziści pilnie baczyli, żebyśmy się w żaden sposób nie skontaktowali, nie wymienili ze sobą słowa, nie podali ręki. Byliśmy już tylko gromadą "zadzierżanych", zatrzymanych, może jeszcze niezupełnie więźniów, bo przecież każdego

z nas czekało dopiero śledztwo, które określić miało zakres i rodzaj naszej winy i zadecydować o naszym losie.

W obszernym korytarzu nie było ani jednego krzesła, żadnej ławki ni stołka, na którym można by przysiąść. Wszyscy stali. Stali tak nieraz godzinami aż do zupełnego wyczerpania, czasami jedynie opierając się bezsilnie o ścianę lub też przysiadając pod ścianami w kucki, na zgiętych kolanach.

W pewnym momencie stojący bliżej okien więźniowie poczęli ciekawie wyglądać na podwórze dając sobie jakieś znaki i coś do siebie szepcząc. Podszedłem i ja do okna. Wyjrzałem i serce mi się ścisnęło. Na trzech chłopskich saniach, tak zwanych tam razwalinach, leżało siedmiu naszych chłopców, młodych żołnierzy AK, zaskoczonych gdzieś przez Rosjan i natychmiast rozstrzelanych. Poznałem blondyna leżącego na pierwszych saniach. Gościłem go, zdaje się tak niedawno, u siebie, gdy wracał spod Wilna po zdobyciu tego miasta przez wojska radzieckie. Wszystkich walczących wówczas wspólnie z nimi, żołnierzy Armii Krajowej, po zakończeniu walk o miasto Rosjanie otoczyli, rozbrojili i wywieźli. Temu, którego spotkałem przed szkołą i zaprosiłem do siebie, udało się wymknąć z rąk Rosjan. Szedł podobno gdzieś do rodziny, w swoje strony... Teraz leżał oto na wznak, na niskich, białoruskich saniach, odrzuciwszy daleko w bok prawą rękę, która mu z sań zwisała. Bujne, blond włosy zlewały się ze świeżą słomą, jaką sanie były wymoszczone. Słoma obficie zroszona została krwią, której jaskrawe plamy z daleka były widoczne. Wyszeptałem "Wieczny odpoczynek..."

W pokojach trwały przesłuchiwania. Toczyły się śledztwa. Tu i ówdzie zza zamkniętych drzwi dolatywały podniesione głosy "śledowatielej", czasem jakieś głuche uderzenie, jakiś jęk,

jakiś szloch, przeważnie kobiecy, lub też pełne lęku słowa przesłuchiwanego.

Długo czekałem swojej kolejki. Stojąc wraz z innymi w zimnym korytarzu rozmyślałem, co też będzie ze mną. Czego ode mnie będą chcieli, o co będą mnie pytali, czy potrafię zachować się odpowiednio, odeprzeć oskarżenia, jakie niewątpliwie w stosunku do mnie wysuną. Czy w tym skrawku mego życia, jaki spędziłem we wsi białoruskiej, w całym moim postępowaniu i pracy potrafią "śledowatiele" dopatrzeć się czegoś złego, przestępczego, co godziłoby w Związek Radziecki, czy też świadczyło o jakichkolwiek moich powiązaniach z okupantem. Zastanawiałem się szczegółowo nad tym wszystkim, a ponieważ nic z tego, co według mojej oceny w oczach władz radzieckich mogło by mieć cechy przestępstwa, w sobie nie znajdowałem, nabierałem chwilami pewności, że to jedynie nieporozumienie, że skończy się ono na przesłuchaniu mnie, po którym będę mógł powrócić do szkoły. Rychło miałem się jednak przekonać, jak całe to moje rozumowanie było błędne i naiwne.

Wreszcie gdy już było około godziny pierwszej po południu, otworzyły się drzwi jednego z pokojów w pobliżu miejsca, w którym się znajdowałem. W drzwiach pojawił się młody, chyba dwudziestokilkuletni, przystojny enkawudzista i wymienił moje nazwisko. Rad, że wreszcie coś zaczyna dziać się, szybko skierowałem się ku drzwiom. Enkawudzista stojący w nich przepuścił mnie grzecznie, wskazał krzesło przy biurku zapraszając, bym usiadł. Sam zajął miejsce naprzeciwko. Przez chwilę mi się przyglądał. Uśmiechnął się, poczęstował grzecznie papierosem. Podziękowałem oświadczając, że nie palę. Potem rozłożył jakieś papiery, wreszcie oświadczył mi, wciąż grzecznym i spokojnym tonem, że sprawa moja została przydzielona jemu, ale on postara

się wszystko przeprowadzić tak, by mnie zbytnio nie nużyć, by wszystko poszło sprawnie i gładko, ale, podkreślił z naciskiem, wszystko będzie zależało ode mnie, od tego, jak się zachowam w śledztwie, co powiem i jakich informacji będę udzielał. Wszystko to, co będę mówił, musi być prawdą, władzom radzieckim bowiem nietrudno będzie się przekonać, w jakiej mierze moje zeznania są prawdziwe i jak dalece zgodne z rzeczywistością. Wszystko to, co będę zeznawał, traktowany będzie jako ważny dokument, wszystko to bowiem będzie protokółowane i będę musiał to potwierdzać podpisem.

Po tym pouczeniu przesłuchujący enkawudzista przystąpił do pierwszych pytań. Jak się nazywam, ile mam lat, skąd pochodzę, w jakich szkołach uczyłem przed wojną, czy służyłem w wojsku, jeżeli tak, to w jakim stopniu, gdzie mieszka moja rodzina itp. Były to jak mi się wydawało stereotypowe pytania, jakie zadaje się na wstępie każdemu przesłuchiwanemu. Wszystko, co mówiłem, "sliedowatiel" zapisywał skrzętnie, czasami powtarzając pytania względnie prosząc o powtórzenie czegoś. Wreszcie skończył, podsunął mi papier do podpisania i oświadczył, że na dzisiaj przesłuchanie jest już skończone. Zawołał dyżurującego na korytarzu żołnierza, któremu polecił, by mnie odprowadził "w kamieru".

"Kamiera" - cela, w której przetrzymywano zatrzymanych - była obszerną izbą w jednym z budynków gospodarskich przylegających do budynku głównego. Wprowadzony przez żołnierza ze światła do ciemnego pomieszczenia nic nie mogłem początkowo rozróżnić. Jedyne, dość duże okno w izbie, zabite było szczelnie deskami, jako że izba stanowiła teraz celę więzienną. Gdy tak stałem niezdecydowany przy drzwiach nie wiedząc, co ze sobą począć,

usłyszałem nagle z jednego kąta izby życzliwy głos:

- Panie kierowniku, prosimy do nas, tu miejsce się znajdzie!

Ruszyłem w tym kierunku. Teraz dopiero mogłem przekonać się, jak bardzo izba była zatłoczona. Ludzie siedzieli na podłodze, niektórzy leżeli na jakichś podłożonych pod głową tobołkach. Z trudem przedostałem się do kąta, z którego mnie wołano. Tam już przygotowano dla mnie miejsce. Wyciągnęły się do mnie przyjazne dłonie. Poznałem kilku gospodarzy ze wsi w której mieszkałem i ze wsi okolicznych. Zaczęła się rozmowa prowadzona szeptem. Oni przebywali tu już od kilku dni. Byli częściowo obeznani z metodami śledztwa i panującymi tu zwyczajami. Z miejsca zaczęli pouczać i udzielać porad, które, jak rychło miałem się przekonać, były istotnie rzeczowe i jak najbardziej słuszne.

- Tylko, panie kierowniku, do niczego się nie przyznawać i nie mówić o nikim. Nie wymieniać niczyich nazwisk. Oni sami o niczym nie wiedzą, a pan wrogów nie ma, nikt o panu nic nie powie, żadnych niekorzystnych dla pana zeznań nie złoży. Tylko proszę się niczego nie bać, żadnych gróźb ani krzyków tych, którz pana będą przesłuchiwali.

- Nie przypuszczam, by mieli powód na mnie krzyczeć. Ten, który mnie przesłuchiwał, był bardzo uprzejmy i grzeczny.

- To tak pierwszy raz, panie kierowniku. Oni tak postępują ze wszystkimi. Musi pan być przygotowany na to, że będą ordynarni i agresywni. Bicie i znęcanie się jest u nich na porządku dziennym w trakcie przesłuchań. Proszę być na to przygotowanym.

Po tych pouczeniach jakoś niezbyt raźno stało mi się na duszy. Mimo że byłem już całkowicie zrezygnowany i powoli

zaczynałem być przygotowany na wszystko, nie traciłem jednak całkowicie spokoju. Uczułem głód. Przecież od tej kolacji zjedzonej w szkole wspólnie ze strzegącym mnie żołnierzem nic nie miałem jeszcze w ustach. Przypomniałem sobie o chlebie, który mój przyjaciel Waśka przed szkołą wsunął mi do ręki. Sięgnąłem do kieszeni. Nigdy chyba nie jadłem z takim apetytem i nic mi chyba nigdy tak nie smakowało jak wówczas kromka owego czarnego chleba.

Krótki dzień zimowy chylił się ku końcowi. Jeszcze parę razy drzwi się otworzyły, żołnierze kogoś wprowadzali bądź też wyprowadzali, śledztwa bowiem trwały całą noc. O tym miałem się i ja przekonać. Stopniowo jednak stawało się coraz ciszej. Ludzie powoli posnęli. Podesławszy pod siebie palto ułożyłem się w kącie między znajomymi gospodarzami i wkrótce również usnąłem. Tak zakończył się pierwszy mój dzień po aresztowaniu. A ile tych dni czekało mnie jeszcze...

Następnego dnia, zaledwie się dobrze rozwidniło, coś tak chyba po godzinie ósmej, drzwi izby otworzyły się i wywołano mnie pierwszego. Żołnierz, który przyszedł po mnie zaprowadził mnie do głównego budynku, do znanego mi już koryterza i ustawił pod drzwiami pokoju, w którym wczoraj byłem przesłuchiwany. Sam wszedł do środka, skąd wyszedł po małej chwili zapraszając gestem, abym wszedł do pokoju. Tam przy biurku siedział mój "sliedowatiel". Skinieniem głowy wskazał mi krzesło mówiąc krótko:

- Sadities!

Siadłem, rozpiąłem palto, w pokoju było bowiem dość ciepło, i czekałem zastanawiając się, o czym to dzisiaj będziemy mówili.

Enkawudzista powoli, nie spiesząc się, gwiżdżąc z cicha jakąś melodię, rozkładał papiery, jakby jakiegoś szukał. Wreszcie

znalazł, położył przed sobą i począł się w niego wpatrywać. Widoczne było, że czyta. Zerknąłem okien na arkusz i przekonałem się, że był to protokół mojego wczorajszego zeznania.

- No tak - odezwał się wreszcie - pomówimy dzisiaj obszerniej. Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak pan organizował polską partyzantkę, kto panu w tym pomagał, kto dostarczał broni, gdzie i u kogo mieliście schronienie? Zdaje pan sobie chyba sprawę z tego, że sprawa jest już przesądzona, że ziemie, na których w tej chwili jesteśmy, są ziemiami należącymi do Związku Radzieckiego i nigdy już do Polski nie wrócą. Wszelki więc opór byłby daremny. Utrzymywanie się jakiejś polskiej partyzantki w sytuacji, jaka się obecnie na tych ziemiach wytworzyła, jest już tylko nieporozumieniem. My musimy tereny te oczyścić ze wszystkich wrogich nam elementów. Im prędzej to nastąpi, tym dla nas wszystkich będzie lepiej. Pan, jako inteligent i człowiek rozsądny, powinien to najlepiej zrozumieć. Liczymy też na to, że pan w akcji tępienia polskich bandytów, nazywających siebie partyzantami, będzie nam pomocny i nie będzie przed nami niczego ukrywał.

Z uwagą wysłuchałem wywodów enkawudzisty. Teraz już jasne się stało, o co będę oskarżony i w jakim kierunku będzie się toczyło śledztwo. Wiedziałem, że muszę milczeć, że nie wolno mi zdradzić się z niczym, co mogło by dotyczyć działalności naszej partyzantki na terenach gdzie mieszkałem. Tak mi zresztą przecież radzili moi sąsiedzi gospodarze, z którymi zetknąłem się pierwszej nocy po aresztowaniu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że wymienienie jakiegokolwiek nazwiska, wskazanie jakiejkolwiek chaty pociągłoby za sobą dalsze aresztowania, dalsze śledztwa

i pogłębiałoby tylko morze cierpień i nieszczęść, jakie zwycięzcy nam nieśli.

Zacząłem kategorycznie zaprzeczać wszystkiemu. Po pierwsze wyparłem się przynależności do partyzantki. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że całkowite negowanie moich kontaktów z partyzantami, odżegnywanie się od jakiejkolwiek z nimi znajomości może sprawę pogorszyć i umocnić "śliedowatiela" w przeświadczeniu, że istotnie muszę się czuć winny, skoro się tak kategorycznie wszystkiego wypieram. Zeznawałem więc, że owszem, z partyzantami spotkałem się, ale nie z własnej woli, moja szkoła w której mieszkałem, stała przy drodze, kto tylko drogą przejeżdżał, do szkoły wstępował. Wstępowali partyzanci polscy, ale wstępowali również i radzieccy, zmuszony byłem wszystkich przyjmować, żeby się nie narazić na pobicie, a może nawet i śmierć. W tym wszystkim podtrzymywałem zeznanie jakie złożyłem enkawudziście przesłuchującemu mnie jeszcze w moim mieszkaniu.

Zauważyłem, że mój "śliedowatiel" zaczął zdradzać objawy niezadowolenia i podenerwowania. Oczy, którymi mnie dosłownie przewiercał, zapaliły się jakimś groźnym błyskiem. Trzymanym w ręku piórem nerwowo uderzał po rozłożonym przed sobą arkuszu, na którym zapisywał moje odpowiedzi.

To wszystko kłamstwo. Wszystko tylko wykręcanie się i blaga. Ja was nauczę mówić prawdę! Podpisać to i czekać na korytarzu.

Podpisałem zeznanie i zostałem przez enkawudzistę dosłownie wyrzucony z pokoju.

Teraz znów stałem w znajomym mi korytarzu. Zgromadzeni tam więźniowie szeptem przekazywali sobie jakąś wiadomość.

Okazało się, że na miejscu gości przedstawiciel polskiego rządu lubelskiego, który z władzami radzieckimi prowadzi rozmowy na temat repatriacji ludności polskiej z tych terenów, pragnącej przenieść się do Polski. Ów delegat rządu lubelskiego miał lada chwila pojawić się na korytarzu, przez który musiał przejść udając się do odpowiedniego biura. Istotnie, wkrótce pojawił się. Był to rosły mężczyzna, o dobrodusznym wyglądzie, w skórzanej kurtce. Natychmiast otoczyliśmy go prosząc o interwencję i spowodowanie, byśmy zostali przekazani do Polski. Delegat starał się unikać naszych spojrzeń. Wzruszył tylko ramionami, bezradnym gestem rozłożył ręce i z szeptem, że niestety nic zrobić nie może, szybko wycofał się z naszego kręgu. Zawiedzeni z ogromnym balastem goryczy w duszach, rozstawiliśmy się znów po korytarzu.

Było zimno. Z dwóch szerokich, wychodzących na podwórze okien, jedno było otwarte. W tym otwartym oknie stał rozebrany do pasa młody człowiek. Mieszkaniec jednej z okolicznych wsi, którego znałem z widzenia. Teraz aresztant tak jak i ja, przeciwko któremu toczyło się śledztwo. Był właśnie przesłuchiwany. Jego "śliedowatiel", widocznie w przerwach między przesłuchaniami zastosował oryginalną metodę wymuszenia zeznań. Była to jedna z wielu udręk i tortur, jakimi aresztowanych wymuszano przyznanie się do winy. Więzień stał rozebrany w oknie, przez które wpadał mroźny styczniowy wiatr niosąc ze sobą iskrzące się w słońcu śnieżynki. Stojąc nie opodal obserwowałem całą scenę. Śnieżynki osiadały na ramionach więźnia zamieniając się momentalnie w ledwo dostrzegalne kropelki wody. Dłużej zatrzymywały się w ciemnych włosach delikwenta i w bujnym owłosieniu jego piersi. W regularnych odstępach czasu podnosił się z krzesła siedzący obok żołnierz, brał stojącą na parapecie okna butelkę

z lodowato zimną wodą i zmuszał aresztanta do jej wypicia. Po jakimś czasie zauważyłem, że więzień począł się trząść i szczękać zębami. Co się dalej stało, jak długo w takim stanie trzymano nieszczęśnika - nie wiem, po jakimś bowiem czasie wezwano mnie ponownie przed oblicze "śliedowatiela".

Przy stole siedział już inny sędzia śledczy. Niski, krępy mężczyzna, który z miejsca zapytał, ilu zamordowałem radzieckich żołnierzy i partyzantów, czym ich uśmierciłem, jaką miałem broń i co z nią zrobiłem? Tymi pytaniami i takim obrotem śledztwa byłem zaskoczony. W służbie cywilnej w szeregach Armii Krajowej mało miałem do czynienia z bronią, tyle że ją po wsiach zbierałem, magazynowałem, a w miarę potrzeb i możności, w możliwie najkrótszym czasie, przekazywałem do oddziałów. Nikt mnie nigdy nie widział z bronią, na jakiej więc podstawie enkawudzista zadaje mi podobne pytania, insynuuje mi zabójstwa i mordy? Szybko jednak uświadomiłem sobie, że przesłuchujący na niczym konkretnym się nie opiera, że po prostu oskarża i rzuca pytania pewny, że się na czymś potknę w swoich odpowiedziach i z czymś zdradzę się. Wyraziłem więc ogromne zdziwienie, że spokojnego wiejskiego nauczyciela posądza się o jakieś czyny awanturnicze, posiłkowanie się bronią i mordowanie ludzi.

- Ach tak - zareplikował na to śledczy - a jak to było z grupą siedmiu naszych partyzantów, których gościliście w młynie w Porubiszkach? Co się z nimi stało? Kto ich wymordował? Czy wy nie braliście w tym udziału?

Jak to było z grupą partyzantów? Istotnie, jak to było? Teraz dopiero przypomniałem sobie, że rzeczywiście jakoś latem, jeszcze na długo przed nadejściem armii radzieckiej, zetknąłem się z grupą byłych żołnierzy radzieckich tułających się po wsiach

i ukrywających się w lasach, którzy być może w oczach tych, którzy mnie sądzili, uchodzili za partyzantów, nigdy jednakże nie wykazali się żadną z cech, jakimi prawdziwi partyzanci winni się odznaczać. Nigdy nie popisali się żadnym wyczynem godzącym w okupanta - przeciwnie byli utrapieniem mieszkańców odludnych zaścianków, którzy musieli ich obficie karmić, a przede wszystkim poić samogonem, który lał się wówczas wszędzie obficie.

Na "partyzantów" tych natchnąłem się któregoś niedzielnego popołudnia u moich dobrych znajomych Bobinów w ich młynie położonym nad stawem rozdzielających pola przyległe do wsi Romaszkańce i Porubiszki. Wstąpiłem tam, aby pogwarzyć i przerobić nieco lekcji z ich czternastoletnią córką, moją uczennicą. Ledwie wszedłem do kuchni, gospodyni poczęła mi dawać gwałtowne znaki, abym natychmiast wyszedł i, wskazując na drzwi do pokoju, szepnęła jedno słowo: "Ruskie". Pomyślałem, że przecież od "Ruskich" uciekać nie potrzebuję, a, przeciwnie, wiedziony jakąś wewnętrzną sympatią rad byłbym ich poznać. Gdy się tak przez chwilę wahałem, drzwi od pokoju się otworzyły i stanął w nich rosły, dość sympatyczny blondyn, jeden z partyzanckiej siódemki.

- A, uczitiel - wykrzyknął uradowany - wot eto choroszo, dawaj s nami za stół, pobiesiadujem maleńko! - Chwycił mnie wpół, siłą niemal wciągnął do pokoju i posadził za stołem, na którym stały liczne butelki samogonu, miski z jakimś mięsiwem i ogromny talerz z chlebem.

- Uczitiel? Tak, dawaj, wypiem! - zawołał jeden z uczestników biesiady, młody chłopak o mocno, jak by się dziś rzekło, chuligańskim wyglądzie, i do cna już pijany. Uniósł się nieco, napełnił samogonem pokaźnych rozmiarów szklankę i postawił przede mną.

- Na,piej s nami! - wybełgotał niemal zwalając się ponownie

na siedzenie i wlepiając we mnie groźne oczy.

Przeraziłem się i nie na żarty zmierzywszy okiem naczynie, które mi podano. Samogon piłem, owszem, ale w mniejszych ilościach. wychylenie takiej szklanicy przyprawić by mię chyba musiało z miejsca o utratę przytomności, nie wypicie zaś mogłoby zostać źle zrozumiane i narazić na niechybne przykrości. Błagalnie spojrzałem na siedzącego obok mnie blondyna, tego, który mnie wprowadził. Okazało się, że on przewodził grupie. Wołano na niego Saszka. Zrozumiał moje spojrzenie.

- Nie nado, eto kulturnyj czełowiek, uczitiel - powiedział dobitnie i zdecydowanym ruchem odsunął ode mnie szklankę. Z wdzięcznością uścisnąłem mu pod stołem rękę i wdałem się w beztroską i ożywioną rozmowę z towarzystwem. Czuliśmy się wszyscy doskonale, zwłaszcza wtedy gdy i ja łyknąłem nieco samogonu. Jedynie partyzant o łobuzerskim wyglądzie, który częstował mię szklanicą, obrażony widocznie na mnie za to, że szklanicy tej nie wychyliłem, milczał niemal całkowicie wlepiając we mnie jedynie nieprzyjazne, zamglone samogonem spojrzenie. On też pierwszy się podniósł i wyszedł z mieszkania, gdy biesiada zbliżała się ku końcowi.

Pożegnałem współbiesiadników, uścisnąłem się z Saszką i skierowałem kroki na drogę wiodącą do Porubiszek, do mojej szkoły. Odprowadzał mnie syn młynarzowej, osiemnastoletni Lolek. W tym momencie wybiegł zza stodoły ów tak bardzo wrogo do mnie usposobiony partyzant i z jakimś okrzykiem cisnął mi pod nogi granat. Lolek błyskawicznie schylił się porywał granat i rzucił go daleko do stawu. Cała ta akcja rozegrała się dosłownie chyba w jakimś ułamku błyskawicy, w czasie, w którym ja nawet nie zdążyłem się zorientować, co się właściwie dzieje. Zrozumiałem

to dopiero po pewnej chwili. Zrozumiałem patrząc w przerażone oczy ciężko dyszącego Lolka, obserwując lustro wody i drgające na nim coraz to szersze kręgi rozchodzące się z tego miejsca stawu, w które upadł odrzucony przez Lolka granat. Czy moment był istotnie groźny? Czy pijak rzucając w pośpiechu granat zdążył go odbezpieczyć? Nie wiem. Faktem jest, że wszyscy przeżyliśmy paroksyzm grozy, z której otrząsnęliśmy się dopiero po chwili. Po chwili także zdaliśmy sobie wszyscy sprawę z tego, co się stało, jak dzięki przytomności umysłu Lolka uniknęliśmy prawdopodobnie śmierci. Saszka doskoczył do stojącego wciąż w miejscu i gapiącego się ze zdziwieniem na to, co się dzieje, swego pijanego kompana, wymierzył mu w twarz potężny policzek, który zdaje się go otrzeźwił, spokojnie bowiem i potulnie ruszył za grupką swoich towarzyszy, którzy po chwili zniknęli w pobliskim lasku.

Po kilku dniach rozeszła się wiadomość, że Niemcy dopadli gdzieś w lesie ową grupę Rosjan i wszystkich na miejscu wystrzelali. Sympatycznego Saszkę znaleziono martwego o kilkanaście metrów dalej. Prawdopodobnie ranny próbował uciekać, aż stracił siły, upadł pod drzewem i skonał. Chodziły słuchy, jakoby sami mieszkańcy tych okolic zniecierpliwieni krzywdzącymi ich wyczynami rzekomych partyzantów naprowadzili na nich Niemców, którzy na swój sposób rozprawili się z nimi.

Z tą tragedią siedmiu Rosjan śledczy usiłował teraz skojarzyć moją osobę, zarzucając mi współudział w ich likwidacji, choć sam prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z absurdalności tego zarzutu, na moje bowiem zaprzeczenia niemal nie zareplikował i zwolnił mnie podsunąwszy oczywiście uprzednio do podpisania protokół przesłuchania.

Teraz przez kilka dni dano mi spokój i na przesłuchania nie wzywano. Jak później udało mi się dowiedzieć, w tym czasie prowadzący śledztwo w mojej sprawie enkawudziści dokładnie przeszukali moje mieszkanie zabierając z niego wszystkie papiery, druki, książki, maszynopisy, a nawet stare kalki od maszyny, które jakoś w papierach się zawieruszyły, maszyny bowiem na wsi ze sobą nie miałem. Tymi kalkami grożono mi w dalszych przesłuchaniach twierdząc, że odczytano wszystkie, naturalnie kompromitujące, teksty, jakie przez nie przepisywałem.

Zabrano mi także wszystkie rękopisy i listy, a tych była spora wiązanka, miałem bowiem zwyczaj przeczytanych listów nie niszczyć, a składać je. Jakoś rzadziej wzywano też na przesłuchania innych więźniów. Leżeliśmy więc teraz całymi godzinami w naszym więzieniu, w owej mrocznej komórce gospodarskiego obejścia, i zastanawialiśmy się nad swoim losem. Los ten, cała nasza przyszłość jako więźniów NKWD rysowały się bardzo niepewnie. Co z nami zrobią? Czy po przesłuchaniach puszczą nas do domów, czy też podzielimy los tych, którzy aresztowani przez enkawudzistów gdzieś ginęli, przepadali bez wieści, o losie których tylko głuche, nie sprawdzone i bardzo złowrogie krążyły plotki. O surowych wyrokach, zsyłkach i wywozach naszych ludzi na dalekie krańce olbrzymiego Związku Radzieckiego słabe jeszcze mieliśmy pojęcia.

Najchętniej gawędziłem z młodym, rosłym i krzepkim chyba dwudziestoletnim młodzieńcem, z jakiejś dalszej wsi, który również od kilku dni nie był wzywany na przesłuchania i leżał bez butów mając nogi okręcone jedynie onucami. Co się stało? Widywałem go przecież jak zjawiał się na przesłuchania w porządnych, skórzanych butach z cholewami. Okazało się, że jego "śliedowatiel" dostał kilkunastodniowy urlop i pojechał do domu.

Chciał się tam jednak zaprezentować elegancko i po prostu wypożyczył od więźnia solidne buty, zresztą istotnie zwrócił mu je po powrocie.

Odżywialiśmy się tym, co dostarczały aresztowanym ich rodziny. Przez kilka dni żyłem formalnie z łaski moich współwięźniów, zamożnych, znanych mi gospodarzy, obficie zaopatrywanych przez rodziny w jadło. Wreszcie o losie moim dowiedziała się moja koleżanka Janka mieszkająca w miasteczku. Teraz regularnie zacząłem otrzymywać gotowane posiłki, które ona do więzienia przynosiła. Doręczał mi je młody, dość grzeczny strażnik, któremu niestety, wbrew swojej woli, wyrządziłem przykrość i naraziłem być może na jakieś nieprzyjemne konsekwencje służbowe. Poszło mianowicie o więzienny gryps. Parę razy w zwracanych Jance naczyniach i opakowaniach do nich udało mi się przemycić mocno zaszyfrowane grypsy, w których dawałem koleżance wskazówki, co w moim mieszkaniu pozostało, jak z tym lub owym należałoby postąpić. Parę razy mi się to udało, aż wreszcie gryps mój znaleziono. Musiał z tego powodu strażnik mieć grube nieprzyjemności, następnego dnia bowiem zrobił mi gorzką wymówkę. Zachowanie się jego stało się mniej grzeczne i wyłącznie służbowe. Ogromnie z tego powodu było mi przykro, ale, cóż, tak czasami wyglądały okoliczności, w których nieraz bezwiednie wyrządzało si innym przykrości.

Od chwili aresztowania, a więc od przeszło trzech tygodni, nie myłem się, nie zmieniałem bielizny, dniem i nocą chodziłem w ciepłym, wierzchnim odzieniu, pomieszczenie bowiem, w którym nas trzymano, było nie ogrzewane i zimne. Palce zanurzone za kołnierz swetra i koszuli wyciągały stamtąd grube, spasione węzy.

Wszy wyciągali wszyscy. Szukanie tych insektów i wyławianie ich z odzieży stanowiło codzienną czynność, było w więzieniu na porządku dziennym i nikogo ani nie dziwiło, ani nie krępowało.

Wreszcie któregoś dnia wezwano mnie ponownie na przesłuchanie. Tym razem wprowadzony zostałem do innego pokoju, którego całe umeblowanie stanowił mały, na środku stojący stolik i dwa krzesełka. Przy stoliku siedział znów jakiś nowy, jeszcze nie znany mi enkawudzista. Polecił mi usiąść na drugim, po przeciwnej stronie stołu znajdującym się krzesełku, rozłożył papiery, przygotował pióro i rozpoczął zadawanie mi pytań. Nie zaskoczył w nich niczym nowym. Były to te same pytania, jakie zadawano mi na poprzednich przesłuchaniach i obracały się wokół tych samych spraw.

Siedziałem na krześle i wierciłem się całym ciałem, jak mogłem. Łażące po mnie wszy nie dawały mi spokoju. Byłem w grubym wełnianym swetrze i czułem jak wszy podchodzą mi do wylotów rękawów i niemal że wyłażą na kiście dłoni. Siedząc przy stole i trzymając ręce na kolanach wsuwałem palce w rękawy swetra i wyciągałem stamtąd spasione wszy rzucając je dyskretnie pod nogi "śliedowatiela". Może trafią do nóg i powędrują dalej, do jednego z tych, dzięki którym ja musiałem zostać ich hodowcą - myślałem złośliwie i przekornie bacząc jednocześnie pilnie, co i jak na zadawane mi pytania odpowiadam, żeby się czasem na czymś nie potknąć i nie dać się złapać.

- A więc nie chcecie się przyznać. Dobrze, trzeba będzie z wami mówić inaczej - zakończył śledczy zadawanie mi pytań, podsunął do podpisania protokół i kazał odprowadzić do celi.

W "celi" zacząłem zastanawiać się nad tym, co znaczyły słowa: "Trzeba będzie z wami mówić inaczej". Niewątpliwie kryła się w nich groźba i zapowiedź czegoś gorszego. To przeświadcze-

nie ugruntowali we mnie moi współtowarzysze niedoli, ostrzegając jednocześnie, żebym się uparcie trzymał raz już przyjętej linii obrony i nie dał się od niej odwieść ani stosowanymi w śledztwie chwytami, ani pogróżkami.

Na to "mówienie ze mną inaczej" nie przyszło mi długo czekać. Wczesnym rankiem następnego dnia drzwi się otworzyły i wartownik wywołał na przesłuchanie mnie pierwszego. Teraz wprowadzono mnie do obszernego pokoju, w którym na jakimś podwyższeniu, niby w sali sądowej stał duży stół, na stole lampa naftowa z białym kloszem, obok stołu kilka krzeseł. W pewnej odległości od stołu, niemal pod przeciwległą ścianą, stało krzesło. Ustawiono mnie przy nim, nie pozwolono jednak usiąść. Wczorajszy śledczy zaczął zadawać mi tyle już razy powtarzane pytania. Pytanie zasadnicze: ilu zabiłem radzieckich żołnierzy i partyzantów, gdzie to było i gdzie zostali pochowani? Pytania stawały się już nudne i dawanie na nie wciąż tych samych odpowiedzi zaczynało męczyć. Męczyło widocznie to i śledczego, pytania bowiem zadawał bez większego przekonania i zaangażowania, głosem monotonnym i zmęczonym, z długimi, często nawet bardzo długimi przerwami między pytaniem jednym a drugim.

Po upływie godziny. Przeszło południe, a wiszący na ścianie stary zegar z długim wahadłem wskazywał już godzinę 14. Do pokoju wszedł drugi enkawudzista i wymienił tego, który mnie przesłuchiwał od rana. Zajął miejsce przy stole, coś czytał, przeglądał jakieś gazety i od czasu do czasu rzucał mi znane już pytanie. Dzień ustępował wieczorowi, wieczór zastąpiła noc, a ja wciąż stałem na miejscu czując, jak nogi zaczynają się pode mną uginać i jak zaczynam powoli zupełnie opadać z sił. O godzinie 10 wieczorem znów zmienił się śledczy. Teraz był to już osobnik nieco

mi znany, ten starszy, krępy mężczyzna, który już mnie kiedyś przesłuchiwał i pierwszy zadał pytanie, ilu Rosjan zabiłem. Duża lampa naftowa dostatecznie oświetlała pokój. W jej świetle widzieliśmy się doskonale. Ja obserwowałem enkawudzistę, on uporczywie wpatrywał się we mnie. Wreszcie zaczął grzebać w jakichś papierach a ja począłem odnosić wrażenie, że powoli przestają myśleć. Pod czaszką wytwarzała się jakaś pustka. Apatia owładnęła mnie i jeśli chwilami zakiełkowała jakaś myśl żywa i świadoma, to jej treścią było jedno: Odpocząć! Odpocząć za wszelką cenę! Właśnie, za wszelką cenę...

W tej metodzie śledztwa moje zmęczenie miało być sposobem, by wycisnąć ze mnie zeznania potrzebne moim "śledowatielom". Na szczęście pilnujący mnie teraz enkawudzista, poza jednym czy dwoma, więcej mi już pytań nie stawiał. Co chwila podnosił jedynie głowę znad papierów wpatrując się we mnie. Zegar wskazywał już godzinę dwunastą w nocy. Zacząłem się słaniać i pochylać na ścianę. Obok stało krzesło - w tej chwili szczyt moich pragnień i jedyny dla mnie ratunek.

- Sadities! - usłyszałem naraz zbawcze słowo wartownika, w którym najwidoczniej na widok mego osłabienia zadrgała jakaś ludzka nuta.

- Proszę usiąść, tylko absolutnie nie spać i gdyby ktoś do pokoju wchodził, stanąć natychmiast.

Tak uporczywie walcząc ze snem przesiedziałem do rana. Trzeba było istotnie nie lada wysiłku, aby nie usnąć. Od wysiłku bolały oczy i czułem kłujące ciarnie pod powiekami. Ilekroć jednak wbrew woli poddawałem się znużeniu i opuszczałem powieki, pilnujący enkawudzista uderzał silnie ołówkiem o blat stołu i wołał: "Proszę nie spać!"

Tak przetrwaliśmy do rana. Było już zupełnie widno, godzina prawie dziewiąta, gdy do pokoju wszedł znów inny enkawudzista zmieniając tego, który mnie pilnował. Trzymano mnie znów cały dzień. Zmieniali się wartownicy, zadawano mi chyba jedynie dla formalności wciąż te same pytania, pozwolono pod opieką strażnika wyjść do ubikacji, aż znowu dzień się skończył i poczęło zmierzchać się. Rozpacz budziła we mnie myśl, że oto znów czeka mnie taka sama straszna noc bez snu i wypoczynku. Noc, której chyba już nie przetrzymam, dostanę chyba obłędu lub padnę z wyczerpania.

Przyszło jednak wybawienie. Późnym wieczorem wszedł nagle do pokoju wysoki major.

- Soznałsa? - zapytał krótko wartownika.

- Niet, towariszcz major - ten odpowiedział podsuwając mu do przejrzenia protokóły przesłuchania. Major przejrzał papiery, rzucił na mnie złe, sotre spojrzenie, w którym jak gdyby wyraziła się złość, że całe te perfidne i męczące śledztwo nie dało pożądanego rezultatu, i znów rzucił krótko:

- Odwiezti!

Zawołano wartownika pełniącego służbę na korytarzu, a ten wreszcie odprowadził mnie do izby, w której siedzieliśmy zamknięci. Idąc słaniałem się na nogach jak pijany. Przesłuchanie trwało bez przerwy niemal czterdzieści godzin...

W izbie współwięźniowie już spali lub też leżąc gawędzili półgłosem. Zrobiono mi natychmiast miejsce i podsunięto gliniany garnuszek, w którym czekał na mnie obiad przyniesiony przez Jankę poprzedniego dnia. Nie tknąłem nawet jedzenia, nie odpowiadałem na pytania. Zwaliłem się na barłóg i natychmiast usnąłem snem iście kamiennym.

Po tej operacji dano mi coś ze dwa dni odpocząć, po czym zaczęto znów wzywać na przesłuchania. Pewnego dnia zapowiedziano, że będę skonfrontowany z kimś, kto stawiane mi zarzuty potwierdzi, brał udział bowiem w zbiórkach partyzantów polskich odbywających się w mojej szkole. Zastanawiałem się, kto też to być może, nie udało mi się bowiem stwierdzić, by wśród aresztowanych znajdował się ktoś z tych, którzy istotnie czasami w szkole mojej się zbierali omawiając przeprowadzane akcje lub też po prostu gromadzili się na pogawędki przy szklance samogonu.

Kiedy wprowadzono mnie do pokoju śledczy z miejsca zapytał o jedną z poważniejszych zbiórek żołnierzy AK, która istotnie miała miejsce w mojej szkole. Trzymając się jednak raz powziętej taktyki oświadczyłem, że o żadnej takiej naradzie nie wiem i udziału w niej nie brałem. Enkawudzista teraz jednak widocznie pewny siebie postanowił moje wykręty zbić niezaprzeczalnymi faktami.

- Pozwat świdietiela! - zawołał w kierunku drzwi. Za chwilę strażnik wprowadził przez nie świadka. Przeląkłem się nie na żarty. Był to Lolek, wspomniany już syn młynarza z Porubiszek, co to kiedyś rzucony we mnie granat spod nóg mi porwał i cisnął do stawu. Szeptano o nim, że "sypie", dlatego trzymany jest oddzielnie i traktowany bardziej względnie.

- Ty był na sobranii polskich banditow w szkolie?

- Tak, byłem - odpowiedział spokojnie Lolek.

- To opowiadaj, jak tam było?

Chłopak nie patrząc w moją stronę przedstawił dokładnie cały przebieg zbiórki.

- Nu ładno - rzekł enkawudzista, kiedy skończył.- A on tam był? - zwrócił się z pytaniem do świadka wskazując na mnie.

Lolek spojrzał w moją stronę. Przez moment spojrzenia nasze się skrzyżowały. Jedno jego słowo miało zadecydować o moim losie. Wydało mi się, że serce w tej sekundzie napięcia silniej i gwałtowniej zakołatało we mnie.

- Nie, jego w tym czasie w szkole nie było - odpowiedział spokojnie Lolek patrząc śmiało w twarz enkawudzisty, który teraz miał bardzo niewyraźną minę. Polecił natychmiast Lolka wyprowadzić. Nie udało nam się nawet wymienić ze sobą spojrzeń Widziałem go wówczas po raz ostatni. O dalszych jego losach nic mi nigdy nie udało się dowiedzieć. W każdym razie obraz tego chłopaka i jego przyjazny stosunek do mnie zachowam na zawsze we wdzięcznej pamięci.

Odprowadzono i mnie również do celi, z której jednak teraz coraz częściej wzywano mnie na przesłuchania, by wreszcie o coś zahaczyć i przypisać mi jakąś winę. Wszystkie te przesłuchania jednak nie wniosły do sprawy nic nowego, chyba to, że obserwowałem na nich, jak moi śledczy skręcając grube papierosy z machorki zamiast używanych zwykle do tego gazet używali moich maszynopisów, papier z nich był cieńszy i delikatniejszy.

Szczególnie żal mi było niemiłosiernie rwanych maszynopisów moich skeczy, które pisałem w Wilnie po zajęciu przez Litwinów miasta i tam wystawiałem je w jednym z punktów uchodźczych, bawiąc nimi gromady pierwszych polskich tułaczy. Widok moich papierów rwanych na papierosy utwierdził mnie w przeświadczeniu, że w moim mieszkaniu dokonywana była szczegółowa rewizja i że wszystkie moje papiery są już w rękach enkawudzistów. A przecież tam były podziemne pisma Polski Walczącej. Gazetki i biuletyny Armii Krajowej. Przecież papiery te potwierdzały w całej rozciągłości stawiane mi w śledztwie zarzuty

i całkowicie przeczyły moim zeznaniom świadcząc dobitnie o moich powiązaniach z Armią Krajową. Co teraz będzie? Jak potoczy się śledztwo? Jak enkawudziści owe kompromitujące druki wykorzystają przeciwko mnie? Z drugiej jednak strony dziwiło, że na razie w toku moich codziennych niemal przesłuchań papierami tymi nie posługiwano się jako argumentem i niezbitym dowodem, że nic nie wskazywało na to, aby tak niebezpieczne papiery znalazły się w rękach moich prześladowców. Co się stało? Czyżby ich nie znaleźli? Dopiero kiedyś, po latach, już na wolności, po odbyciu kary i powrocie z zesłania, miałem się dowiedzieć, że grypsy moje wysyłane z więzienia w Weronowie poskutkowały. Poczciwa Janka otrzymała je, zrozumiała i wszystkie kompromitujące papiery usunęła z mego mieszkania jeszcze przed wizytą enkawudzistów.

Do najbardziej niebezpiecznych i męczących przesłuchań należały przesłuchania nocne. Zwykle późną porą, gdy wszyscy już spali, otwierały się drzwi celi, zjawiał się w nich strażnik i wywoływał tego lub owego więźnia na "doprosy". Takie nocne przesłuchania trwały przeważnie dość długo, nieraz po kilka godzin. Przesłuchiwany wracał nad ranem często z posiniaczoną twarzą, zakrwawionym nosem czy podbitym okiem. Przesłuchiwania nocne świadczyły o tym, że w stosunku do danego więźnia śledztwo się zaostrza, że wchodzi w fazę decydującą i presja natury fizycznej idzie w parze z perswazją słowną.

Mnie nie brano jeszcze na przesłuchania nocne. Można się było jednak tego spodziewać sądząc po różnych często przez śledczych wypowiadanych pogróżkach, gdy uparcie trwałem przy swoich zeznaniach i do zarzucanych mi "przestępstw" nie przyznawałem się. Wreszcie którejś nocy zbudziło mnie ze snu moje nazwisko wykrzyczane w drzwiach przez strażnika. Zerwałem się z legowiska, przeżegnałem w myślach i ruszyłem w kierunku wyjścia.

- Tylko niech się pan trzyma, panie kierowniku. Nie przyznawać się do niczego! - usłyszałem jeszcze szept mego sąsiada.

Z tą przestrogą w uszach szedłem za strażnikiem. Zaprowadził mnie do jednego z pokojów w budynku głównym, w którym jeszcze nie byłem. Za stołem siedział nie znany mi enkawudzista, który przemówił do mnie łamaną polszczyzną. Z miejsca zapytał, czy wreszcie przyznam się do tego, że należałem do polskiej partyzantki, że werbowałem do niej młodzież, że prowadziłem polską agitację, mordowałem bądź też współdziałałem w mordowaniu Rosjan. Jak zwykle zaparłem się wszystkiego, nie negując jednakże owej "polskiej agitacji", co, jak stwierdziłem, było w okresie niemieckiej okupacji raczej moją zasługą i moim obowiązkiem jako Polaka i polskiego nauczyciela, a nie żadnym przestępstwem.

Odpowiedź ta nie zadowoliła widocznie mego "sliedowatiela". Począł się zwracać do mnie głosem podniesionym i zdenerwowanym.

- To wszystko wykręty! My znamy całą prawdę o was! Na nic nie przydadzą się zaprzeczenia. Macie się przyznać, to uratujecie siebie. Inaczej może z wami być źle. My potrafimy wydobyć z was zeznania.- To mówiąc wziął do ręki leżące na stole, nie wiadomo po co, płaskie obcążki i zaczął nimi z lekka niby pociągać za paznokcie u lewej ręki.

Przyznam, że wówczas nie zrozumiałem, co manewr ten miał oznaczać, dziś rozumiem, że była to obrazowa i niema próba zastraszenia mnie, ostrzeżenie, co może mnie czekać jeżeli się nie przyznam.

W sąsiednim pokoju tymczasem trwało przesłuchanie jakiejś kobiety. Słychać było podniesiony głos "sliedowatiela" i zdecydowane, krótkie odpowiedzi kobiety. W pewnym momencie rozległ się odgłos uderzenia, w ślad za czym padło rzucone mocno przez kobietę jedno polskie słowo: "Bydlę!" Przesłuchujący kobietę enkawudzista

zapukał w ścianę zwracając się do tego, który mnie przesłuchiwał:

- Aliosza, czto takoje "bydlę"?

- Skatina - odkrzyknął ten śmiejąc się głośno.

W sąsiednim pokoju nastąpiła jakaś szamotanina, głośny płacz kobiecy, po czym trzasnięcie drzwiami i wszystko ucichło.

- No więc jak będzie? Przyznajecie się? - wrócił do przerwanego przesłuchiwania mój śledczy.

- Wszystko, co mogłem powiedzieć, już powiedziałem. Do wszystkich innych stawianych mi zarzutów przyznać się nie mogę, są one bowiem bezpodstawne i nieprawdziwe.

- A więc dobrze! Trzeba się za was porządnie zabrać! - prawie już wrzasnął enkawudzista rzucając na stół trzymane w ręku obcążki.

- Ej, czasowoj!

W drzwiach stanął wartownik.

- Odwiedi jewo w niz! /Odprowadź go na dół!/ - rzucił krótki rozkaz.

Wartownik skinął na mnie i puścił przodem. Szedłem sądząc, że przesłuchanie skończone i mam wracać do celi, skierowałem więc kroki w stronę znanych mi dobrze drzwi wyjściowych na stronę lewą.

- Niet, nie tuda, a w prawo! - zawołał za mną wartownik, popychając mię lekko na prawą stronę korytarza w kierunku drzwi, które otworzył przede mną.

Znalazłem się na schodach prowadzących głęboko do piwnic domu. O tych piwnicach krążyły wśród aresztowanych różne, mniej lub więcej groźne, a czasem wręcz potworne wieści. Pewne było, że znajduje się w nich katownia, w której przesłuchuje się bardziej opornych więźniów. Niejednokrotnie obserwowano, jak enkawudziści wywlekali stamtąd zbitych, nie trzymających się na

nogach więźniów, przeważnie młodych. O metodach wymuszania tam zeznań opowiadano sobie tylko szeptem w najgłębszej tajemnicy. Biada bowiem temu, gdyby się dowiedziano, że rozpowiada o tym, co przeszedł w piwnicach. Teraz do tej piwnicy mnie prowadzono. Jaki rodzaj "przesłuchań" będzie zastosowany w stosunku do mnie. Szedłem tam z jakąś determinacją i wewnętrznym otępieniem, tak jak gdyby było mi zupełnie obojętne, co się tam ze mną stanie... Byłem już toczącym się śledztwem i ciągłymi męczącymi przesłuchaniami całkowicie wyczerpany. Nim zdążyłem odszeptać "Pod Twoją obronę", prowadzący mnie żołnierz otworzył drzwi do obszernej, jasno oświetlonej piwnicy z jednym maleńkim okienkiem w ścianie pod sufitem. Wpuściwszy mnie do środka bez słowa cofnął się i zamknął za sobą drzwi. Rozejrzałem się szybko dookoła. Piwnica musiała być kiedyś pomieszczeniem gospodarczym walały się tam bowiem różne gospodarskie i rzemieślnicze narzędzia. Dużo miejsca zajmował stojący pod ścianą warsztat stolarski. Siedział na nim krępy, silny mężczyzna w skórzanej kurtce. Wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego. Tak chyba wyglądać musieli średniowieczni mistrzowie od zadawania tortur albo też kaci wykonujący wyroki śmierci. Kazał mi usiąść na stołku przy warsztacie naprzeciw siebie i począł złowrogo wpatrywać się we mnie. Teraz nie na żarty strach mnie obleciał. Przebywanie w głębokiej piwnicy w środku nocy sam na sam z człowiekiem przypominającym potwora nie wróżyło chyba nic dobrego i mogło istotnie budzić uczucie lęku.

Milczenie trwało dość długo. W tym czasie zdążyłem wszystkiemu przypatrzeć się bliżej. Na pociętych i nierównych balach warsztatu stolarskiego tu i ówdzie dostrzegłem zasuszone czerwone plamy. Nie ulegało wątpliwości, że były to plamy krwi.

Czyżby to miał być zatem "warsztat pracy" okropnego człowieka, w którego rękach znajdowałem się?

- No i cóż - zapytał wreszcie - czy przyznajecie się dobrowolnie do winy i opowiecie nam wszystko, czy też ja mam w końcu inaczej z wami rozmawiać? Uprzedzam, że taka rozmowa ze mną nie będzie dla was przyjemna.

- Powiedziałem już wszystko - odrzekłem - nie wiem, co mam mówić jeszcze.

- Taaak - rzekł przeciągle ponury gospodarz piwnicy - a no zobaczymy - i położył na deskach warsztatu swoje grube ręce o krótkich palcach.

Szeroko otwartymi oczami śledziłem jego ruchy. Byłem przeświadczony, że lada moment dłonie te zewrą się w dwie potężne pięści, które spadną na mnie. Już zdaje się czułem ich ciosy na głowie, twarzy i piersiach. Tymczasem dłonie strasznego człowieka leżały spokojnie na warsztacie, on tylko w dalszym ciągu wpatrywał się we mnie. Jak długo to trwało, nie mogłem sobie uzmysłowić. W każdym razie musiało to zająć spory kawał czasu, gdzieś tam bowiem na górze, poprzez małe okienko u sufitu, dało się słyszeć pianie koguta. Wpatrujący się we mnie mężczyzna cofnął ręce z warsztatu, ziewnął, powstał z siedzenia, ociężałym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je i kazał mi wychodzić.

Nie chciałem wierzyć w to co się działo. Czyżbym istotnie cały i nietknięty miał opuścić to miejsce, o którym krążyła sława kaźni? Chyba teraz w drzwiach rąbnie mnie czymś z tyłu w głowę, pomyślałem sobie, gdy otworzywszy drzwi cofnął się przepuszczając mnie do przodu. Nic podobnego jednak nie nastąpiło. Drzemiąc na stopniach schodów oczekiwał na mnie wartownik. Teraz podniósł się szybko i milcząc odprowadził mnie do celi. Dniało już, kiedy tam wszedłem. Położyłem się, by nieco odpocząć po

tej szarpiącej nerwy nocy. Co to właściwie było? - pytałem sam siebie. Dlaczego w miejscu, które uchodziło za katownię, ja nie zostałem nawet tknięty? Czyżby to był jeszcze jeden ze sposobów zastraszania? Represji psychicznej? I tak chyba było w istocie. Gdyśmy na ten temat szeptali między sobą, jeden ze współwięźniów zwierzył się, jak to kiedyś i jego także jeszcze z wieczora "przesłuchiwano" w podobny sposób w tejże piwnicy, a potem rzucono do jakiejś ciemnej, ciasnej komórki, gdzie upadł na kogoś. Dotykając człowieka, z którym się w ten sposób zetknął, przekonał się, że to był trup, z którym musiał przeleżeć do rana.

To moje "przesłuchanie" w piwnicy, jak się okazało, było już ostatnie. Za trzy dni wywołano mnie jeszcze do "swiedowatiela", który oświadczył mi jedynie krótko, że dochodzenie w mojej sprawie zostało zakończone i teraz mam oczekiwać sądu. W duszy dziękowałem Bogu, że wreszcie przestaną gnębić mnie tymi badaniami, że z tym już koniec, i pełen rezygnacji czekałem zapowiedzianego sądu.

"Sąd" odbył się już za dwa dni. Tym razem pod eskortą milicjanta, bowiem i ten organ władzy radzieckiej działał w miasteczku, przeprowadzono mię do budynku gminy znajdującego się w rynku, w samym centrum miasteczka. Obok znajdował się stylowy drewniany kościółek, przed którym nie tak dawno przyjmowano mnie do [illegible] i składałem przysięgę. Wiedziałem, że przy kościółku rezydował jeszcze staruszek ksiądz, były więzień carski, zesłaniec z Sachalinu. Teraz ów ksiądz codziennie niemal zachodził do świetlicy urządzonej w budynku gminy i wertował gromadzoną prasę radziecką. Jego to na rozprawie sądowej stawiano mi za przykład zarzucając, że ja, nauczyciel, inteligent, wcale bieżącymi sprawami Związku Radzieckiego się nie interesuję, że nigdy mnie w świetlicy nie widziano, a on, "świaszczenik" tym się interesuje i codziennie zachodzi do świetlicy.

"Rozprawa sądowa" przeciwko mnie miała się odbyć w jednym z pokojów na górze. Budynek był parterowy, miał jedynie kilka małych pokoików na poddaszu. W jednym z nich urzędował "sąd". Oczekując w korytarzyku na rozprawę odczuwałem jakiś lęk i niepokój, nurtowały mnie jakieś niejasne, złe i dręczące przeczucia. Nieświadom tego, co się ma dziać właściwie, jaką rolę ma w tym wszystkim spełniać towarzyszący mi milicjant, starszy, niski i zabiedzony mężczyzna, zwróciłem się do niego z prośbą, by mi pomógł, wstawił się za mną i bronił w tej niejasnej i chyba dla mnie niebezpiecznej sytuacji. Nie odpowiedział ani słowem, spojrzał jedynie na mnie uważnie i głęboko, a w tym wzroku wydało mi się, że dostrzegłem jakiś odblask ciepłego, prawdziwie ludzkiego uczucia... Jemu nie wolno było rozmawiać z więźniem, on sam, jedno z maleńkich kółek potężnej machiny terroru, terrorowi temu podlegał.

Wreszcie drzwi "sali sądowej" uchyliły się, stanęła w nich jakaś drobna dziewuszka i zawołała mnie do środka. Jeżeli o całej mojej śledczej gehennie, o moich przeżyciach jako aresztanta w rękach władz radzieckich mogę jedynie mówić z pewnym uczuciem grozy i koszmaru, to o owym "sądzie" radzieckim, przed którego obliczem stanąłem, mogę mówić jedynie z odcieniem humoru, jak o jakiejś grotesce czy też żałosnej parodii tego rodzaju organu sprawiedliwości. Za stołem w ciasnym pokoiku siedziały trzy osoby. Jakiś wojskowy, zdaje się w randze sierżanta, przewodniczący tego "trybunału wojskowego" i po jego bokach dwie nędznie ubrane dziewczyny, przedstawicielki "ludu", który miał mi sprawiedliwość wymierzyć. W tym groteskowym zestawie sędziowskim dziewczęta widocznie odgrywały rolę ławników. Nie wiem, skąd je wytrzaśnięto. Jak mówiono mi później, jedna z nich była znaną na terenie miasteczka panną wątpliwego prowadzenia, drugą podobno przywieziono gdzieś z dalekiej wsi.

"Przewodniczący" przystąpił do sprawdzania moich personaliów. Przeczytawszy przed nazwiskiem dwa imiona, które figurowały w moich dokumentach, wyraził zdziwienie i zapytał, jak to jest, że ja noszę aż dwa imiona.

- A bo to u nich jest takie bierzmowanie i wtedy dają im drugie imię - pośpiesznie, łamaną ruszczyzną wyjaśniła "ławnik" wątpliwa dziewica, która jako wyrosła w środowisku polskim i katolickim musiała znać tak zwyczaje polskie, jak i obrzędy Kościoła.

Przewodniczący już więcej nie pytał, tylko przystąpił do odczytywania aktu oskarżenia. Było w nim wszystko to, co przypisywano mi w śledztwie, o co nękano mnie na męczących przesłuchaniach. A więc przynależność do "polskich bandytów", jak określano żołnierzy Armii Krajowej, udział w zbrojnych wyprawach i mordowaniu partyzantów radzieckich, kontakty radiowe z Zachodem, szerzenie polskiej propagandy i tym podobne przestępstwa, za które w pojęciu sprawiedliwości radzieckiej zasługuję na surowy wymiar kary.

- Czy przyznaję się do winy? - zapytał wreszcie "przewodniczący" po odczytaniu aktu oskarżenia i wyliczeniu wszystkich moich przestępstw. Naturalnie jak w śledztwie tak i teraz zaprzeczyłem tym wszystkim punktom oskarżenia, które mogły zaszkodzić nie tylko mnie, ale innym, których mógłbym w podobne sprawy wplątać. Przyznawałem się jedynie do drobnych, mniej ważnych szczegółów i sytuacji, które wynikały wbrew mojej woli.

- W takim razie prowadzimy rozprawę - oświadczył przewodniczący. - Wezwać świadków!

Zdębiałem. Przez myśl mi przeleciało, że istotnie potrafili znaleźć kogoś, kto w śledztwie się załamał i kosztem świadczenia

przeciw mnie próbuje teraz ratować siebie. Może Lolek? W napięci czekałem więc na świadków. Zza stołu wyskoczyła po nich siedząca dotąd w milczeniu druga towarzyszka "ławnik", ta z dalekiej wsi. Odetchnąłem. W pokoju stawiły się dwie krępe Rosjanki z gromady Rosjan ewakuowanych przez Niemców z okolic Smoleńska, których część mieszkała u mnie w szkole, część zaś osiedlona została po różnych wsiach i zaściankach. Bab tych nigdy nie widziałem na oczy, a z pewnością i one nie widziały mnie nigdy. Stały teraz, jakby zakłopotane, nie patrząc nawet w moją stronę.

- Czy znacie obecnego tu oskarżonego - zwrócił się z pytaniem do świadków przewodniczący.

- Tak, znamy, to jest nauczyciel z Porubiszek - odpowiedziały baby zgodnie, wciąż nie patrząc na mnie.

- Czy wiecie, że należał on do partyzantki, do polskich bandytów i morderców?

- Tak jest, wiemy, że należał.- Znów zgodna, uniżona odpowiedź.

- Czy oskarżony miał aparat radiowy?

- Tak jest, miał aparat.

- Dziękuję, możecie odejść.

Na tym przesłuchanie świadków zostało zakończone. Ich lista została wyczerpana. Przewodniczący zarządził przerwę. Zwykle w takich okolicznościach sąd udaje się na naradę, a oskarżony pozostaje na sali. Tu stać się musiało odwrotnie: sąd nie miał gdzie udać się na naradę, wyprowadzono więc oskarżonego. Znalazłem się zatem znów w korytarzu czekając z tępą rezygnacją na to, co "wysoki komplet sędziowski", radziecki "trybunał wojskowy", przed którym stanąć mi wypadało, o losie moim postanowi. "Trybunał" musiał być wygłodniały i zapragnął się czymś

posilić, w pewnej bowiem chwili na korytarz wyszła towarzyszka "ławnik" ta, co to znalazła się na bierzmowaniu, i poczęła skrobać trzymaną w ręce wielką marchew. Musiała ona chyba być całym posiłkiem kompletu sędziowskiego, bądź też stanowić dla niego smakowity rarytas zjedzony skwapliwie, minęło bowiem niewiele czasu i "sąd" zawezwał mię ponownie oświadczając uroczyście, że celem przeprowadzenia dodatkowego śledztwa sprawa moja zostaje odroczona, a dalsze śledztwo toczyć się będzie w Lidzie już na wyższym szczeblu. Tym samym zakwalifikowany zostałem do kategorii wyjątkowo groźnych przestępców, dla których sąd pierwszej instancji nie wystarcza, a przestępstwa jego kwalifikują się do rozpatrzenia przez sąd instancji wyższej.

W towarzystwie milicjanta wracałem złamany i przygnębiony do więzienia. A więc to jeszcze nie koniec. Czeka mnie dalsza udręka, dalsze "doprosy", męczące przesłuchania, szykany i znęcanie się. Teraz na szczeblu jeszcze wyższym, bo czymś w rodzaju sądu okręgowego w Lidzie. O metodach śledztwa w Lidzie wśród aresztantów krążyły groźne słuchy.

Był późny lutowy wieczór. Gęsta, sinawa ciemność pokrywała wszystko wokoło. Tak musiało być, gdy potykając się na grudach wyboistej drogi, z workiem sucharów na plecach dostarczonych mi przez Jankę, konwojowany przez rosłego enkawudzistę, szedłem w kierunku stacji kolejowej Werenów na trasie Wilno-Lida. Wraz ze mną konwojowano również swego młodzieńca od którego śledczy jadąc na urlop do domu wypożyczył buty. Teraz szedł w tych swoich eleganckich butach, a nieco na uboczu dreptała za nim popłakując z cicha matka. Niosła również przewieszony przez ramię pokaźnych rozmiarów worek z żywnością, w którą chciała swego syna zaopatrzyć na drogę. Tak szliśmy na stację Werenów, skąd pociąg

miał nas odwieźć do Lidy, do tamtejszego więzienia, na nowe dochodzenia, "doprosy" i śledztwo. Z lewej strony drogi minęliśmy cmentarz na którym na wzgórkach grobów bieliły się w ciemności płaty śniegu. Przeszliśmy brzozowy lasek i powoli dobrnęliśmy do stacji.

Mała stacyjka wtulona była w siną ciemność wieczoru. Zadaszony peronik oświetlała nędzna lampka naftowa. Było pusto, głucho i beznadziejnie... Popłakująca matka młodzieńca uprosiła konwojenta, że odebrał od niej worek z żywnością i wręczył go synowi, matce nie pozwolił zbliżyć się do niego. Gdy zaniosła się płaczem rzucił obojętnie: "Moskwa s·lozam nie wierit" /Moskwa łzom nie wierzy/. Tak go nauczono. Zrobiono zeń bezduszny automat bezkrytyczne narzędzie potężnej machiny terroru. W jego tępą mużycką głowę wszczepiali przeświadczenie, że jest zbawcą Europy, że ratuje jej kulturę, a żeby kulturę tę uratować, musi sadzać do więzień, dręczyć i prześladować tych wszystkich, których właśnie na drodze tej kultury napotykał.

Stojąc tak na peronie w nikłym światełku naftowej lampki pomyślałem przez chwilę, czy nie popróbować ucieczki. Nie rzucić się w ciemność nocy, na biegnącą od stacji drogę, a potem w jakieś pobliskie ogrody, w krzaki i pola. A nuż ucieczka by się udała? Może uniknąłbym wywiezienia, niepewnego, a z pewnością groźnego losu, który mnie czeka. Z drugiej strony czuwający strażnik, trzymany w jego ręce karabin, w każdej sekundzie gotowy do strzału, odstraszały od tego i gasiły myśli o ucieczce.

Wreszcie ciężko sapiąc parową lokomotywą nadjechał pociąg.

- A nu ka sobirajties'! /Zbierajcie się!/ - krótko rozkazał żołnierz. Odtrącił kobietę, która z głośnym szlochem usiłowała dopaść syna, i kazał nam wsiadać do pociągu.

Przedział był zupełnie pusty. Usiedliśmy na ławkach, przy nogach ustawiliśmy worki z sucharami, żołnierz zajął miejsce przy drzwiach wyjściowych z przedziału i pociąg ruszył.

O czym myślałem? Czy zdawałem sobie sprawę z tego, że w tej sinawoczarnej nocy opuszczałem swoją ziemię, by pogrążyć się w długie lata udręki? Strasznego wygnania, tęsknoty i bezkresnego żalu? Czy myślałem wówczas, że przejdą lata długie, aż ja zahartowany męką ducha i krzepą ciała w podobnym stuku kół pociągu będę skandował ze skurczem w krtani i łzą radości w oczach najczulsze słowa powitania ziemi ojczystej? Nie pamiętam, czy tak właśnie myślałem. Wiem tylko, że z tym stukiem kół pociągu, wpatrzony w karabin strażnika, zapadałem w jakąś otchłań, w noc głuchą... Tak dojechaliśmy do Lidy.

Nareszcie poczułem się prawdziwym więźniem w prawdziwym więzieniu. No bo czymże było zamknięcie w izbach gospodarczego zaplecza młyna w Werenowie w porównaniu z tymi prawdziwymi celami lidzkiego więzienia? Od stacji kolejowej strażnik prowadził nas pustymi niemal ulicami Lidy, której domy były przeważnie zrujnowane,w wyniku toczących się tu walk. Czerwony gmach więzienia był nietknięty. Nietknięty odwieczny symbol każdej władzy, każdego ustroju, każdej przemocy.

Ekskortujący nas żołnierz załatwił w wartowni niezbędne formalności, wprowadził nas do wnętrza gmachu, tam szerokimi schodami na górę. Zadzwonił. Po drugiej stronie masywnej, żelaznej kraty, stanowiącej bramę, zjawił się wartownik więzienny. Krótka wymiana słów, wręczenie papierów i nasz konwojent począł schodzić w dół, gdzie miał oczekiwać na"pokwitowanie dostawy", przed nami zaś uchyliły się żelazne wrota i znaleźliśmy się w korytarzu prawdziwego więzienia. Rozglądałem się z ciekawością, jako że w tego rodzaju pomieszczeniach dotychczas nie

byłem, i zastanawiałem się nad tym, co też to teraz nastąpi. Wartownik zamknął lekko skrzypiące żelazne wrota, przekręcił klucz w ogromnym zamku i skierował nas do więziennej kancelarii. Siedzący tam oficer w mundurze o złotych epoletach, przejrzał szybko nasze papiery, rzucił okiem na nas i podał strażnikowi numer celi, do której polecił nas odprowadzić.

Pomieszczenie, w jakim się teraz znaleźliśmy, było obszerną, prawdopodobnie kilkuosobową celą, teraz przeładowaną więźniami. Pod ścianami biegły jakieś prycze czy ławy szczelnie okupowane przez mieszkańców celi, reszta z nich siedziała przy swoich tobołkach na podłodze. Zaledwie drzwi zamknęły się za nami, wszystkie twarze zwróciły się w naszą stronę. Każdy nowy przybysz witany był w tym pomieszczeniu z ogromnym zainteresowaniem. Ja również rozejrzałem się po celi. Dojrzałem kilka znajomych twarzy, chłopaków, których spotykałem w partyzanckich kontaktach, którzy niejednokrotnie bywali moimi gośćmi w szkole. Nie spotkałem ich we wstępnym areszcie w Werenowie, widocznie musieli być wcześniej przywiezieni do Lidy bądź też przewieziono ich tu bezpośrednio po aresztowaniu z pominięciem Werenowa. Wśród znajomych mi osób spostrzegłem siedzącego na ławie dobrze mi znanego niskiego wzrostu blondyna, kapitana "Sawę". Kapitan "Sawa" /Władysław Stokowski/ należał do Komendy Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej. Poznałem go na jednej ze zbiórek na plebanii u proboszcza w Hermaniszkach, kapelana oddziałów Armii Krajowej "Długosza", ks. Gedymina Pileckiego. Kapitan "Sawa" poznał mnie również. Wzrokiem i lekkim skinieniem głowy dał mi jednak znak, że się nie znamy. Poniechałem więc wszelkich gestów powitania, niemniej jednak zaraz zrobiono mi jakieś swobodne miejsce pod ścianą i tak zostałem wprowadzony do społeczności

aresztanckiej i zadomowiłem się w prawdziwej celi prawdziwego więzienia.

Powoli zaczęły się nawiązywać kontakty i kleić rozmowy. Wyglądało to na zawieranie znajomości dopiero w celi, bez budzenia podejrzeń, że się znało jeszcze z wolności. Wszelkie bowiem takie znajomości z okresu przed aresztowaniem były skwapliwie notowane i wykorzystywane w śledztwie. Należało więc ukrywać się z tym. Każda cela miała swego konfidenta, który o wszystkim władzom donosił. Był to zwykle jakiś, o słabej woli i niskich walorach moralnych, więzień, który za cenę donosów usiłował własną ratować skórę i wkradać się w łaski prześladowców. Jak się później zdołałem przekonać, miała takiego i nasza cela. Nosił nazwisko, o ile sobie przypominam, Wilczyński, a podawał się za kaprala z szeregów Armii Krajowej o pseudonimie "Odwaga". Ów kapral "Odwaga" usiłował z każdym wdawać się w rozmowy, nawiązywać kontakty i zyskiwać zaufanie więźniów opowiadaniem o swoich bohaterskich wyczynach, przedziwnych wyprawach i udziale w przeróżnych fantastycznych akcjach. Był on często, niejednokrotnie po kilka razy dziennie, wywoływany przez strażników na "doprosy", na których dzielił się skwapliwie zdobytymi od współwięźniów informacjami czy też swoimi spostrzeżeniami z celi.

Kapitan "Sawa", który stopniowo coraz bardziej do mnie się zbliżał i nawiązywał coraz to dłuższe rozmowy, z miejsca ostrzegł mnie przed konfidentem, bawiłem się też nim niejednokrotnie mówiąc mało o sobie, a wyciągając z niego urojone historie jego wyczynów.

Krótko przed tym, jak zjawiłem się w celi, podano więźniom obiad. Dwóch aresztantów dyżurnych, pod nadzorem strażnika,

wniosło do celi metalowe naczynie z jakąś cieczą. Miała to być zupa, a składała się z ciepłej mętnej wody i pływających w niej obierzyn kartoflanych. Niektórzy bardziej wygłodniali więźniowie, przebywający w więzieniu już od dłuższego czasu, brali do misek ową zupę, wkruszali do niej suchary, użyczane przez towarzyszy niedoli w ten prowiant bardziej zasobnych - i tak się posilali. Ja jeszcze nie byłem wygłodniały, spróbowałem nieco zupy i natychmiast ze wstrętem ją odsunąłem.

A kontakty zacieśniały się coraz bardziej. W cichych poufnych rozmowach przypominano sobie wspólne akcje, wyprawy i wydarzenia z życia partyzanckiego. Tak było z młodzieżą. Starsi gospodarze, przeważnie sami nie zdający sobie sprawy z tego, za co zostali aresztowani, o co się ich oskarża, w rozmowach wspominali przeważnie swoje rodziny, dzieci, żony, troszczyli się o sprawy domowe i gospodarskie.

Wśród młodzieży zwracał uwagę powszechnie lubiany, może dwudziestoletni młodzieniec, żołnierz AK - gdzieś zdaje się spod Żyrmun - Kazik Horyń. O młodzieńcu tym, jego zachowaniu się i wyczynach w partyzantce krążyły legendy wśród więźniów. Sprawie polskiej, walce z Niemcami ten młody Polak ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej poświęcił się całkowicie i bez reszty. Teraz za swoją miłość Ojczyzny, za wierną dla niej służbę miał ponieść karę z rąk tych, dla których Niemcy także byli wrogami i którzy mienili się wyzwolicielami jego ojczyzny. Oddzielną bohaterską kartę stanowiła historia siostry Horynia - Janki. Była ona sanitariuszką w oddziałach AK. Znała więc wszystkie ustronne kolonie i zaścianki, w których przebywali chorzy lub ranni leśni chłopcy. W czasie wycofywania się Niemców, tuż przed wkroczeniem na te tereny wojsk radzieckich, oddział akowców starł się z Niemcami.

Było kilku rannych. Umieszczono ich w zagubionej w lasach gajówce. Szperająca wszędzie "razwiedka" radziecka coś o nich zasłyszała. Rosjanie zapragnęli rannych dostać w swoje ręce, jednak nie mogli odkryć ich kryjówki. Dostali jednak w swoje ręce sanitariuszkę. Bita i maltretowana, zgodziła się wreszcie ujawnić miejsce pobytu rannych. Załadowano się w sanie. Dwóch enkawudzistów siadło na przednim siedzeniu, trzeci obok sanitariuszki na tylnym siedzeniu. W momencie gdy przejeżdżano przez most nad głębokim stawem, przy młynie, Horyniówna nagle zerwała się i, nim jadący z nią enkawudziści spostrzegli się, wyskoczyła z sanek, przesadziła drewnianą barierę mostu i rzuciła się na dół. Trzasnęła cienka pokrywa lodu i zimna woda pochłonęła na zawsze bohaterską Polkę, która za cenę własnego życia nie zawahała się bronić wolności i życia swoich kolegów, żołnierzy Polski walczącej...

Taka była młodzież, którą teraz dręczono, bito i maltretowano na przesłuchaniach, wywożono w bezkresy Sybiru. Wywożono w momencie, gdy iściły się ich pragnienia, gdy realny kształt przybierały idee, w imię których walczyli i przelewali młodą krew. Potworny splot tragicznych nieporozumień, obłędnej polityki, zakłamanej przyjaźni...

Co jakiś czas otwierały się drzwi celi i strażnik wywoływał kogoś na przesłuchania. Niejednokrotnie zdarzało się to i nocą. Mnie narazie dano spokój. Bardziej doświadczeni i obyci z metodami śledztwa więźniowie pocieszali mnie, że z pewnością w mojej sprawie kompletowane są dalsze materiały i zbierane nowe, bardziej jeszcze obciążające dowody moich przewinień. Tak też było istotnie i rychło miałem się o tym przekonać. Któregoś dnia otworzyły

się drzwi celi i strażnik zawołał:

- Uczitiel jest' zdzieś? Dawaj k'wychodu! /Jest tu nauczyciel? Wychodzić!/.

Ponieważ, jak stwierdziłem później, wśród aresztowanych byłem jedynym nauczycielem, tak się jakoś utarło, że nie wywoływano mnie po nazwisku, a wymieniano jedynie mój zawód. Gdy zawołano "uczitiel", wszyscy już wiedzieli, o kogo chodzi.

Wywołany przez strażnika jako "uczitiel" ruszyłem za nim długim, więziennym korytarzem, zastanawiając się w duszy, co też teraz będzie się ze mną działo?

Strażnik zaprowadził mnie piętro wyżej, do obszernego pokoju, w którym powitał mnie mój pierwszy śledczy z Werenowa, ów przystojny i sympatycznie prezentujący się brunet znający język polski. Podał mi rękę na powitanie, poprosił bym usiadł, spróbował poczęstować papierosem, zapomniał widocznie o tym, że nie palę, i przystąpił do pierwszego mojego przesłuchania w lidzkim więzieniu.

Przede wszystkim uśmiechając się beztrosko przyznał mi się, że tak długo dawano mi spokój tylko dlatego, że on musiał przewertować i przetłumaczyć na język rosyjski wszystkie listy znalezione w moim mieszkaniu podczas rewizji, a czynność ta zajęła mu ponad dwa tygodnie. Nie ujawnił jednak, czy w listach znalazł coś obciążającego, czy kompromitującego, podkreślił jedynie z naciskiem, że śledztwo wkroczyło teraz w nową fazę, że zatacza szerokie kręgi, że władze mają nowe, w znacznym stopniu obciążające mnie dowody, dlatego też postąpię bardzo rozsądnie jeżeli zeznam teraz wszystko, w przeciwnym bowiem razie dostanę się w ręce innych sędziów, którzy już nie będą tak dla mnie pobłażliwi i potrafią ze mnie zeznanie wydobyć.

Naturalnie powtórzyłem mu zdecydowanie i uparcie to wszystko, co o sobie mówiłem na wszystkich przesłuchaniach oświadczając, że mimo wszystko nic do tego, co już zeznałem, nie mogę dodać.

- Szkoda, naprawdę wielka szkoda. Źle pan robi i sam pogarsza swój los - oświadczył grzeczny śledczy. Podał mi rękę oświadczając, że teraz prawdopodobnie będę przesłuchiwany przez innych i polecił strażnikowi odprowadzić mnie do celi.

Na drugi dzień z rana w drzwiach celi pojawił się strażnik wołając: "Uczitiel, wychadi!" Znów znalazłem się na wyższym piętrze, w tym samym co wczoraj pokoju. Za stołem siedziało tym razem dwóch enkawudzistów: wysoki major i jakiś lejtnant.

Zaledwie wszedłem do pokoju major podniesionym głosem oświadczył, że władze radzieckie nie myślą dłużej bawić się ze mną, że władze te doskonale wiedzą, kim jestem, jaką rolę odgrywałem i po co tkwiłem w "Zapadnoj Biełorusi", Zachodniej Białorusi, jak zdążono już ochrzcić nasze ziemie wschodnie, na których przebywałem. Dalej oświadczył, że moja sprawa trafiła w jego ręce, a on nie pozwoli długo wodzić się za nos i potrafi zastosować metody, które w końcu muszą doprowadzić do przyznania się.

Po tej tyradzie wygłoszonej do mnie opuścił major pokój polecając lejtnantowi kontynuowanie przesłuchania.

Teraz pytania miały już szerszy zasięg. A więc przede wszystkim na czyje zlecenia urządzałem w szkole i we wsi patriotyczne imprezy. Na jakie cele szły pieniądze zbierane na tych imprezach, jak kontaktowałem się z zagranicą, gdzie słuchałem londyńskiego radia, co robiłem na spotkaniach na plebanii w Hermaniszkach , jaką w tych spotkaniach odgrywałem rolę, z kim się tam spotykałem, komu przekazywałem decyzje i polecenia podejmowane tam.

Słuchając tych natrętnych i dociekliwych pytań, w myślach widziałem ciasny kąt wieżyczki kościoła w Hermaniszkach, jak wtuleni między dzwony, poprzez zagłuszania i zaburzenia, skwapliwie wyławialiśmy każdą wieść z wolnego świata, wszystko to, co dotyczyło frontów, działań wojennych, ruchów wojsk walczących stron. Z zapartym dosłownie tchem łowiliśmy każde słowo o Polsce, każdą wieść, która mogła nas krzepić bodaj nikłą nadzieją. W myślach widziałem siebie w obszernych pokojach plebanii w Hermaniszkach, w których tak często toczyliśmy narady omawiając na nich sprawy nauki dzieci i pracy społeczno-oświatowej wśród ludności na wsiach. Gdzie z ruchliwym proboszczem księdzem Pileckim - więcej zapobiegliwym gospodarzem niż księdzem - omawialiśmy sprawy katechizacji dzieci, specjalnych nabożeństw dla nich i rekolekcji. Gdzie w przededniu wkroczenia na tamtejsze tereny Armii Czerwonej zastanawialiśmy się nad tym, jak mamy się wobec "sojuszników" zachować, jak ich witać, czy się ujawniać, czy też bardziej jeszcze skryć się w podziemie? Na pytania te "sojusznicy" zaraz w pierwszych godzinach po wdarciu się na nasze ziemie dali jasną i jakże tragiczną odpowiedź.

Czy miałem o tym wszystkim mówić swemu śledczemu? Czy miałem się przyznawać do win, które dla Polaka i działacza społecznego winami nie były? Czy zeznaniami swoimi miałem poszerzać krąg dochodzeń, zwiększać liczbę osób ściganych i podejrzanych? Nie wiedziałem, co się działo z księdzem Pileckim, nie wiedział o tym również i jego szwagier kapitan "Sawa", aresztowany gdzieś daleko od Hermaniszek zaraz po wkroczeniu wojsk radzieckich. Później dopiero, po wielu latach i powrocie z zesłania, miałem dowiedzieć się, że księdzu Pileckiemu szczęśliwie udało się uniknąć aresztowania, że jakoś przedostał się do Polski, osiadł w parafii na Ziemiach Odzyskanych, gdzie w wiele lat potem

zginął w wypadku samochodowym.

Odpowiadałem więc spokojnie, że radia żadnego nigdzie nie widziałem, ani nie słyszałem. Że,owszem, na plebanii bywałem, ale jedynie w sprawach związanych z nauczaniem religii dzieci, w której to materii przecież konsultować się musiałem z duszpasterzem parafii.

Twarz mego "śliedowatiela" poczęła się mienić. W oczach, którymi mnie bezustannie świdrował, pojawiły się złowrogie błyski.

- Ach ty sukinsyn inteligent - wrzasnął podrywając się w moją stronę i wymierzając mi w twarz potężny cios pięścią - ja ciebie nauczę mówić prawdę! Ty polski bandyto, faszysto i zdrajco! - Wymierzane mi potężne ciosy mnożyły się, błyskwicznie spadały mi na głowę, na skronie i policzki. Ilekroć pod ciosem z lewej głowa moja pochylała się w prawo, natychmiast cios z prawej wracał ją do pierwotnego położenia. W głowie zaczęło mi się mącić i szumieć. Myślałem, że upadnę, szukałem jakiegoś oparcia. Chwyciłem się krawędzi krzesła, gdy nagle ponowny potężny cios w twarz spowodował gwałtowny krwotok z nosa. Teraz ciosy ustały. Sięgnąłem ręką do kieszeni, wyjąłem chusteczkę, przytknąłem do nosa i zacząłem hamować upływ krwi. Tak odprowadzono mnie do celi, gdzie współwięźniowie pomogli mi się nieco umyć i doprowadzić twarz do porządku. Stopniowo poczęły na niej wykwitać wszystkie kolory tęczy...

No i tak się zaczęło. Teraz byłem bity regularnie każdego niemal dnia i na każdym przesłuchaniu. Bito mnie gdzie popadło i czym popadło - pięściami, pasami, jakimiś drążkami, czasem dostało mi się krzesłem lub taboretem, czasem dla odmiany jakąś książką. W ogóle obrywałem tym wszystkim, co moim oprawcom wpadało do ręki. Na jednym z takich przesłuchań, po potężnym ciosie w szczękę, wypłułem z ust dwa zęby, innym razem rzucono

mnie na taboret i poczęto okładać pasami. Nie bardzo odczuwałem ciosy, miałem bowiem na sobie dwa długie i grube wełniane swetry dostarczone mi do aresztu jeszcze w Werenowie przez panią Bartnikowską, właścicielkę przyległego do miasteczka małego majątku Stanisławowo. Bijący mię enkawudziści spostrzegli wreszcie, że niezbyt boleśnie odczuwam ich ciosy, zadarto mi więc swetry aż na głowę i w dalszym ciągu mnie okładano.

Teraz nie nazywano mnie inaczej jak polski bandyta. Tym zresztą mianem ochrzczeni zostali wszyscy akowcy i cały nasz ruch partyzancki. Do miana polskich bandytów dochodziło jeszcze miano bandy Mikołajczyka, którym darzono nas hojnie.

Któregoś dnia już późnym wieczorem, wywołano mnie znów na przesłuchania. W znanym mi już dobrze pokoju znajdował się ów starszy major i jeszcze dwóch rosłych enkawudzistów. Major zapytał mnie, czy wreszcie się przyznam do wszystkiego i złożę wyczerpujące zeznania o moim udziale w bandach Mikołajczyka, o moich powiązaniach i kontaktach z Londynem. Zarzut kontaktów z Londynem był dla mnie w śledztwie czymś nowym i zaskakującym. Co prawda ostatnio, po wielu przesłuchaniach w Lidzie, poczęło się we mnie utrwalać przeświadczenie, że istotnie władze radzieckie w obłędnej manii węszenia wszędzie wrogów biorą mnie za jakąś ogromnie ważną figurę w polskim ruchu partyzanckim, za jakiegoś asa wywiadu, a może nawet delegata Rządu Londyńskiego, bo i tego można się było, po nich spodziewać. Rzucane przez majora pytanie dotyczące moich kontaktów z Londynem jeszcze bardziej utrwaliło we mnie przeświadczenie o mojej rzekomej ważności. Naturalnie znów, jak zwykle na przesłuchaniach, odpowiedziałem majorowi przecząco. Syknął jedynie coś przez zęby i ze słowami zwróconymi do żołnierzy: "A nu ka, wozmitie jewo" /Ano weźcie go/, trzasną-

wszy drzwiami pokój opuścił.

Teraz akcja potoczyła się błyskawicznie. Enkawudziści odpięli swe skórzane pasy z metalowymi klamrami, jeden z nich gwałtownie wysunął na środek pokoju stojący przy stole taboret, drugi pchnął mnę w jego stronę.

- Nu ka, snimaj sztany, poskoriejel! /A no ściągaj spodnie, prędzej!/ - wrzasnęli doskakując do mnie. Czy obleciał mnie strach? Naprawdę trudno mi jest dziś zdać sobie z tego dokładnie sprawę. Pamiętam jedynie, że w stanie jakiegoś odrętwienia, drżąc całym ciałem, zacząłem niezdarnie spodnie rozpinać. Zniecierpliwiło to moich oprawców, w których rękach migały pasy i pobrzękiwały metalowe sprzączki. Gwałtownymi ruchami, odrywając guziki, ściągnęli mi spodnie aż do kostek, przewrócili na taboret, a swetr i koszulę zarzucili mi aż na głowę. Znalazłem się teraz w oryginalnej pozycji: z jednej strony stołka zwisały ku ziemi moje nogi, z drugiej zaś ręce, na stołku zaś leżała centralna tylna część mojego ciała, sempiterną w czasach sztubackich zwana, w całej swojej okazałości wypięta na przedstawicieli władzy radzieckiej. Tu z całą powagą podkreślić muszę, że władzę radziecką poważam, a że na jej przedstawicieli przyszło mi wypiąć tyłek, naprawdę stało się to wbrew mojej woli. Widocznie ci reprezentanci władzy radzieckiej, którzy mnie do tego zmusili, uważali, że niczego innego nie są godni i za wzjmę tego sobie nie poczytywali, chociaż, jak to sobie przypomniałem jeszcze z dzieciństwa, u nas na głuchej prowincji wypięcie na kogoś tyłka było najwyższym wyrazem pogardy i aktem całkowitego spostponowania adwersarza.

Po tej małej dygresji śledzmy dalszy ciąg akcji. Otóż teraz na moją nieszczęsną sempiternę posypały się razy. Bito mnie zapamiętale z dwóch strony, nie szczędząc rozmachu i siły. Zrobiło

mi się gorąco. Zdawało się, że na obnażone z tyłu ciało spadają jakieś ogniste razy.

W smaganiach rzemieni wyczuwałem twarde uderzenia metalowych klamer. I one zwykle zimne, teraz wydawały mi się gorące. Nie krzyczałem. Po każdym tylko razie wydawałem jęk...

Jak długo egzekucja trwała, trudno mi to sobie uzmysłowić. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich ponury major.

- Soznałsa?/Przyznał się?/- zapytał krótko.

- Niet, towariszcz major - padła odpowiedź porządnie zasapanych enkawudzistów.

- Prodołżat! /Kontynuować!/ - padło od drzwi i znów na moją sempiternę posypały się razy. Na szczęście teraz nie trwało to długo, już bowiem po małej chwili drzwi otworzyły się ponownie.

- Nu, czto goworit? /No, co mówi?/ - znów zapytał major.

- Niczewo, tolko stoniet /Nic, tylko jęczy/ - odpowiedzieli oprawcy.

-Nu, ładno, odwieźtli! /No dobrze, odprowadzić!/ - padł rozkaz i major znikł za drzwiami. Mnie kazano się podnieść. Drżąc na całym ciele naciągałem na siebie spodnie, nieudolnie zapinając je na pozostałe jeszcze guziki.

Podtrzymując pod ręce, ustać na nogach nie mogłem, enkawudziści odprowadzili mnie do celi. Z cichym jękiem upadłem na barłóg w kącie. W spodniach czułem jakąś gęstą, ciepłą wilgoć. Sięgnąłem tam ręką, wyjąłem ją całą we krwi. Milcząc pokazałem sąsiadom. Ściągnięto mi natychmiast spodnie i krew próbowano pościerać. Całą tylną część ciała, oraz okolice pleców, miałem poprzecinane...

- Ale nie przyznał się pan do niczego - usłyszałem szept najbliższego współwięźnia.

- Nie - odpowiedziałem niemal już resztą sił i świadomości i zapadać począłem w jakiś sen, otępienie czy też omdlenie.

Obudziłem się późnym rankiem. Poprzecinana skóra piekła okropnie. Skrzepy krwi miejscami poprzysychały do bielizny i każde najmniejsze nawet poruszenie potęgowało nieznośny ból. Leżałem więc spokojnie analizując w myślach to wszystko, co już się stało, to co może stać się i jak moje losy w rękach radzieckiej sprawiedliwości ukształtują się. W myślach przebiegałem to, co miałem już za sobą w życiu. W pewnym momencie wędrując wstecz wyobraźnią ujrzałem siebie jako dziecko i nawet ubawiła mnie myśl, że właściwie zastosowano wobec mnie matczyne metody wychowawcze. Toć matka, ilekroć jako brzdąc coś spsociłem, zadzierała mi klapę od spodni i wymierzając klapsa powtarzała: "Tobie rozumu do głowy trzeba napędzać przez tyłek!" Teraz mi także rozumu do głowy i zamiłowanie do komunizmu napędzano przez tyłek. Nie były to jednak bezbolesne matczyne klapsy, choć metoda pouczania - ta sama...

Raz po raz otwierały się drzwi celi i wywoływano któregoś z więźniów na przesłuchania. Do mnie podczołgał się wspomniany już więzień Wilczyński, o którym sądzono powszechnie, że jest konfidentem. Przybliżywszy do mojej dwoją, dość czerstwą z czarną bródką twarz, począł się najpierw użalać nad moim losem, a potem opowiadać, jak to jego też bito okropnie, a potem pytano o mnie. Naturalnie on nic nie powiedział i niczego nie zeznał, chociaż wie przecież o mnie wszystko. Tu począł wymieniać mi różne szczegóły: gdzie mamy zakopaną broń, gdzie odbywaliśmy zbiórki, gdzie mieliśmy odprawy, jakie prowadziliśmy akcje. Czułem, jak zmysła

i fantazjuje chcąc przyłapać mnie na jakimś potwierdzeniu czy zaprzeczeniu, które już dać by mu mogły jakąś kanwę do snucia donosu na mnie. Milczałem nie dając się makłonić do zwierzeń ani też wciągnąć do rozmowy. Wreszcie oświadczyłem natrętowi, że jestem bardzo zmęczony i prosiłem go, żeby zostawił mnie w spokoju Zawiedziony w swych rachubach Wilczyński odczołgał się z wolna ode mnie.

Dano mi spokój przez jakieś dwa czy trzy dni aż wreszcie znów wezwano na przesłuchanie i wprowadzono do pokoju, w którym odbierałem ostatnio owe bolesne, na matczynych metodach oparte, cięgi. Powitał mnie ów młody, znający język polski enkawudzista. Zauważyłem na stole pewne druki, ulotki i broszury niemieckie wydawane w języku polskim i białoruskim, i kolportowane przez Niemców na tamtejszych terenach. Skrzętnie wszystkie tego rodzaju druki zbierałem, zdając sobie sprawę z tego, jak cenne one mogą być kiedyś dla mnie przy opracowywaniu wspomnień z tego okresu i jaką wartość materiały te będą w przyszłości przedstawiały. Okazało się, że druki te, jak i inne moje papiery, zabrano z mego mieszkania w trakcie rewizji. Widocznie Janka zabierając kompromitujące naprawdę druki Polski podziemnej, tych druków za niebezpieczne nie uważała bądź też już sprzątnąć nie zdążyła.

W tej chwili wszedł do pokoju major.

- A to co? - wrzasnął pokazując na leżące na stole materiały.- Może i teraz wobec tych dowodów będziecie się jeszcze wykręcać? Dowody te świadczą przecie, jak polscy bandyci, co siebie partyzantami zwali, współdziałali z Niemcami na naszą szkodę, jak mordowali i tępili naszych, jak podle i zdradziecko wysługiwali się faszystom. Co może temu teraz zaprzeczać jeszcze będziecie?

- Druki te, ulotki i broszury - odparłem spokojnie - nie są dowodem naszej zdrady, jakiejś kolaboracji czy wysługiwania się Niemcom. Po prostu są to moje zupełnie prywatne materiały, które skrzętnie zbierałem w nadziei, że kiedyś stać się one mogą cennym źródłem czy dla mnie, czy też dla kogoś, kto zechce poświęcić czasom okupacji jakąś pracę historyczną.

- Kłamstwo - wrzasnął major. Chwycił ze stołu gruby zeszyt czasopisma drukowanego alfabetem łacińskim w języku białoruskim, a przeznaczonego dla nauczycieli i wskazując palcem na okładkę rzucił:

- A to kto?

- Hitler - odpowiedziałem spokojnie, całą bowiem tytułową stronę czasopisma zajmował portret Führera.

- A wot Gitler, Gitler! Wasz drug, przyjaciel! - wrzeszczał teraz major okładając mnie po twarzy zwiniętym w rulon czasopismem. - Wot, ja ciebie nauczę, ty polski bandyto, ty faszysto, ty bydlaku i zdrajco! - Skończył i rzucił na stół zmięte czasopismo. W tym momencie podszedł do mnie ów sympatyczny enkawudzista, który w trakcie przesłuchań, a raczej towarzyskich rozmów, nigdy mnie nie tknął i wymierzył mi pięścią cios w twarz. Uderzenie jedyne jakie od niego otrzymałem, nie było mocne. Zrozumiałem, że ludzki enkawudzista musiał przed swoim przełożonym popisać się okrucieństwem i bezwzględnością w stosunku do przesłuchiwanego. Dziś z prawdziwym szacunkiem i sympatią wspominam postać owego enkawudzisty. Moje dobre myśli były zawsze przy nim. Może one ustrzegły go gdzieś w wojennej kurzawie. Bo dobra myśl potrafi chronić niewidzialnym puklerzem tego, ku któremu jest wysyłana. Może ochroniła i jego... Jego, który w tym koszmarze, w jakim

znalazłem się wówczas, będąc narzędziem przemocy ~~i~~ potrafił zachować ludzką godność i okazać człowiecze oblicze. Kiedyś w trakcie przesłuchań i niemal przyjacielskiej pogawędce zwierzył mi się, że matką jego była Polka...

Na tym "wytrzepaniu" mnie po twarzy Hitlerem i jedynym ciosie śledczego przesłuchanie to się skończyło.

Teraz wśród aresztantów rozeszła się wieść, że ma do więzienia przyjechać jakiś ważny radziecki dygnitarz wojskowy, podobno sam komisarz Białorusi, który co znaczniejszych więźniów będzie przesłuchiwał osobiście. W więzieniu robiono pośpiesznie porządki. Wyprzątano korytarze i cele. Komisarz istotnie przyjechał. Nie przypuszczałem wcale, że do tych znaczniejszych więźniów w pierwszym rzędzie będę należał ja. Jak się wkrótce miałem ponownie przekonać , brano mnie istotnie za ważną w polskim ruchu podziemnym figurę, osobnika, który odgrywał tam niepodrzędną rolę, miał ważne powiązania i dużo musiał wiedzieć.

Późnym wieczorem dnia , w którym przyjechał komisarz, zjawił się w celi po mnie strażnik. Zaprowadził mnie znów na piętro i tym razem wpuścił do wielkiej, jasno oświetlonej sali. Dookoła pod ścianami stali wygalowani oficerowie NKWD świecąc złotymi epoletami. Pośrodku sali stało jedno krzesło, nieco z boku obszerne biurko a na nim otwarta kabura z parabellum.

Polecono mi usiąść na krześle z twarzą zwróconą ku drzwiom. Otaczający mnie krąg oficerów zacieśnił się. Rzucano sobie wzajemnie jakieś porozumiewawcze spojrzenia, które śledziłem z uwagą, silnie podenerwowany, przeświadczony, że lada chwila coś ze mną zaczną robić, że może lada moment spadnie na mnie jakiś cios z tyłu, czy też stanie się może coś jeszcze gorszego. Jakoś w myśli skojarzyło mi się amerykańskie krzesło elektryczne z tym,

na którym siedziałem. Czyżby może miano i tutaj zastosować prąd? A prądu bałem się ogromnie. Nie spostrzegłem jednak żadnych wokół siebie przewodów i to mnie nieco uspokoiło.

Nagle zbiorowe trzaśnięcie obcasami. W pokoju pojawił się komisarz. Był to krępy, niewysoki mężczyzna, wyższy rangą oficer, którego pierś zdobiły liczne ordery.

- Wy kto? - zapytał podszedłszy do mnie.

- Nauczyciel wiejski - odpowiedziałem.

- Nieprawda! Wiemy o was wszystko. Jesteście oficerem polskim i wysłannikiem Londynu zrzuconym na spadochronie na tereny Białorusi. Mówcie, jak się to odbyło, ilu was zrzucono, gdzie są inni? Gdzie macie radiostację? Jak często kontaktowaliście się z Londynem? Jaką i gdzie macie ukrytą broń? Jak moddowaliście naszych partyzantów? Na czym polegała wasza współpraca z Niemcami? Mówcie w tej chwili o wszystkim, nie ukrywajcie niczego, w przeciwnym razie natychmiast każę was rozstrzelać.

Aż mi się w głowie zamąciło od tych pytań. Zrozumiałem, że ci wysocy przedstawiciele władzy radzieckiej, węszący wszędzie nieprzyjaciół, w naiwności swojej biorą mnie istotnie za kogoś bardzo ważnego, kim i w Moskwie będzie się można pochwalić. Z całym spokojem odpowiedziałem więc, że wszystko, co tyczy mojej osoby i działalności, już na poprzednich przesłuchaniach zeznałem i nic więcej nie mam do powiedzenia.

- Nu a Krysu to ty znajesz? - padło teraz pytanie komisarza.

Przez chwilę nie wiedziałem, co mam na to pytanie odpowiedzieć. "Krysa" po rosyjsku znaczy szczur, pytanie więc, czy znam szczura, wydało mi się zaskakujące i bardzo dziwne. Kiedy tak przez moment medytowałem, nad tym co mam odpowiedzieć, pośpieszył mi z pomocą stojący w pobliżu enkawudzista, trzymający w ręce

jakieś papiery, prawdopodobnie akta mojej sprawy.

- Krysie, Krysie waszego czy znacie?

Teraz pojąłem, że szło tutaj o porucznika Jana Borysewicza o pseudonimie "Krysia",jednego z powstańczych dowódców, o którego wyczynach i odwadze krążyły legendy wśród ludności.

Porucznika "Krysi" osobiście nie znałem, raz jeden tylko zetknąłem się z nim na spotkaniu na plebanii w Hermaniszkach. Byłem więc niemal w zgodzie z prawdą, odpowiadając, że go nie znam. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że przecież śledztwo mogło łatwo wykazać to, że porucznika "Krysię" znam, znajdował się on bowiem na jednym zdjęciu grupowym jeszcze z Wilna, z roku zdaje się 1940, gdy mieszkaliśmy razem w bursie studenckiej przy ulicy Wiłkomierskiej. Fotografię tę widziałem wśród innych zabranych mi papierów leżących na stole w czasie owego przesłuchania przez majora, kiedy to dostałem po twarzy zeszytem z portretem Hitlera na okładce. Na szczęście moi "śliedowatiele", którzy porucznika "Krysi" nigdy nie widzieli, nie mogli go oczywiście rozpoznać na zdjęciu.

Teraz po mojej kolejnej negatywnej odpowiedzi na zadane pytania przesłuchujący mnie dynitarz wpadł w furię. Wyciągnął z otwartej kabury parabellum i począł nim wymachiwać mi pod nosem krzycząc, że tu natychmiast, w tym miejscu zastrzeli mnie jak psa i nawet śladu po mnie nie zostanie.

Nie wiem, jak to się stało, ale na podrygi wysokiego dygnitarza, na jego taniec z parabellum wokół mnie zacząłem patrzeć z humorem, wprost rozśmieszyło mnie to wewnętrznie, a ten wewnętrzny uśmiech przeniósł się na moją twarz. Zauważył to komisarz. Furia jego się wzmogła. Rzucił parabellum na biurko, doskoczył do mnie i rozrywając koszulę odsłonił mi pierś. Na piersi na srebrnym

łańcuszku miałem zawieszony medalik z Matką Boską dany mi przez siostrę, gdy w pierwszym dniu mobilizacji udawałem się do pułku. Komisarz chwycił medalik.

- Ty w Boga wierzysz? - zapytał gwałtownie.

- Wierzę - odrzekłem.

- To ty w Boga wierzysz, a naszych to mordowałeś! Wot jaka to swołocz z ciebie! - Puścił medalik i zupełnie dla mnie niespodziewanie kazał mnie wyprowadzić. Wyprowadzono mnie do przyległego małego i ciemnego pokoju, pozostawiono tam samego i kazano czekać. Po jakimś czasie wszedł do pokoju groźny major, popatrzył na mnie i rzekł powoli z głębokim współczuciem:

- Żal mi was, naprawdę. Komisarz kazał was nad ranem rozstrzelać.- Otworzył drzwi na korytarz, zawołał strażnika i polecił odprowadzić mnie do celi.

Szedłem pełen myśli niemal rozpaczliwych. Perspektywa zapowiedzianego nad ranem rozstrzelania przerażała mnie. Czy istotnie to może nastąpić? - pytałem sam siebie w duchu.

W mojej celi wszyscy już spali, jednakże gdy wchodziłem, uniosły się liczne głowy moich znajomych i życzliwych ludzi z okolicy, zainteresowanych szczególniej tym, jak też to wypadło moje przesłuchanie przez samego komisarza Białorusi. Zaledwie się ułożyłem, przysunął się do mnie jeden z gospodarzy, najbliższy mój sąsiad ze wsi.

- No jak tam było, panie kierowniku - zapytał mnie szeptem.

- No cóż - odparłem zrezygnowany - z rozkazu komisarza mam być rano rozstrzelany.

- Ach, niech pan sobie z tego nic nie robi, oni tylko tak straszą, straszą tak wszystkich, lecz nikogo bez sądu nie rozstrzelają. Proszę spać spokojnie.

Tak też było istotnie. Minął ranek, południe, dzień cały, a nikt się po mnie nie zgłosił i nigdzie mnie nie wzywano. Uspokoiłem się i czekałem dalszych kolei losu, zależnego teraz całkowicie od wyroków NKWD.

Po dwóch dniach wezwano mnie znów do śledczego. Wprowadzony zostałem do małego pokoju, w którym już uprzednio byłem przesłuchiwany. W pokoju znajdował się tylko ów młody, sympatyczny, od początku prowadzący moje śledztwo enkawudzista. Poprosił mnie, bym usiadł, i na wstępie bardzo grzecznie przeprosił za to, że na ostatnim przesłuchaniu, uderzył mnie w twarz, oświadczył mi, że musiał tak postąpić, by wykazać się przed zwierzchnikiem gorliwością w służbie i nie spotkać się z zarzutem pobłażliwości dla więźniów.

Po tych przeprosinach odczytał mi protokół mego przesłuchania przez komisarza, dał mi go do podpisania po czym oświadczył, że dochodzenie przeciwko mnie zostało zakończone i w najbliższych dniach stanę przed Sądem Wojskowym Republiki Białoruskiej. Na zakończenie w serdecznych słowach oświadczył mi, że ma wielką sympatię do Polaków, bo matka jego była Polką, że mi szczerze współczuje, ale radzi, żebym się nie załamywał i był dobrej myśli, bo z pewnością zasądzony zostanę na kilka lat łagru, a to nie jest takie groźne, w łagrach bowiem ludzie mają się dobrze i po odbyciu kary cali i zdrowi wracają do domów.

Na tym zakończona została moja ostatnia wizyta u śledczego. Odchodząc wyciągnąłem rękę w kierunku enkawudzisty i poprosiłem go, by mi podał swoją. Cofnął się sądząc może, że chcę mu w jakiś szczególny sposób wyrazić moją wdzięczność, oświadczyłem jednak, że znam się na chiromancji i pragnę mu z dłoni odczytać jego losy. Usłyszawszy to enkawudzista skwapliwie dłoń mi podał i uważnie słuchał tego, co mówiłem.

Odszyfrowywaniem linii ludzkiej dłoni bawiłem się kiedyś dość często. O liniach tych miałem jakie takie pojęcie, nie na tyle jednak, by istotnie móc komuś losy jego z linii rąk tłumaczyć. Z sympatycznym enkawudzistą po prostu chciałem się nieco zabawić i chwilę pobyć w jego towarzystwie nie w charakterze więźnia, ale gościa i przyjaciela. Trzymałem teraz w mojej ręce jego naprawdę delikatną dłoń i mówiłem mu początkowo rzeczy przyjemne o linii serca, linii rozumu i wynikających stąd właściwościach jego charakteru i życiowych możliwościach.

Umilkłem na chwilę wpatrując się uparcie w jedną z linii jego dłoni. Zaciekawiony enkawudzista zapytał, dlaczego przestałe mówić. Odpowiedziałem, że właśnie wpatruję się w linię życia, która mi się jakoś nie bardzo podoba, no bo to widzicie towarzyszu, charakter waszej służby... Tu przerwałem słowom swoim nadając charekter złowróżbny i tajemniczy, chciałem młodego "śliedowatiela" zniechęcić do wykonywanej przez niego służby.

- Rozumiem, dziękuję - rzekł po chwili, uścisnął mi rękę i wyprowadził z pokoju.

Tak zakończyła się moja "droga przez mękę" do radzieckiego sądu wojskowego, na który miałem teraz oczekiwać.

Sąd odbył się po kilku dniach. Któregoś ranka w drzwiach celi stanął strażnik wołając:

- Uczitiel, sobirajsia z wieszczami! Zbierać się do wyjścia z rzeczami znaczyło, że się już do tej celi nie wróci, bo idzie się na sąd, po którym już zasądzonych więźniów umieszczano w innych celach. Zarzuciłem więc na plecy worek, raz jeszcze ogarnąłem okiem wszystkich i z lekkim gestem dłogi oraz słowem "żegnajcie" opuściłem celę.

Zaprowadzono mnie do sali, w której odbywał się sąd. Worek z sucharami złożyłem przy drzwiach i stanąłem przed obliczem kompletu sędziowskiego. Tym razem komplet ten składał się

z przewodniczącego, wyższego rangą oficera, zdaje się pułkownika, oraz dwóch "zasiedatielej", również wojskowych, oficera w randze kapitana oraz zwykłego szeregowca, który przez cały czas rozprawy z zaciekawieniem wpatrywał się we mnie. Chwilami wydawało mi się nawet, że w tym badawczym spojrzeniu żołnierza dostrzegam przebłysk życzliwości, sympatii czy też współczucia.

Rozprawa trwała krótko. Była to właściwie zwykła formalność, celem której było ogłoszenie zapadłego już z góry wyroku. Nie przesłuchiwano żadnych świadków i niemal nie zadawano mi pytań. Po oświadczeniu moim, że do winy się nie przyznaję, sędzia wstał i odczytał mi wyrok skazujący mnie na dziesięć lat "isprawitielnych trudowych łagierej".

Tak więc wyrokiem Sądu Wojskowego NKWD Obwodu Grodzieńskiego, na podstawie paragrafu 63 punkt I Białoruskiego Kodeksu Karnego, mówiącego o zdradzie ojczyzny, skazany zostałem na dziesięć lat poprawczych obozów pracy i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Stało się to 26 kwietnia 1945 roku, czyli w niespełna cztery miesiące od dnia mego aresztowania. Cztery miesiące prawie toczyło się śledztwo przeciwko skromnemu wiejskiemu nauczycielowi, w trakcie którego awansowano mnie do rangi londyńskiego emisariusza, postrachu Związku Radzieckiego, przywódcy bandytów i mordercy radzieckich partyzantów, na którego przesłuchanie przyjechał z Mińska sam komisarz Białorusi!
Nie pozowałem nigdy na bohatera ani wielkiego człowieka, zrobiły to za mnie władze radzieckie, które w ciągu całego śledztwa usiłowały to wmówić we mnie. Widocznie prawdą jest, że strach ma wielkie oczy. Widocznie mocno niepewnie czuć się musiała władza, która wszędzie węszyła przeciwników, która szacunek i posłuch dla siebie próbowała zdobywać strachem i terrorem, torturą, biciem i poniżaniem ludzkiej godności.

Z czasem ów maltretowany wiejski nauczyciel, świadom sytuacji swego kraju, stał się aktywnym działaczem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Po ogłoszeniu wyroku kazano mi wziąć worek i odprowadzono do innej celi w przeciwnym końcu korytarza. Była to wielka cela o dwóch zakratowanych i osłoniętych oknach wychodzących na więzienny dziedziniec. Z dziedzińca dochodziły różne odgłosy charakterystyczne dla więziennego życia. Czasami jakaś komenda strażnika, szczęk czy warkot motoru. Na dziedziniec ów wychodziliśmy mniej więcej co drugi dzień na "progułku". Spacer odbywał się na małym kwadratowym placyku odgrodzonym szczelnie od reszty podwórza wysokim drewnianym parkanem. Wypuszczano nas tam dwójkami, po czym dokładnie zamykano furtkę. Chodziliśmy przez kilkanaście minut dwójkami wokół placyku pod czujnym okiem dozorcy, który baczył pilnie, byśmy ze sobą nie rozmawiali, chociaż nigdy nie obyło się bez tego, by więźniowie ze sobą się nie porozumieli przekazując wzajemnie co ciekawsze wiadomości tyczące szczególnie tych, którzy od czasu do czasu gdzieś znikali i przepadali na zawsze. Zdarzało się, że co młodszych i sprytniejszych więźniów brano co parę dni do pracy, zatrudniając ich przy porządkowaniu rozległych piwnic pod gmachem więzienia. Po powrocie z takiej pracy chłopcy opowiadali o zakrwawionych ubraniach, które stale znajdowali w piwnicach. Właśnie na spacerach dowiadywaliśmy się o tym.

W końcu długiego korytarza, którym wychodziliśmy na "progułku", znajdowała się cela, przed którą bezustannie dyżurował strażnik. Jak nas wkrótce szeptem poinformowano była to cela śmierci, w której siedzieli więźniowie oczekujący egzekucji. W drzwiach celi znajdował się judasz - małe, okrągłe okienko, przez które raz po raz do celi zaglądał wartownik, bacząc, by

któryś z więźniów sam sobie przedterminowo sprawiedliwości nie wymierzył...

W celi do której teraz trafiłem, spotkałem kilku znajomych mi leśnych chłopców.

Z miejsca otoczyli mnie wszyscy wypytując przede wszystkim o to, ile dostałem? To było w tamtych okolicznościach pytanie zasadnicze i najważniejsze. Mimo całej"wielkości", jaką mi wmawiano, a co za tym idzie i wagi przestępstw, należałem do tych, którzy dostali średnio. Byli bowiem wśród skazanych tacy, którzy zasądzeni zostali na osiem lat, ale byli też i zasądzeni na dwadzieścia pięć lat. Wszyscy prowadzili ożywione rozmowy, których tematem były przeważnie dociekania, dokąd zostaniemy wywiezieni. Więźniowie w celi modlili się. Każdego niemal dnia, szczególnie pod wieczór, rozlegały się śpiewane półgłosem pieśni religijne, wieczorem odmawiano przy pryczach modlitwy, z tym że gwar w celi nie ustawał i często jedni drugim w modleniu się przeszkadzali. Obejmując z miejsca przywództwo duchowe nad celą, wierny tkwiącym we mnie instynktom organizatora-społecznika, zaproponowałem, aby nie przeszkadzając sobie wzajemnie z rana i wieczora modlić się wspólnie. Propozycja została przyjęta z uznaniem. Naturalnie do prowadzenia pacierzy powołany zostałem ja i z obowiązków tych aż do momentu wywiezienia wywiązywałem się należycie. Szczególnie uroczyste modły zorganizowałem wczesnym rankiem przypadającej akurat wówczas niedzieli wielkanocnej. Była to nasza rezurekcja, po której wszystkim współwięźniom złożyłem serdeczne życzenia pomyślnego przetrwania i szczęśliwego powrotu do wolnej już ojczyzny.

Czy wszyscy więźniowie celi, do których kierowałem moje życzenia przetrwali? Czy przetrwali szczególnie ci, którzy do

odcierpienia mieli dwadzieścia pięć lat straszliwych łagrów? Może do kogoś z tych, do których wówczas moje słowa kierowałem, a którzy istotnie przetrwali, dotrą i te moje słowa?

Tak na wspólnych, nieraz ożywionych rozmowach, śpiewaniu półgłosem religijnych pieśni, z których jedna - "O serce Jezusa, u Ciebie schronienia szukamy w ucisku niedoli" - w naszych warunkach szczególnie przypadła nam do serca, upływały nam dnie oczekiwania na transport. Więźniowie zajmowali się, czym kto potrafił. Ja chodząc wzdłuż celi, pomiędzy pryczami, składałem rymy. Nie mając możności zapisywania niczego, układałem teksty piosenek dostosowując je, w celu łatwiejszego zapamiętania, do znanych mi melodii. Niektóre z tych piosenek już w obozie pozapisywałem, większość jednak uleciała mi z pamięci. Pamiętam jedną dobraną do melodii piosenki legionowej "Raduje się serce, raduje się dusza", która kończyła się słowami:

Niech żyje Rząd Polski i Armia Krajowa -
Prześladowcom naszym zemsta piorunowa!

którą podchwycili chłopcy i w celi rozbrzmiewała ona niejednokrotnie. Nie brakło też, jak zwykle w takich razach, i rozmaitych figlów, których sprawcą była nudząca się w zamknięciu młodzież. Najczęściej stosowany figiel był szczególnie nieprzyjemny, a często i bolesny. Wsuwano mianowicie między palce bosych nóg śpiącego na pryczy więźnia skrawki papieru, które następnie zapalano. Naturalnie delikwent, czując gorąco, zaczynał ku wielkiej uciesze figlarzy machać nogami. Nazywało się to jazda na rowerze i z pewnością do kategorii rozrywek przyjemnych nie należało.

Któregoś dnia do naszej celi wrzucono nowego mieszkańca. Był nim starszy pan, jakiś kresowy szlechetka, imć Maciukiewicz,

zajmujący się namiętnie rozmową z zaświatami za pomocą spodeczka, na którym opierał palce, a spodeczek wirując zatrzymywał się na nakreślonych w kole literach, z których układano słowa, a ze słów zdania, którymi "duchy" porozumiewały się z nami. Często zbieraliśmy się po kilku tworząc z panem Maciukiewiczem zamknięty łańcuch palców na spodeczku, który wówczas biegał jak szalony od litery do litery. Gdy nie było pod ręką spodeczka, do rozmów z duchami używano kubków.

Tak się złożyło, że ów spodek i kubki trzeba było oddać, nie było więc jak z duchami się kontaktować. Pan Maciukiewicz orzekł jednak, że do tego celu mogą doskonale również służyć guziki. Odrywano je więc od różnych części garderoby i bielizny zmuszając do pozaziemskich kontaktów. Pod palcami pana Maciukiewicza guziki biegały sprawnie i dostarczały nam wciąż nowych, niejednokrotnie rewelacyjnych wieści z zaświatów. Mania zasięgania takich informacji za pomocą guzików ogarnęła wielu. Niektórym istotnie to się udawało. Jakieś utajone w nich impulsy czy fluidy powodowały to, że guziki istotnie pod ich palcami biegały od litery do litery, nie zawsze jednak układając z nich jakieś sensowne zdanie. Rychło też zabawy poniechano, jedynie pan Maciukiewicz całymi dniami leżał w kącie na swej pryczy i uparcie wodził guzikiem, oświadczając nam raz po raz, z jakim to duchem nawiązał kontakt. Pewnego dnia oświadczył, że nawiązał łączność z duchem generała Sikorskiego, do którego zwrócił się z pytaniem, kiedy będziemy uwolnieni z więzienia. Generał Sikorski odpowiedział mu, że już jedzie po nas delegacja utworzonego w kraju polskiego rządu, który z władzami radzieckimi zawarł porozumienie w sprawie zwolnienia wszystkich aresztowanych i przetrzymywanych w więzieniach Polaków. Sprawa wydawała się

być wielce prawdopodobna, bowiem słuchy o zawarciu takiego porozumienia krążyły już dawno.

Czekaliśmy teraz cierpliwie dalszych informacji generała Sikorskiego dotyczących jadącej do nas delegacji. Generał Sikorski za pośrednictwem guzików pana Maciukiewicza codziennie zapewniał nas, że delegacja jest coraz bliżej. Że już była w Mińsku, gdzie załatwiła wszelkie formalności, i właśnie zbliża się do Lidy. Teraz napięcie oczekiwania wzrosło. Co prawda większość mieszkańców celi pokpiwała sobie z zaziemskich informacji pana Maciukiewicza i nie przywiązywała do nich wagi, wielu jednakże zrozpaczonych i przerażonych perspektywą wywiezienia z kraju, chwytało się tej złudnej nadziei ratunku i zmuszało pana Maciukiewicza do nieprzyrywania zaziemskich kontaktów. Tkwił więc biedak całymi dniami w kącie na pryczy pochylony nad swoim guzikiem.

Wreszcie któregoś ranka pan Maciukiewicz radośnie nam oświadczył: "Już są! Są już pod bramami więzienia i czekają, by ich wpuszczono". Czekaliśmy w napięciu i my wszyscy. Czekali z zaciekawieniem nawet sceptycy nie wierzący w guzikowe informacje. Minął jednak ranek, minęło południe, wieczór i noc, minął dzień następny, a z nami nic się nie stało i o delegacji polskiej nie rozeszły się nawet żadne słuchy.

Przypuszczono więc szturm do pana Maciukiewicza. Jak to jest z prawdziwością tych jego zaświatowych informacji? Czemu one się nie sprawdzają? Pan Maciukiewicz obiecał "połączyć" się z generałem Sikorskim i w sprawie delegacji polskiej zasięgnąć ściślejszych informacji. Jak nam później oświadczył, istotnie z generałem Sikorskim się skontaktował i zapytywał o delegację, generał jednak sam tym wszystkim był zaskoczony i miał pójść do Matki Boskiej, jako wszechwiedzącej Królowej Korony Polskiej,

aby szczegółowo wybadać, czemu to zapowiedziana delegacja rządu polskiego nie przebyła do więzienia lidzkiego. Teraz już wszyscy stwierdzili, że całe te zaziemskie kontakty pana Maciukiewicza, jego informacje o delegacji polskiej są tylko tworem chorobliwych majaczeń człowieka dotkniętego lekkim obłędem. W przekonaniu tym utwierdziło wszystkich złożone przez pana Maciukiewicza oświadczenie, że niestety generał Sikorski niczego dowiedzieć się nie mógł, Matka Boska bowiem rozmawia tylko po łacinie, a generał tego języka nie zna...

Tak prysły wszelkie iluzje hodowane tu i ówdzie w zakamarkach świadomości, nikłe nadzieje, strzępy ułudnej wiary, że może istotnie cud się jakiś stanie, że coś może zajdzie i że wywózki uniękniemy... Nic się nie stało. Twarda rzeczywistość gotowała nam los srogi i nieunikniony.

Tego dnia z rana w korytarzach więzienia powstał jakiś szum. Z podwórza również dobiegały niecodzienne odgłosy i gwary jakby wielkiej gromady ludzi. W pewnej chwili drzwi celi otworzyły się i stojący za nimi strażnicy kazali nam się zbierać i wychodzić na korytarz z rzeczami.

- Wywożą nas! Wywożą! - gruchnęło po wielkiej celi. Powstał niesamowity gwar, ruch i krzątanina, aż nagle na całe więzienie popłynęła z mocą, zaintonowana i nie wiadomo przez kogo, potężna pieśń, ślubowanie:

"Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!"

Pieśń płynęła, potężniała, wydzierała się z celi na korytarze, biła w kraty okien, przez które ulatała w przestrzeń, ku niebu. Niosła się ku ziemi, którą śpiewających zmuszano porzucać. Drgała rozpaczą, bólem i żalem ogromnym, ale biła od niej dostojność i moc niepojęta, siła urągająca ciemięzcom,

którzy carskie metody przemocy stosowali teraz ze zdwojoną siłą, wdrapując się w szaty wyzwolicieli.

Strażnicy jakby na moment potracili głowy, stali bezradni nie wiedząc, co począć. Wnet jednak do celi wpadli rozwścieczeni enkawudziści usiłując przekrzyczeć śpiewających. Pieśń dośpiewana przycichła. Zaczęły się gorączkowe pytania i dochodzenia, kto pieśń zaintonował. Kto poddał myśl śpiewu? Kto byli ci pierwsi, co śpiewać zaczęli? Sala milczała w bezruchu. Więźniowie stali przy swoich tobołkach nieporuszeni, a wśród nich przeciskali się enkawudziści zaglądając więźniom w twarz, jakby chcieli na ich ustach ułowić jeszcze zatrzymane tam echo znienawidzonej pieśni. Z podwórza jednak dobiegały już głosy komend, na korytarzach pokrzykiwali strażnicy:

- Wychadi! Wychadi! /Wychodzić! Wychodzić!/ - nie znalazłszy winnych zaintonowania pieśni enkawudziści celę opuścili, a my idąc dwójkami z workami na plecach poczęliśmy wychodzić na podwórze.

Rozwarła się na oścież masywna, żelazna brama lidzkiego więzienia. Uszeregowani teraz we czwórki pod silnym konwojem strażników trzymających w rękach wymierzone w nas karabiny ruszyliśmy w stronę dworca kolejowego. Nim jednak z miejsca ruszyliśmy się, padło w naszą stronę rzucone przez dowódcę konwoju iście sakramentalne ostrzeżenie:

- Szag w prawo, szag w liewo, konwoj budiet prynimat' orużiele /Krok w prawo, krok w lewo, konwój użyje broni!/

O jakże często ostrzeżenie to na naszej zesłańczej drodze wypadło nam później usłyszeć...

Opuszczałem Lidę 21 czerwca 1945 roku. 26 kwietnia odbył się mój sąd. Niemal więc dwa miesiące przesiedziałem w więzieniu lidzkim po wydaniu wyroku. Był czas na śpiewy, na rozmowy, na komponowanie piosenek i na wróżby pana Maciukiewicza...

Męcząca podróż w zaplombowanych bydlęcych wagonach z długimi postojami w drodze, w czasie których zaopatrywano więźniów w wodę do picia, trwała ponad tydzień. W tym czasie odżywialiśmy się wyłącznie wiezionymi ze sobą sucharami, zapijając je dostarczaną nam wodą. Ten i ów miał jeszcze coś z zapasów dostarczanych mu przez rodzinę do lidzkiego więzienia. Ja oprócz sucharów nie miałem nic, ci, którzy mieli coś więcej, dzielili się ze mną po przyjacielsku uczciwie i szczerze.

Dziesiątego dnia naszej podróży, wczesnym rankiem, pociąg zatrzymał się na jakiejś większej stacji. Pokrzykiwania strażników, ze zgrzytem rozsuwają się wrota bydlęcych wagonów, każą nam się zbierać i wysiadać. Gdzie jesteśmy? Z zaciekawieniem patrzę na budynek dworcowy. Na jego frontonie u góry widnieje napis: "Orsza". Zaraz, zaraz. Coś się z tą nazwą kojarzy w umyśle. Toć to pełen zawadiackiej fantazji imć pan Andrzej Kmicic z "Potopu" był chorążym orszańskim. A co jeszcze? Coś jeszcze wcześniejszego, zapamiętanego ze szkolnych lekcji historii Polski wiąże się z tą nazwą. Początek wieku XVI. Trwa długa wojna moskiewska. Ogromna armia cara Wysyła 8 września 1514 roku zostaje rozbita w proch pod Orszą przez wojska polskie pod wodzą Konstantyna Ostrogskiego. Na polu bitwy padło, jak mówi historia, czterdzieści tysięcy rosyjskiego wojska.

Potoczyły się koleje dziejów...

I znów ustawiliśmy się czwórkami, znów sakramentalne "szag w prawo, szag w lewo" i pod konwojem strażników pomaszerowaliśmy ulicami miasta.

Szliśmy niedaleko. Gdzieś w okolicy dworca znajdowały się wielkie, piętrowe zabudowania, chyba po jakichś magazynach, składach czy jakimś przedsiębiorstwie, cały bowiem wielki teren, na którym zabudowania te się znajdowały, ogrodzony był wysokim drewnianym parkanem.

Dzień lipcowy był pogodny,/słoneczny i gorący. Strudzeni drogą, zaraz po wejściu na obszerny dziedziniec, gdzie kazano nam czekać, posiadaliśmy przy swoich workach na ziemi, ciekawi tego, co też dalej nas czeka.

Byliśmy w Orszy na "pieresylnym punktie" /punkcie etapowym/, na którym z różnych stron gromadzono więźniów, tu ich segregowano, łącząc w grupy i stąd transportując do wyznaczonych miejsc zesłania. A więc Orsza, punkt etapowy i w moim aresztanckim życiu nowy kamień drogowy...

Po jakimś czasie zjawiła się moc szeregowych enkawudzistów, ale już nie tych z konwoju. Kazano nam poskładać rzeczy w jednym miejscu, po czym odprowadzono nas nieco na stronę i kazano nam się rozbierać.

Inna grupa enkawudzistów zaczęła myszkować wśród naszych tobołów. Nastąpiła ścisła rewizja i gruntowny przegląd naszych rzeczy oraz odzieży. Staliśmy rozebrani gromadkami trzymając w rękach odzież. Do każdego z nas podchodził enkawudzista i każdą sztukę badał niezwykle drobiazgowo, obmacując szczególnie grube szwy w odzieży wierzchniej. W pewnym momencie namacał coś w dolnym szwie mojego palta. Podważony scyzorykiem szew został natychmiast rozpruty. W rękach enkawudzisty znalazł się mój różaniec, będący dla mnie rodzinną pamiątką, a który jeszcze w lidzkim więzieniu zaszyłem w palto w nadziei, że jak wędrował ze mną w dniach wojny i okupacji, tak też powędruje ze mną na szlaki wygnania. Niestety, wyrwany z palta ręką żołnierza

różaniec znalazł się w stercie innych dewocjonaliów rzucanych przez rewidentów na ziemię. Enkawudziści tak skwapliwie badali każdy szew i każde zgrubienie odzieży, bo podobno czasami znajdowali zaszyte tam złoto. Radością znalezienia kawałka tego cennego metalu zapaliły się nagle oczy przeszukującego moją odzież rewidenta, palce jego tak jak w dolnym szwie tak teraz natrafiły na jakiś okrągły twardy przedmiot zaszyty w palcie pod guzikiem. Znów błysk scyzoryka, znów rozcięte sukno i z cichym przekleństwem enkawudzisty w stercie dewocjonaliów znalazł się mały aluminiowy medalik z Matką Boską poświęcony podobno jeszcze w Częstochowie, który zawiesiła mi na szyi siostra, gdy pierwszego dnia mobilizacji udawałem się do pułku. W ślad za moim medalikiem powędrowała rzucona z rozmachem piękna książeczka do nabożeństwa, znaleziona w kieszeni ubrania stojącego obok mnie chłopca, Janka Ciereszki. Patrzyłem na chłopca i mimo tragizmu sytuacji przez moment pomyślałem, że tak wyglądać musieli chyba młodzi efebi na stadionach Grecji, że może na takim właśnie modelu spoczywały oczy Fidiasza, gdy rzeźbił nieśmiertelne posągi.

Wreszcie rewizja się skończyła. Kazano nam się ubrać, zabrać rzeczy i pognano nas na punkt sanitarny do kąpieli i odwszenia. Weszliśmy do obszernych pomieszczeń, pełnych wyziewów pary i jakiegoś zaduchu. W pierwszym takim obszernym pomieszczeniu stały rzędem pod ścianami szerokie ławy. Kazano nam siadać i szybko się rozbierać. Zdjęte ubranie i bieliznę należało szybko za dziurki od guzików nadziać na metalowe leżące przy ławach pierścienie. Tak. sporządzone pęki odzieży obsługa punktu, rekrutująca się również z więźniów, odnosiła na drążkach do "prożarki", "Prożarka" ta polegała na umieszczeniu odzieży

w zamykanych szczelnie metalowych kabinach, nagrzewanych do wysokiej temperatury. W ten sposób odzież była dezynfekowana i zabijano w niej wszelkie insekty.

Wraz z kolegą Władysławem Hancewiczem szybko uporaliśmy się ze swoją odzieżą. Obok nas jednak jakiś wątły wyschnięty staruszek nijak nie mógł czynności podołać. Drżące dłonie nie miały siły otworzyć prężnego, metalowego pierścienia ani ponawlekać nań odzieży. Wspólnie z panem Władysławem dopomogliśmy staruszkowi. Szybko zebraliśmy jego odzież, nawlekliśmy na pierścień i podrzuciliśmy obsłudze do "prożarki".

Teraz trzeba było przejść do kąpieli. Podtrzymując staruszka pod ramię przeszliśmy do pomieszczeń łaźni. Była to ogromnie długa izba z licznymi, przeważnie nie działającymi natryskami i umieszczonymi około ścian pod kranami wielkimi miednicami. Pod natryskami mieliśmy myć całe ciało, a w miednicach nogi. Ponieważ, jak zaznaczyłem, natryski w większości nie działały, kończyło się przeważnie na myciu nóg w miednicach, do których nabierano wody z kranów.

W drzwiach wejściowych do łaźni siedziała jakaś karłowata baba, ni to Żydówka ni to Cyganka, która z rozmachem niemiłosiernie tępą brzytwą goliła z grubsza owłosienie w kroczu. Z wprawą chwytała w garść dowody naszej męskości, wydłużała je i przejeżdżała po nich i w ich okolicy tępą brzytwą. U nóg jej leżała już spora sterta karakułowatych, twardych włosów.

Zwilżywszy nieco zimną wodą piekące po tym niezwykłym goleniu krocze, drugimi drzwiami wróciliśmy do pomieszczenia, w którym rozbieraliśmy się. Tam już wynoszono z kabin gorącą odzież i rzucano ją na środku izby. Każdy starał się jak najrychlej odnaleźć swoją odzież i możliwie szybko się ubrać.

Wszystko bowiem odbywało się na tempo przy bezustannym poganianiu strażników. Parzyły metalowe pierścienie, parzyła nadziewana na siebie gorąca odzież. Z panem Władysławem zdołaliśmy się szybko ubrać i pośpieszyliśmy z pomocą naszemu staruszkowi. Wyszukaliśmy jego odzież, zdjęliśmy z pierścienia i sztuka po sztuce naciągnęliśmy na niego, o własnych bowiem siłach rady by sobie nie dał.

- A wy kto po nacjonalności? - zapytał, gdy był już ubrany.

- My Poliaki. /Polacy jesteśmy./ - odrzekłem.

- A, Poliaki - uśmiechnął się staruszek - da, eto choroszij narod. Ja jestem ze Smoleńska - począł się nam zwierzać i jeszcze pamiętam pod Smoleńskiem stare dęby, które rosły na granicy z dawną Rzeczpospolitą Polską. Jestem cerkiewnym diakiem. W czasie wojny zarabiałem nieco na życie jako zdun. Znam się trochę na tym rzemiośle. Raz Niemcy zmusili mnie, bym wyremontował piec w ich kwaterze. Za to nasi mnie osądzili. Dostałem dziesięć lat. Na pewno nie przeżyję. Umrę jeszcze gdzieś w drodze Może pod swoim Smoleńskiem... Wożili mnie wszędzie, włóczyli po różnych więzieniach, teraz chyba jeszcze przez Smoleńsk pojedziemy, bo wszystkie transporty jadą w tamtym kierunku.

Staruszek uścisnął nam ręce i wyrzekł na pożegnanie słowa, które jakoś dziwnie utkwiły mi w pamięci i dotychczas z niej nie uleciały: "Daj Boh, cztoby Polsza rasła, rezszyriwałaś' i ukriepliałas' w siłu za to czto ona wospitała takich ludiej, kotoryje obratilis' ko mnie tak, kak ja obraczałsia kogda to k' swoim roditieliam /Daj Bóg, żeby Polska rosła, rozszerzała się i wzmacniała, za to, że ona wychowała takich ludzi, którzy odnieśli się do mnie tak, jak ja odnosiłem się kiedyś do swoich rodziców./

To błogosławieństwo umęczonego cerkiewnego diaka poszło

za mną na szlaki mojego wygnania i może było maleńkim promykiem dobra, który przyczynił się nieco do tego, że mrok zła i niewoli zdołałem przetrwać szczęśliwie...

Teraz już ubranych, wyprowadzono nas z parterowych pomieszczeń dezynfekcyjnych i zaprowadzono do wielkiego centralnego budynku, w którym przetrzymywano aresztantów. Znaleźliśmy się w ogromnej, podłużnej sali na pierwszym piętrze. Całe jej urządzenie stanowiła stojąca przy drzwiach duża "parasza", metalowy kocioł z uchwytami, niezbędne naczynie służące do załatwiania potrzeb fizjologicznych tak wielkiej masy ludzi spędzonych do tego pomieszczenia. Rozlokowaliśmy się wzdłuż sali w sześciu rzędach. Właściwie były to trzy rzędy, z tym że w każdym leżało po dwóch więźniów zwróconych ku sobie głowami. Po środku ustawione były rzędem worki z sucharami, na których więźniowie wspierali głowy. Ścisk był okropny. Pomiędzy rzędami leżących nie było można przejść, żeby komuś nie nadepnąć na nogę. O jakimś poruszaniu się czy też samodzielnym przewróceniu się z boku na bok mowy być nie mogło. Toteż od czasu do czasu gdzieś z końca leżących rzędów padała komenda: "Obiernutsia" /Obrócić się!/ Na to zawołanie ścisnięci więźniowie przewracali się jednocześnie na drugi bok.

Przy drzwiach w pobliżu "paraszy" zauważyłem niskiego, krępego mężczyznę, który już nijak do rzędów wcisnąć się nie mógł i siedział teraz skulony w wolnym kąciku przy "paraszy". Zapytałem go, jak w takiej pozycji odpocznie nie mając nawet możności wyciągnięcia nóg?

- O, ja sobie doskonale dam radę i z pewnością wypocznę - odpowiedział mi z uśmiechem. Istotnie, kiedy w nocy podszedłem, aby z "paraszy" skorzystać, na jakimś haku wbitym nad nią w ścianę, wisiała dolna część więźnia, górna zaś doskonale

mieściła się w swobodnym kąciku i spała sobie w najlepsze. Okazało się, że więzień był inwalidą i zamiast nóg miał protezy, które sięgały aż do bioder. I tacy zagrażali potędze Związku Radzieckiego! I takich trzeba było zamykać, sądzić i wieźć gdzieś na dalekie, straszliwe wygnanie...

W ciągu dnia mogliśmy swobodnie wychodzić na ogromny dziedziniec, korzystaliśmy też z tego skwapliwie tym bardziej, że dnie były piękne i lipiec nie szczędził nam ciepła, pogody i słońca.

W trakcie tych spacerów na dziedzińcu zawiązywały się znajomości, nadzierzgały przyjaźnie, dzielono się wspomnieniami, zastanawiano się na sytuacją, szeptano sobie z ust do ust "najnowsze", przeważnie dla nas korzystne, wiadomości, które nigdy nie były prawdziwe i nigdy się nie urzeczywistniały. Tonący brzytwy się chwyta - mówi przysłowie. Ta rzesza udręczonych więźniów, gnanych w nieznane, na długie lata niewoli, chwytała się każdego wątku, rozdmuchiwała każdą iskierkę nikłej i złudnej wieści, szukając w niej pokrzepienia, siły, wytrwania i zapalając z niej płomień nadziei. Nadziei niestety złudnej i zwodniczej, jaka nie miała się ziścić.

Na tych spacerach, oprócz chłopców mi znanych, z którymi w partyzanckich kontaktach i którzy jechali ze mną w jednym transporcie, poznałem wielu dzielnych chłopaków z dalszych okolic. Spod Lidy, od Nowogródka, Ejszyszek, Bieniakoń. Pamiętam niektóre nazwiska: Cierieszko, Lojlidko, Marcinkiewicz, Bień, Mizera, Lewandowski, Sakiewicz i wielu, wielu innych. Wszystko to była młódź dzielna przesiąknięta patriotycznym duchem. Brać leśna, żołnierze polskiego podziemia...

Niemal codziennie spośród aresztantów z naszej grupy, wybierano kilku, przeważnie młodych, do zajęć gospodarskich.

Sprzątania podwórza, robienia porządków w pomieszczeniach sanitarnych, przygotowywania potrzebnego opału itp. Pewnego razu grupa naszych chłopców wyprzątała doły, w których gromadzono śmieci, zlewano zawartości "parasz" i rzucano wszelkiego rodzaju nieczystości. Chłopcy powrócili z tej pracy obładowani różańcami, medalikami i innymi dewocjonaliami odbieranymi więźniom, które potem wyrzucano do śmietnika. Różańce i medaliki porozbierali więźniowie. Celuloidowy obrazek, stanowiący kiedyś okładkę porwanej książeczki do nabożeństwa, a przedstawiający stojącego Chrystusa z kielichem w dłoni, przewędrował ze mną wszystkie tułacze drogi i obozy i mam go do dziś w swym biurku jako wspomnienie tych dni okrutnych, a może siłę i błogosławieństwo na ich przetrwanie...

Na punkcie etapowym trwał ciągły ruch. Codziennie pod eskortą, ale już nie tak silną jak na terenach dawnej Polski, odchodziły transporty na dworzec. Codziennie wywoływano z sali liczne nazwiska. Z wywołanych tworzono kolumny i wyprowadzano na dworzec. Wreszcie przyszła kolej i na nas. Nasza lidzka grupa została wywołana niemal w całości. Znów z workami sucharów na plecach, których zapas kurczył się stopniowo, ustawieni w czwórki, ruszyliśmy na znany nam już dworzec kolejowy.

Lipcowe słońce prażyło porządnie. Szliśmy jakąś uliczką między drewnianymi domkami, przed którymi w ogródkach pyszniły się wspaniałe malwy. Przy jednym z takich domków, na ławce obok otwartej furtki, siedziała jakaś blond dziewoja w słomianym kapeluszu i perkalowej sukience, która widocznie w przypływie patriotycznych uczuć, na widok tak licznej grupy pokonanych i uciemiężonych wrogów jej ojczyzny, przeraźliwie piszczącym głosem wykrzykiwała jakąś piosenkę wtórując sobie na gitarze.

Jeśli imć pan chorąży orszański Andrzej Kmicic powiedział ongiś swoim kompanom że "kominy orszańskimi pannami zatykać" - to chyba miał świętą rację. Odprowadzająca nas swoim śpiewem orszańska pannica do tego chyba jedynie się nadawała...

Na dworcu czekał nas już przygotowany specjalnie pociąg. Długi, składający się z jakichś ogromnych wagonów towarowych, z maleńkimi, zakratowanymi okienkami u góry. Przed pociągiem tłumy więźniów. Moc żołnierzy, enkawudzistów, oficerów i szeregowych. Więc to tak? Tak będziemy chyba jechać w bezkresy Sybiru. No bo gdzieżby? Polakom te drogi są znane....

Okrzyki, nawoływania, poganianie... Każą nam się ładować do wagonów. Gramolimy się jak możemy. Wagony są wysokie, na potężnych kołach, stopni do nich nie ma. Nie stoją przy rampie, a gdzieś na torach, na uboczu. Pakują nas do wagonów jak śledzie do beczki. Chyba po czterdzieści osób. Z ogromnym żalem stwierdzamy, że teraz nas rozłączają. Do wagonów wsadzają część więźniów Polaków, a część Rosjan. Tych wiozą mnóstwo. Bóg wie skąd była ta cała zbieranina nożowników, złodziei, bandytów, gwałcicieli i innych wszelkiego autoramentu i pokroju ciemnych typów spoza nawiasu społeczeństwa. Wśród nich było bardzo wielu żołnierzy skazanych częstokroć za ciężkie przestępstwa i wiezionych nieraz aż z frontu. Więźniowie Rosjanie z miejsca stali się w wagonie panami położenia. Oni pozajmowali najlepsze miejsca na piętrowych pryczach, oni porozmieszczali się w górze przy okienkach, przez które wpadało nieco świeżego powietrza. My poukładaliśmy się wszyscy, gdzie i jak kto mógł na podłodze. Mnie udało się dostać dobre miejsce w kącie wagonu pod ścianą. Ułożyłem tam swój worek, siadłem, oparłem się o niego i czekałem, co będzie dalej. Gdy wagon został już dostatecznie załadowany, ze zgrzytem zasunęły się jego wrota , opadły ciężkie rygle.

Głośne rozmowy konwojentów przy wrotach wagonu, jakieś polecenia, ruchy, uderzenia i oto wagon został zaplombowany. "Towar" gotów był już do wysyłki.

Przeszło jeszcze dość dużo czasu, aże wreszcie gdzieś daleko z przodu rozległ się gwizd parowozu. Wagon drgnął i ruszył z miejsca. Potoczyły się koła wystukując swój rytm na złączach szyn.

Przeżegnałem się. Uczynili to niemal wszyscy Polacy. Zauważyłem, że Rosjanie obserwowali to jakby z szacunkiem. W duchu zacząłem odmawiać "Pod Twoją obronę". Rozpoczynał się nowy etap mojej straszliwej "drogi przez mękę".

Niby uderzenia pulsu stalowego potwora koła miarowo, w określonych odstępach czasu wystukiwały swój rytm. Wśród więźniów na dole panowała jakaś okropnie przygnębiająca cisza. Rozmawiano szeptem. Wymieniano uwagi, wrażenia, przekazywano polecenia. Powoli dostosowywano się do zaistniałej sytuacji, do warunków, w których z pewnością przez długi czas trzeba będzie przebywać. Z góry, z prycz bacznie obserwowali nas rozgadani, czujący się tutaj gospodarzami więźniowie Rosjanie. Jeszcze przed załadowaniem do wagonu konwojenci nasi zdążyli swoim rodakom więźniom, jadącym w naszym wagonie, przekazać, że znajduje się w nim wśród aresztantów Polaków inteligent "uczitiel z Zapadnoj Biełorusi". Takie informacje o znaczniejszych więźniach przekazywane były wszędzie, na każdych etapach, a celem ich było ułatwienie orientacji więźniów Rosjan, kogo mogą jeszcze ograbić, komu mogą zabrać resztki tego, co może jakąkolwiek wartość przedstawiać.

Byłem też i ja w wagonie poddany szczególnej obserwacji. W pewnym momencie przyczołgał się do mnie jeden z chłopaków

z drugiego końca wagonu i ostrzegł życzliwie, że słyszał jak leżący nad nim na pryczy Rosjanie umawiali się, że trzeba będzie "uczitiela" obszukać, bo on na pewno ma przy sobie "dengi". Istotnie, pieniędzy trochę miałem licząc na to, że będą mi tam potrzebne. Zaproponowałem więc chłopcu, żeby pieniądze te zabrał do siebie, jego z pewnością obszukiwać nie będą. Nieznacznym, wydawało mi się, że przez nikogo nie zauważonym ruchem, wsunąłem mu pieniądze do ręki. Zrecznie, leżąc na piersi wsunął je sobie za pazuchę i powoli odczołgał się na swoje miejsce. Manipulacje nasze, co do których byliśmy pewni, że nikt ich nie widzi, zostały jednak dostrzeżone przez pilnie obserwujących nas Rosjan. Zaledwie mój młody przyjaciel znalazł się na swoim miejscu, już moje pieniądze mu odebrano. Ano, i tak mi je zabrano, pomyślałem sobie ostatecznie niewiele tą stratą przejmując się.

Jechaliśmy z Lidy prawdopodobnie przez Baranowicze i tędy zbliżaliśmy się do dawnej granicy polsko-radzieckiej. W pewnej chwili, gdy pociąg na krótko zatrzymał się na jakiejś stacji, przez uchylone drzwi wagonu udało mi się odczytać jej nazwę: Stołpce. A więc granica... A więc opuszczamy ojczyznę, na jak długo? Jakie losy czekają nas na wygnaniu? Gdzieś w głębi mojej jaźni, mimo niedoli i mroku, w jaki nas zepchnięto, zatlił się w tym momencie promień nadziei. W kilku słowach, szeptem niemal, przemówiłem do współtowarzyszy niedoli. Oto mijamy granicę, opuszczamy ojczyznę, ale to nic! Dziś jedziemy w bydlęcych wagonach poniżeni więźniowie. Niedługi jednak czas minie, a wrócimy w wagonach lepszych, wolni i dumni. Witać nas będą uroczyście, zagrają nam może orkiestry... O, jakże kiepskim byłem w owej chwili prorokiem!

I tak powoli upływały dnie naszej aresztanckiej podróży. Droga wlokła się straszliwie. Na większych stacjach pociąg się zatrzymywał. Wagony odplombowywano i więźniom w wiadrach podawano wodę. Zwykle wychodzili po nią wyznaczeni do tego aresztanci. Naturalnie do syta pili przede wszystkim Rosjanie. Nam zwykle zostawały resztki i musieliśmy bardzo skrupulatnie dozować sobie wodę. Na postojach też zwykle opukiwano ściany wagonów. Podobno gdzieś tam w drodze, w jednym z wagonów, zdołano wyłamać deski w ścianie i kilku więźniom Rosjanom udało się zbiec. Teraz więc szczegółowo sprawdzano wagony, opukując i badając ich ściany.

To opukiwanie wagonów, będących dla nas prawie trumnami, w które złożono nas za życia, sprawiało jakieś niesamowite wrażenie. Zamknięci, zaplombowani, w mroku, w duszności, pozbawieni niemal powietrza, słuchaliśmy tego pukania z prawdziwą zgrozą, z jakimś przerażającym przeświadczeniem, że oto istotnie chyba za życia znaleźliśmy się w ponurym, zbiorowym grobowcu, z którego już nie będzie dla nas wyjścia.

Z miarowym stukotem kół pociąg parł wciąż przed siebie. Mijaliśmy jakieś stacje. Były na nich krótsze lub dłuższe postoje. Na postojach otwierano przeważnie wagony wpuszczając do wnętrza nieco świeżego powietrza. Na którymś z takich postojów znalazłem się w pobliżu otwartych drzwi. Ciekawie rzuciłem okiem na zewnątrz w kierunku budynku stacyjnego. Na jego szczycie przeczytałem wielkimi,czarnymi literami nazwę stacji: Kozielsk.

Za Kozielskiem nasi współtowarzysze podróży Rosjanie z górnych prycz przystąpili do generalnej rekwizycji u więźniów Polaków, wszystkiego tego, co przedstawiało jeszcze jakąś wartość. Mnie zdjęto z nóg i zabrano eleganckie pantofle, które włożyłem opuszczając po aresztowaniu moje mieszkanie. Lojalnie

stwierdzić muszę, że nie pozostawiono mnie boso. Za swoje pantofle dostałem dość znośne ciężkie trzewiki wojskowe, w których, jak się później okaże, również nie dojechałem do miejsca przeznaczenia. To wartościowe /co udało się Rosjanom nam zabrać zamieniali oni natychmiast na wszystko, co tylko zjeść dało się. Wymiana taka odbywała się na postojach z miejscową ludnością, oczekującą na stacjach pociągu i przywykłą do tego rodzaju transportów i takich transakcji. Wynędzniała ludność, zbiedzona przez wojnę, niezbyt zasobna była w produkty żywnościowe. Moje pantofle zamienione zostały na szklankę czarnych jagód, którymi na górnych pryczach podzielono się. Przy podziale tym nie zapomniano również o mnie. Dostałem dosłownie dwie czarne jagody. Pamiętam, jak ogromnie mi smakowały.

Po kilku dniach jazdy stanęliśmy na stacji w Smoleńsku. Przez rozwarte drzwi wagonu widoczne były bielejące w blaskach słońca potężne stare mury dawnej smoleńskiej twierdzy, nad którymi górowały zielone dachy cerkwi i złociły się ich baniaste kopuły.

Po dłuższym postoju pociągu na tej stacji i napojeniu nas świeżą wodą drzwi wagonów ponownie zaplombowano i pociąg ruszył w dalszą drogę. Dokąd nas wieziono, wciąż pozostawało to dla nas wielką niewiadomą.

Upał był straszliwy. Teraz pociąg niemal nie przystawał. W nie wietrzonych wagonach robiło się duszno nie do zniesienia. Z górnego okienka, przy którym leżałem bez możliwości zmiany miejsca, padała jaskrawa struga gorącego słońca. Zaczęło mi się robić niedobrze. Brakowało mi powietrza. Chwyciły mnie potworne wymioty. Nastąpiły typowe objawy porażenia słonecznego. Czułem, że się duszę. "Powietrza! Dajcie mi trochę powietrza! - Błagałem

z rozpaczą sąsiadów. Oni jednak byli w tym samym co i ja położeniu. Skąpe strugi świeżego powietrza wpadały jedynie przez zakratowane okienko u góry pod dachem wagonu, a przy nim tłoczyli się Rosjanie z górnych prycz. Znalazł się jednak dla mnie ratunek. Pośrodku wagonu pod ścianą wycięty został w podłdze kwadratowy otwór okolony deskami. Stanowiło to coś w rodzaju skrzynki bez dna. Był to ustęp naszego "przedziału", z którego korzystano niemal bez przerwy. Z trudem podprowadzono mnie do owego ustępu. Upadłem przy skrzynce opuszczając głowę do jej wnętrza, tam, dokąd stłoczeni w wagonie aresztanci opuszczali zwykle inne części ciała.

Owionął mnie pęd chłodnego świeżego powietrza. Widziałem przelatującą pode mną szarawo-żółtą ziemię między torem, po którym mknął pociąg. Migały mi przed oczami kamienie i podkłady szyn. Otwartymi ustami i całym sobą wchłaniałem zbawcze, świeże powietrze. To nic, że raz wraz obok mojej głowy widziałem obnażony zad załatwiającego swoją potrzebę więźnia, że słyszałem wydawane przy tym odgłosy, że raz mignął mi przed oczami męski członek, z którego uniesiona pędem powietrza kropla padała mi na twarz. To wszystko było niczym wobec faktu, że było mi dobrze, że omdlenie mijało, ustały wymioty, znikł ból głowy, że wracała mi pełna świadomość i siły, że miałem pod dostatkiem świeżego, zbawczego powietrza, które łapczywie chłonąłem w płuca. Nie wiem, jak długo trwała ta ustępowa kuracja. Wyczerpany wymiotami, przy ogólnym straszliwym osłabieniu, z głową opuszczoną w ustępową skrzynię... usnąłem. Był to zaiste sen zbawczy. Obudziłem się już niemal bez żadnych oznak choroby, odzyskałem siły i sam już bez pomocy udałem się do swego kąta. Skrupulatnie wytarłem twarz chusteczką i dziękując Bogu, że tak szczęśliwie moja choroba skończyła się, jechałem dalej.

Mijały znów dnie i noce, aż któregoś ranka wartujący przy górnym okienku aresztant Rosjanin zawołał: "Moskwa!" Istotnie, wlokący się niemiłosiernie nasz pociąg z transportem więźniów przybył wreszcie do stolicy Kraju Rad.

Ustawiono nas na bocznicy. Przez otwarte drzwi wagonu, z daleka tylko widoczne były jakieś wieże, złocące się w promieniach słońca kopuły cerkwi, jakieś ciężkie czerwone budowle. Z daleka tchnęło powiewem mrocznej i ponurej, a tak nam obcej, bizantyńskiej kultury.

Pociąg na bocznicy dworca moskiewskiego stał niedługo. Rychło drzwi pozamykano, parowóz zagwizdał, pociąg drgnął i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Za Moskwą postoje stawały się coraz rzadsze. Ustępowały też powoli upały i temperatura w wagonie stawała się znośniejsza. Jazda zaczynała być bardziej jeszcze nieciekawa i monotonna. Nudzili się też widocznie aresztanci z górnych prycz. Powoli w mołojcach tętnić zaczynała krew i budziły się temperamenty. Chwytały jakieś lubieżne ciągoty. W jednym z mrocznych kątów olbrzymiego wagonu, osłonięty nieco wsparciami prycz, leżał młody, może trzydziestoletni mężczyzna. Ku niemu skierowały się afekty krewkich małojców. Zdrowe jego ciało zaspokoić miało ich miłosne pożądania. Z nastaniem zmroku w kącie dało się słyszeć jakieś krótko trwające szamotanie, ciche szepty i chichoty małojców. Złażąc z prycz zbliżali się kolejno do swojej ofiary. Mężczyzna przewrócony teraz twarzą do podłogi jęczał z cicha. Co chwila pochylał się nad nim jeden z małojców żądny uciechy. Po krótkim lub dłuższym czasie wstawał i zapinając spodnie ustępował miejsca drugiemu. Koła pociągu monotonnie wystukiwały swój rytm, gęstniała czerń nocy. Wszystkimi owładała niesamowita, przejmująca cisza, tylko z odległego kąta wagonu

dochodziły ciche jęki gwałconego mężczyzny.

Mijały dnie i tygodnie naszej jazdy. Jak długo byliśmy w drodze, trudno mi już dzisiaj to sobie uzmysłowić. Zamknięci w pudle wagonu, bez najmniejszych kontaktów ze światem, zatraciliśmy całkowicie rachubę czasu. Wiem tylko, że mijaliśmy Jarosław z jego potężnymi murami, potem Wołogdę, a potem już tylko z rzadka trafiające się stacyjki. Z tego zorientowaliśmy się, że jedziemy na północ. Świadczył o tym również i stopniowy spadek temperatury. W wagonie stawało się coraz chłodniej, co pozwalało łatwiej znosić trudy i niewygody tej męczącej podróży.

Wreszcie któregoś ranka obudził nas przejmujący chłód. Pootwierano drzwi wagonów. Pociąg stał na wygonie. W pobliżu widoczne były zarysy prowizorycznego portu. Było to morze lub zatoka. Przy brzegu stało wiele niewielkich statków. W górze unosiły się skrzeczące mewy. Kazano nam wysiadać z wagonów. Było zimno. Od wody dął silny, przejmujący wiatr. Jak wywnioskowaliśmy ze słów naszych konwojentów, byliśmy w nowym, dopiero budującym się porcie Mołotowo w pobliżu Archangielska nad Morzem Białym w okolicach ujścia Dźwiny. Tu kończyła się nasza podróż koleją i tu mieliśmy się przesiąść na statki, by dalszą drogę do miejsca naszego zesłania odbyć już transportem wodnym.

Wysiadaliśmy z pociągu zbijając się w gromadki, składając przed sobą nasze worki ze skromnymi, już kończącymi się zapasami sucharów. W pewnej chwili ze strony przeciwnej od tej, z której przybyliśmy, pod silną eskortą enkawudzistów zbliżała się do nas, aby połączyć się z naszym transportem, dość znaczna grupa rosłych, dobrze ubranych więźniów z wielkimi workami na plecach. Był to dołączany do nas transport Finów i Łotyszów. Ci postawni więźniowie, którzy do miejsca w którym spotkaliśmy się, odbyli prawdopodobnie krótszą od nas drogę, a może też

skuteczniej potrafili ustrzec swojej własności, byli chyba jeszcze nieźle zaopatrzeni. O tym świadczyły ich pełne worki, które nieśli na plecach. Chciwym też okiem obrzucili ich z miejsca nasi wygłodniali konwojenci. Sytuację konwojentów transportu naszego w lot pojęli ich towarzysze, którzy przyprowadzili Finów i Łotyszów. Przekazując ich do transportu głównego z miejsca poradzili jego konwojentom zwrócenie szczególnej uwagi na "sidory" nowych podopiecznych, z którymi rozstawali się. "Sidorami" w gwarze aresztanckiej, przejętej przez konwojentów, nazywano worki więźniów, w których mieli oni żywność i rzeczy osobiste.

Po załadowaniu całego transportu na statek nasi konwojenci nie omieszkali skwapliwie zaopiekować się poleconymi ich uwadze "sidorami" Finów i Łotyszów.

Zimno dawało nam się porządnie we znaki. W lekkich ubraniach, w których nas zabrano z domów, trzęśliśmy się z chłodu. Znajdowaliśmy się już przecież w zasięgu chłodów północnych, a przy tym był to już wrzesień. Jak się okazało, trzy miesiące trwała nasza męcząca i powolna podróż, przerywana licznymi postojami, przerwami, oczekiwaniami na transporty, które w drodze dołączyły do nas.

Wreszcie zwołano nas wszystkich łącznie z Finami i Łotyszami, ustawiono czwórkami i poprowadzono w stronę przystani. Tam przy jakimś prowizorycznym, drewnianym molo stał przycumowany statek, który miał nas znów unieść w nieznane nam dale i światy. Spuszczono drewniany trap, po którym dwójkami wchodziliśmy na statek. Sprowadzono nas pod pokład do obszernych pomieszczeń, których jedynym umeblowaniem były nowe piętrowe prycze. I tu znów, jak i w pociągu, co najlepsze miejsca na pryczach górnych zajęli więźniowie Rosjanie, czując się jak u siebie w domu, tak

jakby ta sytuacja nie była dla nich czymś nowym.

Więźniowie Polacy starali się raczej zajmować miejsca gdzieś na uboczu, z dala od rozkrzyczanych, tak pewnie czujących się Rosjan. Nim zszedłem na dół, niemal wszystkie miejsca zostały już pozajmowane. Wypadało mi ulokować się w odległym i ciemnym kącie ogromnej kabiny pod dolną pryczą. Z jednej strony jako sąsiada miałem jakiegoś starszego rosyjskiego "mużyka", z drugiej zaś więźnia Polaka.

Gdy tylko cały transport więźniów sprowadzony już został na dół pod pokład, zamykająca wyjście klapa opadła z trzaskiem. Zahuczała okrętowa syrena, zawarczały motory, statek drgnął z lekką i ruszył przed siebie.

Wszystko to działo się we wczesnych godzinach popołudniowych. Po jakimś czasie, prawdopodobnie pod wieczór, klapa zamykająca wyjście na pokład znów się uchyliła i dwóch konwojentów wniosło kocioł z posiłkiem. Był to pierwszy posiłek, jaki otrzymaliśmy od czasu załadowania nas do pociągu w Orszy. Wygłodniali więźniowie z miskami i menażkami w rękach skwapliwie ruszyli w stronę kotła, by bodaj odrobinę tak upragnionej strawy otrzymać. Posiłek, jakim uraczono zamkniętych pod pokładem aresztantów, składał się z dwóch, mocno osolonych śledzi. Nie bacząc na nic, wygłodniali więźniowie niemal w mgnieniu oka pochłonęli owe śledzie. Można sobie wyobrazić, co wkrótce potem się działo. Ludzie wili się w mękach pragnienia. Zeschnięte wargi, niesamowicie błyszczące oczy, jęki, rozpaczliwe wołanie o odrobinę bodaj wody, to wszystko rychło przekształciło pomieszczenie w opisać się nie dający zakątek piekła, w otchłań pełną cierpienia i męki. Instynktem wiedziony śledzi nie jadłem, oddałe

je leżącemu obok Rosjanowi. Ten wygłodniały zjadł je natychmiast, uczucie pragnienia bardziej jeszcze w sobie potęgując. Tak przeszła noc. Na drugi dzień z rana znów klapa się otworzyła i z pokładu zniesiono trzy konwie z mętnawą cieczą.

- Czaj prynieśli! /Przyniesiono herbatę!/ - gruchnęło po całej kabinie i kto żyw z naczyniem w ręce pognał ku wejściu do miejsca, w którym konwie ustawiono. Niestety, dwie największe z nich aresztanci Rosjanie, przeważnie żołnierze, zdążyli wywindować do siebie na górne prycze, gdzie po zaspokojeniu pragnienia, urządzili wielkie pranie białych podkładów pod kołnierze żołnierskich bluz, chusteczek i innych drobiazgów używając do tego tej wprost bezcennej i zbawczej herbaty.

Ale pragnienie i mnie dręczyć poczęło. Nie wiem, czy podziałała na mnie ogólna psychoza pragnienia, czy odżywianie się wyłącznie resztkami posiadanych jeszcze sucharów, dość że rozbudzone we mnie pragnienie stawało się już męką nie do zniesienia. Wiłem się na moim barłogu, łykając skąpą ślinę, a wyobraźnia jakby na spotęgowanie mojej udręki wciąż podsuwała mi obrazy przeróżnych wypijanych kiedyś napojów, przypominała mi ich wygląd, smak i aromaty.

Bezwiednie, nie mając zresztą nadziei zdobycia bodaj kropli upragnionego napoju, wziąłem do ręki menażkę i udałem się w kierunku wyjścia kierowany myślą, że w stojącej tam jeszcze konwi bodaj kroplę herbaty pozostała na dnie. Niestety, myślących tak jak ja znalazło się przede mną wielu. Naczynie było suche, pozbawione nawet śladów wilgoci.

Gdy tak słaniając się i opierając o podstawy piętrowych prycz wracałem na miejsce, nagle z jednej z nich, schludnie i czysto utrzymanej, zawołano mnie po imieniu. Zdziwiony uniosłem

głowę. Na pryczy siedział przystojny młody człowiek i życzliwie uśmiechał się do mnie. Sądząc z twarzy, nie mógł to być Rosjanin, raczej Polak. Ale skąd Polak na górnej pryczy, uprzywilejowanym miejscu zajmowanym wyłącznie przez Rosjan? Stałem chwilę wpatrując się w uśmiechającego się wciąż do mnie młodego człowieka.

-No co, stary, nie poznajesz mnie? - odezwał się wreszcie po polsku.

- Nie, nie mogę sobie przypomnieć - odrzekłem.

- Ech,ty! A Wilno pamiętasz? Bursę przy ulicy Wiłkomierskiej. Nasz skromny pokoik? Twoje starania o samotnego uchodźcę z Warszawy?

Istotnie, przypomniałem sobie.

- Mietek! - zawołałem radośnie unosząc się ku pryczy, z której on pochylił się tak, że uściskaliśmy się serdecznie. Pomógł mi wdrapać się na górę, co zwróciło natychmiast uwagę Rosjan zajmujących miejsca sąsiednie. Mietek poszeptał z nimi chwilę, oni pokiwali głowami z aprobatą, a potem całkowicie zajął się mną. Potoczyła się przyjacielska pełna wspomnień rozmowa.

Wilno... Lata klęski. Rok 1940. Do grodu Giedymina napływają uchodząc przed Niemcami fale uchodźców z centralnej Polski. Kiedyś na dworcu kolejowym spotkałem błądzącego bezradnie młodego, może siedemnastoletniego, chłopca, miłego blondyna, który oświadczył mi, że pochodzi z Warszawy, skąd wywędrował z falą uchodźców. Zgubił gdzieś rodzinę i teraz nie wie co ze sobą zrobić w obcym mieście. Oświadczyłem mu, że dobrze się stało, iż spotkał mnie, bo właśnie jestem z punktu dla uchodźców polskich i mogę go tam ulokować. Chłopak ucieszył się, serdecznie uścisnął mi rękę i razem powędrowaliśmy na Wiłkomierską. Ksiądz Barwicki, kierownik punktu, przyjął chłopaka serdecznie

i wpisał na listę podopiecznych punktu.

Od tego momentu Mietek przylgnął do mnie i zaprzyjaźnił się ogromnie. Na długich, nie kończących się rozmowach przesiadywał u mnie całymi wieczorami. We dnie chodziliśmy po mieście, gdzie zapoznawałem go z przeszłością i zabytkami historycznymi starej Giedyminowej stolicy. Potem, już nie pamiętam w jakich okolicznościach, rozstaliśmy się. Ja wyjechałem do Żagar, do zorganizowanego tam przez Litwinów obozu dla uchodźców polskich, on zdaje się, wywędrował gdzie indziej, tak że drogi nasze się rozeszły.

Teraz zetknięci przez los w tak niezwykłych i niewesołych okolicznościach poczuliśmy się sobie ogromnie bliscy i drodzy. Uderzył mnie jednak fakt, że Mietek za pan brat był z więźniami Rosjanami, których stosunek do nas nie zawsze był życzliwy. Zapytałem o to Mietka. Oświadczył mi dość mętnie, że z Rosjanami zaprzyjaźnił się jeszcze w więzieniu, że jest przecież młody i nietrudno mu więc znaleźć przyjaciół, no i że w ogóle trzeba umieć dostosować się do okoliczności. Zrozumiałem i nie winiłem Mietka. Często potem w długim życiu obozowym z tego rodzaju przyjaźnią, z takim ratowaniem się od wyniszczenia i głodu stykałem się. Mietek umiał dostosować się do życia. Potwierdziło to późniejsze jego zachowanie w obozie, jego kontakty z wpływowymi w obozie więźniami Rosjanami, jego stopniowe wyobcowywanie się ze społeczności więźniów Polaków. Potem, gdy lata wygnania i obozu stopniowo mijały, Mietek znikł nam gdzieś z oczu. Podobno całkowicie się zasymilował i pozostał w Związku Radzieckim.

Ale to były lata późniejsze. Teraz Mitek okazał się dla mnie prawdziwym mężem opatrznościowym. Zapytał, jak mi się powodzi i czy mi czego nie brakuje. Naturalnie odpowiedziałem, że

umieram z pragnienia, jednocześnie łakomie spozierając na sąsiednią pryczę, na której stało pojemne naczynie pełne herbaty. Mietek polecił mi natychmiast podać menażkę, którą napełnił po brzegi zbawczym płynem. Teraz w stanie błogiej radości szedłem w kierunku mego kąta dzierżąc ostrożnie naczynie,by nie uronić ani jednej cennej kropli. Powoli wczołgałem się na legowisko, odlałem nieco płynu sąsiadowi Polakowi, a potem pogrążyłem się w rozkoszy. Piłem. Jak ja piłem! Ta ciecz, tutaj czumnie zwana herbatą miała smak najwyszukańszego nektaru. Wydawało mi się, że mógłbym tak pić i pić. Pić chyba całymi godzinami i dniami. Moraliści przy sutych stołach, pełnych jadła i napoju składając uczone kanony i wygłaszając budujące nauki, z pewnością metody Mietka potępią, a przecież dzięki jego dostosowaniu się do okoliczności i ja wyzbyłem się męki pragnienia. Część "winy" Miecia spadała więc i na mnie... O, jakże często uczone reguły i cnotliwe zasady ustąpić muszą wobec twardej rzeczywistości...

Obok mnie w ciemności niesamowitym, wprost obłędnym blaskiem jarzyły się oczy mego sąsiada, ruskiego chłopa, który na obiad zjadł podwójną porcję śledzi. Oczy te świdrowały mnie na wylot, śledziły każdy mój ruch, każde drgnienie krtani łykającej napój. Ja nie byłem doskonały . Instynkt samozachowawczy, nieprzeparty przymus ratowania wyłącznie siebie kazał mi być nieczułym na mękę leżącego obok mnie człowieka, obojętnie przyjmować spojrzenie jego niemal obłędnych oczu. Przez moment gdzieś tam w głębi mej świadomości przeleciała myśl, że to Rosjanin, i że właśnie oni, jego rodacy są moimi prześladowcami, że to właśnie dzięki nim leżę tu na barłogu w ciemnym kącie, wciśnięty pod prycze, tysiące kilometrów od ojczyzny, od mego czystego i schludnego mieszkania. Ale to wszystko trwało chyba zaledwie

ułamek sekundy. Odjąłem menażkę od ust i z resztą płynu podałem ją Rosjaninowi. Chwycił menażkę oburącz i jednym niemal haustem wychylił jej zawartość. Teraz w skierowanych na mnie oczach zajaśniało coś innego, jakiś odcień wdzięczności, dobra i człowieczeństwa. Długo jeszcze trzymał menażkę w dłoniach, kilkakrotnie przykładając ją do ust tak, by wysączyć z niej ostatnią kroplę.

Stopniowo zaopatrzenie w picie poprawiło się. Przede wszystkim wygłodniałych więźniów nie karmiono już niczym, co miałoby nadmiar soli. Również i "eleganci" - żołnierze z prycz górnych zakończyli już przepierki, tak że podawana więźniom "herbata" wystarczała dla wszystkich. Gorzej teraz było z jedzeniem. Więźniowie głodowali. Posiadane przez nich, a wywiezione jeszcze z kraju, zapasy dawno już skończyły się. Na statku poza podaną pierwszego dnia porcją słonych śledzi, podanych widocznie rozmyślnie i z premedytacją jedynie po to by zwiększyć udrękę skazańców, nic więcej na razie do jedzenia nie dawano. Dopiero trzeciego czy czwartego dnia podróży spuszczono pod pokład worki z sucharami. Potworzone zostały grupy po dziesięciu więźniów, na czele których stojący dziesiętnicy odbierali porcję przydzieloną grupie. Dziesiętnik, aby podział był sprawiedliwy i bezstronny, na oczach wszystkich na podłożonym kocu czy płaszczu rozkładał suchary na dziesięć możliwie równych porycji, po czym odwracał się i po kolei wywoływał nazwiska. Wywołany podchodził i bez szemrania brał połcję. Mnie jakoś sucharów wystarczało i głodu nie odczuwałem. Zjadałem je rozmoczone w herbacie i jakąś małą część codziennie odkładałem do worka jako cenny zapas na przyszłość. Niedługo jednak mogłem się nacieszyć swoim zapasem sucharów. Któregoś dnia, gdy na chwilę z legowiska oddaliłem się na "paraszę", worek przeszukano i suchary z niego zniknęły.

W ogóle poczęły się teraz szerzyć kradzieże. Kradli przede wszystkim Rosjanie, pozbawiona wszelkich skrupułów różnego rodzaju hołota. Okradani byli wyłącznie Polacy, wiedziano bowiem, że w ich "sidorach" zawsze tam jeszcze coś się znajdzie. Na porządku dziennym były nie tylko kradzieże. Rosjanie bez ceremonii, szczególnie wieczorami, myszkowali wszędzie pod pryczami ściągając z Polaków obuwie albo też co lepsze części garderoby. Pewnego wieczoru, gdy już usypiałem na swoim barłogu poczułem, że ktoś usiłuje rozsznurować i zdjąć mi z nóg moje wojskowe trzewiki, które w transporcie kolejowym, jeszcze gdzieś przed Smoleńskiem, dano mi zabierając moje pantofle. Uniosłem się szybko i chwytając intbuza za rękę spojrzałem mu w twarz. Poznałem.

- Misza, czto dielajesz? /Misza, co robisz?/ - wyszeptałem z gorzkim wyrzutem.

- O, eto wy, uczitiel, prostitie! /A to pan nauczyciel, przepraszam!/ - odpowiedział również szeptem, uścisnął mi mocno rękę i wycofał się spod pryczy.

Misza był młodym, chyba dziewiętnastoletnim, chłopcem, żołnierzem, skazanym w wojsku na obóz. Poznałem go w pociągu w transporcie z Orszy. Był sam. W odróżnieniu od innych Rosjan żołnierzy skromny i nieśmiały. Głodował. Przygarnąłem go i całą drogę dokarmiałem sucharami. Pamiętał to. Odwdzięczył się, jak umiał i jak na to nasza ówczesna, pozbawiona wszelkich hamulców moralnych, rzeczywistość pozwalała. Człowieczeństwo zostaje w człowieku tak długo, póki nie zabiją go ci, którzy tym człowiekiem rządzą...

Teraz wiedząc, że moje wojskowe trzewiki stać się mogą łakomym kąskiem dla myszkujących wszędzie Rosjan, zdjąłem je z nóg i schowałem głęboko w jakąś dziurę pod pryczą. Niestety,

już na drugi dzień zaraz z rana butów tam nie znalazłem, natomiast u moich nóg na pryczy stały jakieś potworne kapcie nieudolnie sklecone z samochodowej opony. "Uczciwy" złodziej nie chciał mnie zostawić zupełnie boso i zamienił się obuwiem.

"Błatnyje" - wszelkiego rodzaju zbieranina, bandyci i kryminaliści - stali się teraz panami sytuacji. Dopuszczali się czynów bestialskich. Znęcanie się nad spokojniejszymi więźniami - Polakami, - było ich ulubioną rozrywką, którą urozmaicali sobie monotonie podróży pod pokładem statku. Młodzi więźniowie, którym nie udało się ukryć, stawali się ofiarami ich seksualnych zapędów.

Powszechne było polowanie na złote zęby i korony. Wyłapywali poszczególnych więźniów, trzonkami od łyżek otwierali im usta, a gdy znajdowali tam złoty ząb lub koronę, wydłubywali je scyzorykami lub też innymi ostrymi narzędziami. Łatwo sobie wyobrazić, jak okropnie bolesne były tego rodzaju operacje. Tu i ówdzie co jakiś czas rozlegały się jęki i przeraźliwe krzyki "operowanych" w ten sposób nieszczęśników.

Kiedyś pojawił się na widowni jakiś Łotysz, na którego piersi spod rozpiętej koszuli, wyzierał metalowy krzyżyk. Dostrzegł to spragniony zabawy "błatnej". Zerwał krzyżyk z piersi Łotysza, zawiesił go sobie na szyi i chodząc bez koszuli wśród więźniów wołał: "Ciełujtie mienia w żopu, ja wasz boh! /Całujcie mnie w d...- ja wasz bóg!/" To ordynarne bluźnierstwo z wielu oczu wyciskało łzy, łzy bezsilnej rozpaczy.

Tak upływały dnie i noce męczącej podróży pod pokładem statku. Głód coraz bardziej dawał się wszystkim we znaki. Wydawane nam bardziej niż skromne porcje sucharów naturalnie głodu nie mogły zaspokoić. Pewnego dnia wśród więźniów krążyć poczęły kawałki rzepakowych makuchów. Skąd się wzięły? Okazało się

że statek wiózł ładunek tego towaru, który magazynowany był w dolnych pomieszczeniach jeszcze pod naszą kajutą. Ktoś tam do makuchów się dobrał. Wygłodniali więźniowie zaczęli masowo jeść makuchy. Skutki okazały się fatalne. Jedzących makuchy chwyciła gwałtowna biegunka. Ludzie biegali trzymając spodnie w garści w kierunku jedynej w pomieszczeniu "paraszy", którą oblegali masowo siadając na niej po kilku jednocześnie. Epidemia biegunki rychło została opanowana. Służba na statku zabezpieczyła wyłom do składu, w którym znajdowały się makuchy, likwidując w ten sposób źródło przykrej dolegliwości.

Niemniej jednak znaleźli się samozwańczy stróże własności państwowej. Pozorując kary za kradzież makucha więźniowie Rosjanie, przeważnie, silni, zdrowi i wypoczęci, poczęli zabawiać się biciem współwięźniów. Jakkolwiek sprawcami kradzieży makucha byli przeważnie Rosjanie, bić zaczęto wyłącznie Polaków. Raz po raz wyciągano gdzieś z kąta spod prycz jakiegoś upatrzonego Bogu ducha winnego Polaka i bito go w sposób bestialski. Placem egzekucji było miejsce obok "paraszy" w centrum pomieszczenia, w którym znajdowaliśmy się. Z miejsca tego bezustannie niemal dochodziły odgłosy uderzeń, jęki i stękania bitych ludzi. Zalękniony leżałem na swoim legowisku w ciemnym kącie pod pryczami nie pokazując się nigdzie, nie wychodząc nawet do "paraszy" w nadziei, że może ominie mnie bicie. Zawiodłem się jednak. Pewnego wieczoru po całym pomieszczeniu rozległo się wołanie: "Uczitiel! Gdie uczitiel z Zapadnoj Biełorusi?" Struchlałem. Leżałem cicho nie ruszając się, niemal nie oddychając. Rychło mnie jednak wyciągnięto spod pryczy i zaprowadzono na miejsce egzekucji przy paraszy. Tam jeden z oprawców pokazał mi kawałek makucha, niby że za to będę bity - i natychmiast wymierzył mi potężny cios w szczękę. Teraz posypały się na mnie razy ze

wszystkich stron. Oprawców było kilku, bito pięściami, gdzie popadło. W pewnym momencie otrzymałem tak silny cios, że upadłem uderzając boleśnie głową o krawędź "paraszy". Teraz kopano mnie nogami. Wśród licznych ciosów otrzymałem jeden szczególnie dotkliwy. Ciężkim, żołnierskim butem, z całym rozmachem kopnięto mnie w żebra. Jęknąłem rozpaczliwie z silnego bólu. Wydało mi się, że żebro złamane. Na szczęście był to jeden z ostatnich ciosów. Teraz tylko kilkoma lżejszymi kopnięciami odepchnięto mnie po prostu od "paraszy" dając tym znak, że egzekucja zakończona i że za kradzież makucha została mi wymierzona właściwa i słuszna kara. Nie mogę formalnie tchu złapać z powodu straszliwego bólu, z trudem doczołgałem się na moje legowisko. Przetrącone żebro bolało ogromnie. Żadnej znikąd pomocy spodziewać się nie mogłem. Leżałem bezradny w bólu, na szczęście mój sąsiad, więzień Polak, z którym na początku naszej podróży podzieliłem się herbatą, roztoczył nade mną opiekę odbierając należny mi suchary i zaopatrując w wodę.

Teraz dopiero podróż stała się dla mnie prawdziwą udręką. Leżałem na moim barłogu z okropnym bólem w boku, nie mogąc się prawie poruszyć. Każdy, najmniejszy nawet ruch potęgował ból. Po ostatnich zajściach dnie upływały bez jakichś znamiennych wydarzeń. Czas dłużył się okropnie. Zdawało się, że ta makabryczna podróż morska końca nie będzie mieć. Dawno straciliśmy rachubę czasu. Nie zdawaliśmy sobie absolutnie sprawy z tego, gdzie się znajdujemy. O tym, że jesteśmy już gdzieś bardzo daleko, na jakichś wodach północnych, świadczyło dotkliwe zimno, jakie zapanowało w naszym pomieszczeniu, świadczyły gęste kry lodowe, które trąc o boki statku głuchymi zgrzytami dawały znać o sobie.

Oby wreszcie to się skończyło! Oby wreszcie gdzieś ogrzać się trochę, zjeść coś ciepłego, trochę się umyć, pozbyć się wszy, które niemiłosiernie kąsały całe ciało. Kiedy, kiedy to się skończy? Kiedy nastąpi kres udręki?

Wreszcie któregoś dnia podróży zahuczała syrena okrętowa. To musiał być chyba jakiś znak. Widocznie dopływaliśmy do jakiegoś portu. Istotnie, wyłączono motory powoli ucichły, statek drgnął, zakołysał się z lekka i stanął. Na pokładzie słychać było krzątaninę, okrzyki, stukot i szuranie. Po jakimś czasie wyjście na pokład się otworzyło i nam oznajmiono, że mamy zabierać się do wyjścia. Byliśmy pewni, że wreszcie jesteśmy już na miejscu, że może nareszcie dostaniemy coś ciepłego do jedzenia, że zrzucimy z siebie przeżarte brudem łachy, że po tak długim okresie żeglowania po morzach staniemy wreszcie nogą na stałym gruncie. Jakież było nasze zdziwienie, gdy kazano nam po rzuconym długim pomoście przejść z naszego statku na drugi statek, znacznie mniejszy. Była to chyba jakaś barka czy też statek służący do przewożenia węgla, pomieszczenie bowiem, znów pod pokładem, do jakiego kazano nam zejść pełne było węgla i miału. Przechodząc pomostem na drugi statek spostrzegliśmy tylko, że znajdujemy się w jakiejś przystani czy małym porcie. Świadczyły o tym zarysy portowych urządzeń i stojące na redzie statki.

Znaleźliśmy się więc znowu pod pokładem. Nie było wyboru. Trzeba było siadać w węglowym miale, w absolutnej niemal ciemności. Siadaliśmy tak z jakąś tępą rezygnacją i w absolutnym bezwładzie myślowym. Już nie byliśmy ludźmi. Staliśmy się żywymi automatami, poruszającymi się zgodnie z rzucanymi rozkazami tak, jak to robi zwierzę poddane woli człowieka i pozostające pod jego rozkazami. Przycichli nawet tak całą drogę hałaśliwi i pewni siebie małojcy. I znów buczek syreny, warkot motorów

i znów rejs w nieznane. Mimo otępienia coś tam w świadomości mówiło, że skoro ze statku morskiego przesadzono nas na barkę, czy też jakiś statek rzeczny, to widocznie podróż morska dobiega końca. Tak też było istotnie. Znów po dwóch dniach podróży statek nasz zatrzymał się i kazano nam wysiadać. Teraz ze strachem spostrzegłem, że ostatnie moje "buty", chodaki sporządzone niezdarnie z opon samochodowych, gdzieś mi zniknęły. Zdjąłem je poprzedniego dnia wieczorem, bo mnie nogi w nich paliły i ktoś mi je w czasie snu ukradł, podrzucając na ich miejsce strzępy brudnych gałganów. Co było robić? Okręciłem szybko nogi owymi szmatami i w tym paradnym obuwiu gotów byłem do wyjścia.

Na pokładzie owionął nas przeraźliwy chłód. Od strony wody wiał porywisty, mroźny wiatr. Po spuszczonym ze statku trapie wysiadaliśmy wreszcie na ląd. Na ziemię radziecką wstępowałem boso, nogami owiniętymi tylko w brudne postrzępione szmaty.

Kiedy wysiedliśmy ze statku zbliżył się do nas oficer, enkawudzista, pytając czy nas w drodze grabiono. Naturalnie padły głosy potwierdzające. Wówczas oficer zażądał, by wskazać grabieżców. Znaleźli się wśród więźniów śmiałkowie, chyba ci najbardziej poszkodowani, którzy wskazali winnych. Na znak oficera wywleczono ich z gromady i na oczach stłoczonych więźniów wymierzono im doraźną karę. Okładano ich bezlitośnie, gdzie popadło, potężnymi pałkami. Oprawcami byli jakieś dzikie, na wpół czarne, azjatyckie typy. Tu stali się narzędziami sparodiowanej, sowieckiej "sprawiedliwości".

Jakie były skutki wymiru owej "sprawiedliwości", mieliśmy się przekonać już niebawem w obozie. Zemsta "błatnych" na tych, którzy ich wydali, była okropna. Potworne krwawe rozprawy już w barakach łagru w pierwszym okresie pobytu, były na porządku dziennym.

Teraz ustawiono nas czwórkami, z zarzuconymi na plecy workami z nikłymi resztkami naszego dobytku pomaszerowaliśmy przed siebie. Otoczyła nas istna wataha uzbrojonych enkawudzistów. Teraz już nie przestrzegano nas, że w razie próby ucieczki konwojenci będą strzelali bez uprzedzenia. Nie przestrzegano nas również przed ucieczką, no bo któż z nas próbowałby tutaj uciekać? Dokąd? Byliśmy na ziemi zupełnie nam nie znanej, w jakimś innym, obcym całkowicie świecie. Zdawaliśmy sobie tylko sprawę z tego, że jesteśmy na dalekich północnych krańcach. Świadczył o tym przejmujący chłód, panujący tutaj mimo schyłku lata, brak zieleni drzew czy krzewów. Byliśmy w jakimś porcie. Wszystko tutaj było z drewna: molo, zabudowania portowe, chodniki i jezdnie na ulicach. Konwojenci prowadzili nas długo daleko poza budynki portowe, gdzie kazano nam usiąść na workach pod parkanem. Przed nami było coś w rodzaju stacyjki kolei wąskotorowej, bowiem od dość obszernego peronu, biegły cienkie, wąsko położone szyny, przypominające raczej torowiska tramwaju niż tor kolejowy. Na jednym z bocznych torów stał pociąg składający się z zespołu małych ni to osobowych, ni to towarowych wagoników, uczepionych do małej, lekko dymiącej lokomotywki.

Gdzie byliśmy? To pytanie mimo ogólnego przytępienia świadomości nurtowało chyba nas wszystkich. Wysiadłszy ze statku i przechodząc przed głównym budynkiem portowym przeczytałem na nim napis: Dudinka. Nazwa ta jednak nic mi nie mówiła. Korciła mnie ciekawość. Zdobyłem się więc na odwagę i wskazując na bezmiar wody, od której wiał ostry wiatr, zapytałem stojącego obok mnie młodego konwojenta:

- Towariszcz, a czto eto za rieka? /Towarzyszu, a co to

za rzeka?/.

Przeraziłem się niemal swojej odwagi, bowiem "zakluczonym", tj. więźniom, nie wolno było rozmawiać z konwojentami. Zapytany spojrzał jednak na mnie bez złości i odpowiedział z dumą:

- A eto nasz Brat Okieana - Jenisiej! /To jest nasz Brat Oceanu - Jenisiej!/

Jenisiej? Ach tak! Coś mi się zaczęło przypominać i majaczyć jeszcze ze sztubackich czasów. Tak bardzo interesujące lekcje geografii... Marzenia o dalekich podróżach. Bajką z tysiąca i jednej nocy brzmiały mi kiedyś w uszach nazwy dalekich, tajemniczych i potężnych azjatyckich rzek: Ob, Jenisiej, Lena... I oto teraz realizowały się moje sztubackie marzenia o dalekich podróżach.. Realizowały się jednak w jakże niezwykłych i tragicznych warunkach. Oto moja stopa dotknęła dalekiego aż za Kręgiem Polarnym, skrawka azjatyckiego kontynentu. Polak trafił oto teraz tam dokąd żaden jeszcze z jego rodaków, nieszczęsnych wygnańców z ojczyzny, dotychczas nie zabłądził: w dalekie strefy podbiegunowe...

A więc Jenisiej... Potężny azjatycki kolos rzeczny. Zrodzony gdzieś u granic Mongolii, przecina całą niemal Azję na przestrzeni ponad czterech tysięcy kilometrów, dążąc na północ, do zbratania się z oceanem, wrzynając się po drodze w łańcuchy Gór Sajańskich lub obmywając jaskrawą zieleń tundry. Tu, od Dudinki, poszerzał się gwałtownie i już wolno i majestatycznie zmierzał do oceanu, z którym styka się poprzez Morze Karskie. Za dudinką, poczynając od Ust' Portu, gdzie prawdopodobnie ze statku morskiego przeładowano nas na barkę rzeczną, Jenisiej rozlewał się w potężną zatokę o szerokości ponad dwudziestu pięciu kilometrów. A zatem, aby tutaj trafić, musieliśmy przebyć nie byle jaki

szlak morski. Załadowani na statek pod Archangielskiem, przepłynęliśmy Morze Białe, Morze Barentsa, minęliśmy Karskie Wrota, poprzez Morze Karskie w pobliżu górzystej wyspy Dikson wpłynęliśmy wreszcie do zatoki, aby płynąc wodami Jenisieju wylądować na Półwyspie Tajmyrskim na dalekich krańcach północnej Azji.

Na to przypominanie sobie wyuczonych kiedyś na lekcjach geografii szczegółów dość miałem czasu, długo bowiem trzymano nas skulonych pod parkanem na krańcach Dudinki. Okręcaliśmy się szczelnie tymi wszystkimi resztkami odzieży, które tylko mieliśmy na sobie. Na zimnym, przejmującym wietrze stłoczyliśmy się wszyscy w jedną zwartą bryłę, ciasno przylegając do siebie i ogrzewając się wzajemnie. Wreszcie na tory przed nami podstawiono wagoniki kolejki wąskotorowej, do których kazano nam wsiadać. Wagoniki były małe i ciasne. Musiały to być chyba wagony osobowe, zaopatrzone bowiem były w okna, pod ścianami zaś znajdowały się rzędy ławek. Poumieszczaliśmy się w wagonikach, jak kto mógł najwygodniej. Mnie dostało się miejsce na ławce w pobliżu okna, tak że dokładnie obserwować mogłem krajobraz.

Teraz zaczęto już ogólnie mówić, dokąd jedziemy. Nie ukrywali tego i konwojenci wymieniając między sobą nazwę miejcowości, która była celem naszej podróży. Jechaliśmy do Norylska. Przyznam, że, jak dotąd, nazwa ta była mi całkowicie obca. Powoli jednak dowiedzieliśmy się, że Norylsk to najnowszy wielki kombinat przemysłowy w dalekiej tundrze, gdzieś w sercu Tajmyru. Że są tam kopalnie, huty, zakłady metalurgiczne, no i "łagry", głośne norylskie "łagry", największe na północy karne obozy pracy. Obozów takich było tam podobno kilka. Były nawet i głęboko w tundrze, tam gdzie dobywano cenne rudy i surowce. My mieliśmy

szczęście: przydzieleni zostaliśmy do obozu znajdującego się w samym kombinacie, do "szestowo łag-oddielenija" - do szóstego oddziału obozu. Mówili o tym szeroko bywalcy, którzy w niejednym obozie chleb jadali, więźniowie Rosjanie, z których wielu jechało tutaj już nie po raz pierwszy.

Przysłuchując się rozmowom, ciekawym okiem śledziłem krajobraz. Wszak to po raz pierwszy w życiu oglądałem tundrę. Tundrę, o której uczyłem się na lekcjach geografii, o której tyle czytałem, która mi się zawsze marzyła. Więc taka ona jest? Teraz byłem z nią "twarz w twarz". W trzęsącym niemiłosiernie i kołyszącym wagoniku przemierzałem oto jej tajemnicze i nieobjęte przestrzenie. Przed oczami kładły mi się ginące w sinej przestrzeni dale, równinne tereny, pokryte jakąś nie znaną mi karłowatą roślinnością. Raz po raz, niby szklane oczy powalonego olbrzyma, patrzyły w niebo źrenice ogromnych jezior, senne, wiejące pustką. Ta pozbawiona, wydawało zda się uroku i życia ziemia pod powłoką wiecznej zmarzliny ukryła bogactwa, po które śmiało sięgnął człowiek. Na najdalej na północ wysuniętym cyplu Azji powstawało największe na dalekiej północy miasto, którego duszę stanowił wielki kombinat kopalni rud. I do tych kopalni, do tego kombinatu zmierzają setki synów Polski, nieszczęsnych następców tych, którzy z rozkazu białego cara ginęli przed laty przykuci do taczek w kopalniach Sybiru.

Po kilku godzinach jazdy dobrnęliśmy wreszcie do Norylska. Wysiedliśmy przed białym budynkiem dworcowym i z miejsca, teraz ustawieni piątkami, ruszyliśmy do miejsca przeznaczenia.

Pod czujną ochroną uzbrojonych enkawudzistów długo szliśmy pustą, szeroką drogą, smagani niemiłosiernie po twarzy ostrym wiatrem. Wreszcie zarysowały się przed nami okazałe gmachy

Norylska zwanego nie bez słuszności Cudem Tajmyru. Szliśmy jego długimi ulicami pozbawionymi jakichkolwiek drzew czy też najmniejszych bodaj śladów zieleni. Wyszedłszy z ulic miasta szliśmy gładką szosą obok potężnych zakładów przemysłowych, dymiących kominów, koksowni i warsztatów. Wreszcie z tego labiryntu przemysłowego skręciliśmy dogą w prawo i po przejściu jeszcze jakichś kilkuset metrów stanęliśmy przed szeroką bramą o wysokim, drewnianym łuku, na którym widniał napis: "Ispravitielnyj trudowoj łagier - 6 oddielenije" /Poprawczy obóz pracy - 6 oddział/. Za bramą bieliły się rzędy niskich, drewnianych baraków, ustawionych równo po bokach długich symetrycznie krzyżujących się ulic.

A więc jesteśmy w obozie pracy... Przez całe długie lata okupacji udało mi się uniknąć straszliwych obozów niemieckich. U progu wolności znalazłem się w obozie tych, którzy chełpili się, częściowo słusznie, że tę wolność nam przynieśli...

Rozwarła się brama obozu. Z budki wyszedł strażnik liczący piątki przechodzących więźniów. A kiedy spojrzałem w rozwartą bramę, gdy rzuciłem jeszcze okiem na umieszczony nad nią napis, coś skojarzyło mi się ze słowami z "Piekła" Dantego:

Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...

CZĘŚĆ III

Tak więc znalazłem się za bramą "Isprawitielno trudowogo łagiera" - wychowawczego obzu pracy w Norylsku. Gdzie byłem, co to było za miasto, nie zdawałem sobie jeszcze dokładnie sprawy. Wyczerpująca, wielotygodniowa podróż koleją i statkiem przez morze północne, tragiczne przeżycia tej podróży, dotkliwy ból przetrąconego żebra, nieprzyjemne swędzenie długiej od wielu tygodni nie golonej brody to wszystko przytępiło całkowicie umysł, zmąciło świadomość, na której dnie jedno tylko kołatało pragnienie: odpocząć. Za wszelką cenę gdzieś wreszcie odpocząć, przespać się, umyć, zgolić swędzącą brodę. Gdzie byłem, dokąd nas przyprowadzono - to stawało mi się całkowicie obojętne. Dopiero później, gdym się nieco z apatii otrząsnął, nieco wypoczął, zacząłem się rozglądać wokół siebie, interesować się miejscem mego pobytu.

Norylsk - jedno z najbardziej na północ wysuniętych miast świata, leżące za Kręgiem Polarnym zawdzięczało swoje powstanie odkryciu znajdujących się tam bogatych złóż rud, miedzi i niklu. Nad miastem wznosi się kopiasta góra popularnie zwana tam Szmidtichą. W nazwie tej upamiętnione zostało nazwisko tego, któremu miasto zawdzięcza swoje powstanie. Rosyjski astronom i geofizyk Otto Szmidt pierwszy odkrył bogactwa, które kryła w sobie pokryta wieczną zmarzliną ziemia Norylska. On przed rządami carskimi rozsnuwał ponętne perspektywy ich eksploatacji. Carowie nie mieli jednak sumienia osadzać tam nawet najgorszych przestępców. Skrupułów takich nie miała władza radziecka.

Rozbudowa miasta i kombinatu zaczęła nabierać tempa po roku 1940, kiedy to do wielkiego Związku Republik Radzieckich "dobrowolnie" przyłączyły się samodzielne państwa nadbałtyckie: Łotwa, Estonia i Litwa. Po przyłączeniu, popłynęły na daleką Północ niezliczone transporty najlepszych obywateli tych państw. Lekko ubrani, nie zaopatrzeni odpowiednio na miejscu w ciepłą odzież, ginęli masowo w potwornych warunkach Północy. Oczywiście na miejscu oprócz robotników potrzebni byli także specjaliści: lekarze, inżynierowie, technicy. Takich wyszukiwano w całym rozległym Związku Radzieckim. Aresztowano, inscenizowano parodię sądu i skazywano na lat osiem, dziesięć, piętnaście, po czym wysłano do łagrów. W czasie naszego przyjazdu do Norylska było ich tam czterdzieści osiem, w każdym przebywało od sześciu do ośmiu tysięcy więźniów, przeciętnie było więc ich w Norylsku ponad trzysta tysięcy.

Propaganda stalinowska nazwała Norylsk miastem młodych entuzjastów usiłując szerzyć mit o rzekomych zasługach i entuzjazmie, z jakim komsomolcy budowali to miasto. Niestety, fakty i najoczywistsza prawda o rzeczach nieszczęsnych zesłańców - którzy w istocie byli pierwszymi budowniczymi miasta - mit ów obala całkowicie.

Po zajęciu w roku 1939 przez władze radzieckie naszych ziem wschodnich, zaczęły do Norylska napływać pierwsze transporty Polaków. Byli to przeważnie osiedleńcy z naszych Kresów Wschodnich, dawni wojskowi, policjanci, po nich szła służba leśna, sołtysi, pracownicy gminni, nauczyciele. Wysyłka Polaków do łagrów na dalekiej Północy przybrała masowe rozmiary po roku 1945. Tu już nie przebierano. Rozpoczęły się masowe łapanki, przede wszystkim "band Mikołajczyka", tj. członków Armii Krajowej. Po nich poszli pracownicy polskich urzędów, księża, przedstawiciele polskiej inteligencji, wreszcie masy wieśniaków, o któ-

rych usłużni donosiciele zdążyli poinformować władze radzieckie, że czują się oni Polakami.

Wśród członków Armii Krajowej, a jednocześnie i nauczycielstwa, znalazłem się i ja.

Ogromna rzesza więźniów zmęczona trudami długiej, wyczerpującej podróży przykucnęła teraz przy swoich tobołach na głównej, szerokiej drodze obozu. Między nimi wiercili się "wochrowcy", uzbrojeni strażnicy obozowi, przebiegali jacyć cywile, chyba urzędnicy obozu rekrutujący się z więźniów. Taki więzień, który potrafił zadekować się w obozie przy pracach urzędniczych, nazywał się "pridurok" i przez ogół więźniów traktowany był z pewną pogardą.

Komendantura obozu znajdowała się po lewej stronie drogi, tuż za bramą obozową. Był to obszerny barak, okazalszy od innych. Teraz wyniesiono przed niego stoły obłożone papierami. Za stołami rozsiedli się enkawudziści. Rozpoczęła się ceremonia przyjmowania nowego transportu. Nie śpieszono się zbytnio, trwał bowiem jeszcze, panujący tu niemal trzy miesiące, słoneczny dzień polarny. Przy stołkach urzędowali "nariadcziki" - przedstawiciele poszczególnych zakładów przemysłowych i przedsiębiorstw budowlanych werbujący robotników do swych zakładów. "Wochrowcy" podprowadzali więźniów partiami do stołów. Przy stołach wywołany po nazwisku więzień musiał przede wszystkim wymienić paragraf kodeksu karnego, na podstawie którego został skazany. W ten sposób segregowano więźniów na politycznych i kryminalnych. Więźniowie kryminalni cieszyli się w obozie większymi względami, polityczni byli źle widziani i traktowani gorzej.

Przy tym wymienianiu paragrafów kodeksu więźniowie Polacy

często zacinali się i mylili. Wprawiało to w złość przesłuchujących enkawudzistów, którzy nie szczędzili Polakom wyzwisk i urągań. Więźniowie Rosjanie recytowali swoje paragrafy płynnie i bez zająknięcia. Kodeks karny był wówczas dla obywateli wielkiego państwa radzieckiego, państwa o którym śpiewano:

Ja drugoj takoj strany nie znaju -
Gdie tak wolno dyszit czełowiek...

ich drogowskazem, księgą świętą i wyrocznią. Nie zna tak chrześcijanin Ewangelii, Izraelita Biblii, mahometanin Koranu, jak obywatel radziecki musiał znać wówczas kodeks karny. Później, gdy się z życiem obozowym otrzaskałem i pozawierałem pewne znajomości, szczerze opowiadali mi inteligentni więźniowie Rosjanie, że obywatele radzieccy dzielą się właściwie na trzy kategorie: tych, którzy siedzieli; tych, którzy siedzą; i tych którzy będą siedzieli. Większość Rosjan wymieniających paragrafy, na podstawie których zostali skazani podawała "piet'diesiat wosmujii statiu" - artykuł 58 Kodeksu Karnego Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, traktujący o zdradzie ojczyzny. Polacy sądzeni w Republikach Białoruskiej, Litewskiej lub Ukraińskiej, mających własne kodeksy karne, wymieniali liczby inne, oznaczające jednak artykuły te same: mówiące o zdradzie ojczyzny. Wśród Polaków oprócz "zdrajców ojczyzny" innych przestępców nie było. Ja jako "zdrajca ojczyzny" byłem sądzony z paragrafu 69 kodeksu karnego Białoruskiej Republiki.

Po wypowiedzeniu nazwiska i wyrecytowaniu paragrafu, więzień otrzymywał numer. Od tej chwili przestawał być jednostką ludzką o ukształtowanej osobowości, imieniu i nazwisku, a stawał się bezimiennym automatem uzależnionym całkowicie od woli

władz obozowych, oznaczonym jedynie numerem, który miał zostać jego kartą wizytową i znakiem rozpoznawczym na długie lata pobytu w obozie. Ja stałem się numerem 102-354. Byłem więc już bardzo daleko od tych, którzy pierwsi przybyli do Norylska, ale także i bardzo daleko od tych, którzy jeszcze po mnie mieli tu przybyć.

Po nadaniu mi numeru przydzielony zostałem do Rem-Stroj-Cechu. Cechami nazywano w Norylsku Kombinacie poszczególne jednostki przemysłowe czy też budowlane. Podzielonych na brygady, według przydziałów do poszczególnych cechów, zaczęto nas rozprowadzać po rozległym obozie i osadzać w przydzielonych barakach. Ja, ze swoją brygadą osadzony zostałem w baraku noszącym kolejny numer 37. Baraki w obozie norylskim były to drewniane budynki, mające w środkowej części obszerną sień, z której na prawo i lewo wchodziło się do pomieszczeń mieszkalnych. Pomieszczenie mieszkalne więźniów to wielka prostokątna izba, o jednym szerokim oknie w ścianie szczytowej. Pośrodku izby umieszczono murowany piec służący do ogrzewania, a opał do którego kombinować musieli przeważnie sami więźniowie. Po obu stronach izby stały rzędami piętrowe prycze. Każdą pryczę zajmowało czterech więźniów, dwóch na posłaniach dolnych i dwóch na górnych. Młodsi i już z życiem łagru obeznani więźniowie, a takimi w pierwszym rzędzie byli Rosjani, starali się zajmować prycze górne, gdzie było widniej i cieplej. Starsi, siłą rzeczy, lokowali się na pryczach dolnych. Na pryczy dolnej ulokowałem się i ja, umieszczając w głowach swój skromny, niemal już zupełnie pusty węzełek. Prycza przykryta była tylko cienkim, mocno podniszczonym kocem, pod którym na deskach leżał pusty, zgrzebny siennik. Dopiero później miałem się dowiedzieć, że siennik napełnić trzeba było samemu trocinami szabrowanymi już w pracy gdzieś na budowach

przy maszynach obrabiających drewno i deski.

Nie golona od kilku miesięcy broda swędziała okropnie. Nie wiedziałem, jak wyglądam. Przy sobie nie miałem żadnego lusterka, nigdzie też nie dostrzegałem żadnego lustra. Dotykając twarzy dłonią wyczuwałem twarde, gęste włosy, wśród których grzebałem palcami drapiąc skórę nękaną niemiłosiernym swędzeniem. Ktoś wreszcie powiedział mi, że w jednym z baraków przy głównej drodze obozu urzęduje fryzjer. Pojęcia nie miałem, na jakich warunkach fryzjer obsługuje więźniów, miałem jednak jeszcze przy sobie nieco pieniędzy, którymi, jak sądziłem, będę mógł opłacić jego usługę. Zapadał już mrok, robiło się ciemno. Rozlokowani w barakach więźniowie porządkowali swoje prycze, układali skromny dobytek, gwarzyli szeptem, zawierali znajomości. Ja zadomowiłem się już ostatecznie i chwilowo byłem wolny. Korzystając z tego udałem się na poszukiwanie owego fryzjera. Z bocznej ulicy, przy której znajdował się nasz barak, skręciłem w główną ulicę obozu. W rzędzie rozmieszczonych po obu stronach drogi baraków natknąłem się na jeden, nadktórym nad drzwiami widniała tablica z napisem: "Parikmachierskaja". Wszedłem po schodach i niepewnie otworzyłem drzwi do fryzjerni. Stanąłem przerażony na progu. Ujrzałem przed sobą istne monstrum w jakiejś niedbałej, mocno wygniecionej odzieży, o wynędzniałej twarzy, z głęboko zapadniętymi oczami i zmierzwioną, długą, o rudowym odcieniu, brodą. To byłem ja! Po długim niewidzeniu twarzy oglądałem ją teraz w dość dużym lustrze umieszczonym na ścianie pracowni. Fryzjer, wysoki postawny więzień, odburknął mi na moje pozdrowienie, każąc mi przyjść jutro, dziś już bowiem kończy pracę i nikogo przyjmować nie będzie. Grzecznie, jak tylko umiałem, wytłumaczyłem mu, że właśnie przybyłem z nowym

transportem, broda dokucza mi okropnie i bardzo proszę, by zrobił dla mnie wyjątek i tę brodę mi zgolił.

- A wy kto po nacjonalności? zapytał, gdy mu wyłuszczyłem moją prośbę.

- Polak - odpowiedziałem.

Na to słowo krzątający się po izbie fryzjer zatrzymał się, przyjrzał mi się bacznie i grzecznie kazał mi usiąść na krześle przed lustrem. Potoczyła się rozmowa jak zwykle u fryzjera w trakcie golenia. Skąd jestem, jak dawno zostałem aresztowany, jaką drogą do Norylska przybyłem. W trakcie tej rozmowy opadała mi wreszcie z twarzy nieznośna broda, golona najzwyklejszą maszynką do strzyżenia włosów. Poczułem się odmłodzony. W lustrze widziałem już zgoła innego człowieka, bardziej podobnego do tego, jakiego w normalnych warunkach przywykłem w lustrze oglądać.

Podziękowałem serdecznie uczynnemu fryzjerowi, a kiedy zamierzałem zapytać go o należność, ten wskazał na mój solidny sweter, który miałem pod marynarką. Sweter ów podarowała mi jedna z pań zaraz po aresztowaniu, jeszcze w Werenowie. Dotknął wełny palcami i poprosił, bym mu sweter odstąpił. Sam wyznaczył dość pokaźną cenę, zapytał, w którym mieszkam baraku, oświadczając, że zaraz jutro należność mi przekaże. Nie orientując się jeszcze dobrze w warunkach życia obozowego, przekonany zresztą o tym, że odmowa na nic by się nie zdała, bo i tak mi sweter zabiorą, zgodziłem się na transakcję i sweter z siebie ściągnąłem. Fryzjer chwycił go w ręce z błyszczącymi od radości oczami. Jeszcze raz zapewnił mnie solennie, że zaraz jutro należność mi zwróci i pożegnał mnie grzecznie. Tak więc wychodziłem z fryzjerni bez uprzykrzonej brody, ale też i bez solidnego, wełnianego swetra tak bardzo w warunkach Północy przydatnego. Fryzjer naturalnie dnia następnego, ani też w ogóle, nie zjawił się z należnością.

Gdy później odwiedzałem fryzjernię, korzystając z jego usług, udawał, że mnie nie zna. Byłem więc już maleńką cząstką w wielotysięcznej masie niewolników czerwonej przemocy, "zekiem" numer 102-354. "Zekami" w gwarze obozowej nazywani byli więźniowie, a słowo to pochodziło od rosyjskiego słowa "zakliuczonyj" - więzień. Byłem już tylko numerem. Przy wszystkich apelach, wezwaniach czy poleceniach więźnia nie wywoływano inaczej jak tylko wykrzykując jego numer, który znać trzeba było dokładnie i pamiętać o nim w każdej okoliczności i recytować go na każde wezwanie.

Następnego dnia wczesnym rankiem brygadami zaprowadzeni zostaliśmy do magazynu odzieżowego, w którym wyfasowano nam ubrania obozowe. Otrzymałem watowaną kurtkę "tiełogriejkę" oraz takież same watowane spodnie. Po południu mieliśmy iść do łaźni, w której miano nam wydać bieliznę. W baraku czekało na nas śniadanie w postaci kubka ciepłej cieczy, czegoś w rodzaju zbożowej kawy, którą obdzielał nas z dużego, metalowego naczynia "dniowalnyj" - dyżurny baraku. "Dniowalnyj" był więźniem nie wychodzącym do pracy, a jego obowiązkiem było utrzymywanie w baraku należytego porządku oraz przynoszenie z kuchni rano i wieczorem więźniom posiłku, przeważnie owej kawy. Po obiad więźniowie chodzili sami z miskami pod okienko do kuchni.

Wypiłem kubek "kawy", przegryzłem kilkoma kawałkami posiadanych jeszcze sucharów i tak jak wszyscy począłem się stroić w obozowe umundurowanie, które przez długie lata miałem nosić na sobie.

Gdyśmy już jako tako byli gotowi i przekształceni w prawdziwych "zeków", przed barakiem rozległ się gwizdek i "dniowalnyj" poganiając nas krzykiem, kazał wszystkim z baraku wychodzić.

"Stanowis'na prowierku", stawać do przeglądu, krzyczał już przed barakiem umundurowany strażnik obozowy. Był to niewysokiego wzrostu, o dobrodusznej, krągłej twarzy Tatar, który, przydzielony do naszego baraku, miał być naszym stróżem, opiekunem, dozorcą i wychowawcą. Ci strażnicy przydzieleni do opieki nad więźniami w obozie nosili miano "wochrowcy" od rosyjskich słów: "woorużonnaja ochrana". Takim "wochrowcem" był też stojący przed nami umundurowany Tatar.

Szybko, przynaglani przez "dniowalnego", ustawiliśmy się dwurzędem na drodze przed barakiem. Zaczęła się pierwsza dla nas obozowa "prowierka". Przekonaliśmy się później, w dalszym naszym życiu w łagrze, jak "prowierki" te mogą być uciążliwe i jak bardzo dawać się mogą we znaki.

Gdyśmy się ustawili, "wochrowiec" Tatar, przyjrzał nam się uważnie, przeszedł przed szeregami raz i drugi, przedstawił się, zapowiedział, że od tej chwili on jest naszym bezpośrednim nadzorcą i opiekunem, że całkowicie podlegać mamy jego woli, wykonywać wszelkie jego polecenia, przestrzegać obozowych przepisów i słuchać go we wszystkim, żadnych bowiem sprzeciwów czy łamania dyscypliny obozowej nie będzie znosić i potrafi zastosować odpowiednie sankcje.

Po tym oficjalnym zaprezentowaniu się nasz "wochrowiec" dobył z kieszeni niewielki zeszyt i przystąpił do sprawdzania przydzielonej sobie grupy więźniów. Odczytywał numery, a każdy więzień musiał, słuchając bacznie, odkrzyknąć swoje nazwisko, imię oraz, rosyjskim zwyczajem, imię ojca. Moje imię i nazwisko wywołało pewną sensację, brzmiało bowiem: "Wiaczesław Michajłowicz", czyli tak samo jak imię i nazwisko aktualnego radzieckiego

ministra spraw zagranicznych - Mołotowa.

- Wot tiebie i Mołotow - powiedział uśmiechając się "wochrowiec", gdy mu wyrecytowałem moje imię i imię mego ojca. To przezwisko "Mołotow" przylgnęło do mnie.

Po sprawdzeniu wochrowiec kazał naszej grupie odmaszerować na główną ulicę obozu, gdzie odbyć się miała "prowierka" generalna, pierwszy, ogólny apel przybyłego wczoraj transportu więźniów.

- Stanowis'w stroj, stanowis' - rozlegały się co chwila gromkie wołania strażników, którzy na apel stawili się licznie przyprowadzając powierzone swojej pieczy brygady więźniów.

Przed łagiernikami ustawionymi w równe szeregi stawiła się cała starszyzna obozowa, a więc komendant obozu, funkcyjni oficerowie, enkawudziści, naczelnik KWCz - Kulturno Wospitatielnoj Czasti, Oddziału Kulturalno-Wychowawczego, no i wreszcie sam "oper" - "oper- upełnomoczennyj", czyli pełnomocnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którego w resorcie pozostawały obozy, wyższy rangą oficer śledczy, całkowicie niezależny od komendanta obozu, czyli swego rodzaju obozowa szara eminencja.

Były jakieś przemówienia, przestrogi, nakazy, groźby i pouczenia, po których kazano nam się rozejść do baraków.

Zmierzając wolno w kierunku mego baraku nr 37 rozejrzałem się wreszcie uważnie po obozie. Rozłożony on był u stóp łagodnie wznoszącego się wzgórza, od którego stopniami coraz to niżej opadały baraki rozstawione w równych rzędach po obu stronach głównej ulicy, na której właśnie odbył się nasz pierwszy apel. "Zona", czyli właściwy teren obozowy, ogrodzona była wysokim parkanem z drutu kolczastego. Przy parkanie tym co kilkadziesiąt metrów rozstawione były "wyszki", wysokie wartownie,

czworokątne drewniane budy na palach, zaopatrzone w okienka. W budach tych dzień i noc czuwali uzbrojeni strażnicy. "Wyszki" uzbrojone były w potężne, obrotowe, przeważnie jednak na obóz skierowane, reflektory, które w warunkach nocy polarnej, jak się później przekonałem, spełniały istotnie ogromnie pożyteczną rolę. W stronie przeciwległej od wzgórza, u końca głównej obozowej ulicy, znajdowała się w ogrodzeniu szeroka brama wyjściowa, od której droga prowadziła do kombinatu i przez którą codziennie brygady więźniów wychodziły do pracy. Za bramą, jak okiem sięgnąć, wznosiły się gmachy kombinatu, przeważnie z czerwonej cegły, dymiły liczne kominy, surowym drewnem bieliły się rusztowania nowych budowli. Niemal na wprost obozowej bramy w odległości jakiegoś kilometra, na niewielkim wzgórzu, strojne w gęste, czarne dymy kilku kominów wznosiły się szare gmachy "serca" norylskiego kombinatu. Był to TEC - Tiepłowo Energiczeskij Centr, główna elektrownia zasilając kombinat w ciepło i energię elektryczną. U końca biegnącej w prawo dość długiej, równej drogi wznosiły się czerwone zabudowania Nikieliewo Zawoda, zakładu dającego cenną bardzo produkcję, tu bowiem otrzymywano nikiel występujący w strefach zapolarnych łącznie z takimi pierwiastkami, jak miedź, kobalt, platyna i inne. Otrzymywany w tym zakładzie proszek platynowy, w szczelnych opakowaniach, pod ścisłą strażą, odstawiano gdzieś, pono"na "matierik" do końcowej przeróbki.

W kierunku na lewo od głównej bramy obozu przesłaniała niebo wspomniana już Szmidticha, kopulasta góra Szmidtta, tak bardzo związana z historią Norylska. Po lewej stronie drogi do baraku, w którym mieszkałem, znajdowała się druga, niewielka "zona" wewnętrzna. Był to mały, z kilku zaledwie baraków składa-

jący się obóz, od całości obozu głównego odgrodzony szczelnie podwójnym zasiekiem z kolczastego drutu. W tym niezmiernie pilnie strzeżonym obozie, jak się wkrótce dowiedziałem, przebywali "własowcy", wzięci do niewoli bądź też wydani przez aliantów żołnierze oddziałów generała Własowa, zdrajcy swego kraju, który w chwilach dla niego krytycznych, wraz z podległym sobie wojskiem, przeszedł na stronę Niemców. Po rozgromieniu armii hitlerowskiej i smutnym końcu zdrajcy generała, część jego wojska trafiła do Norylska. Codziennie rano można ich było widzieć, jak w mundurach wojskowych, a nie w ubraniach obozowych, stawali na zbiórkę w zwartych szeregach, sposobem wojskowym, przed barakami, szykując się do wyjścia. Pracowali gdzieś, podobno przy najcięższych robotach, wszyscy razem, stale pod silnym nadzorem uzbrojonej straży obozowej. Apel poranny prowadził i składał raport dowódcy straży, jakiś wyższy rangą oficer własowski, postawny, o kulturalnym wyglądzie mężczyzna.
W kilka tygodni po naszym przybyciu obóz własowców został zlikwidowany. Przebywający w nim jeńcy zostali gdzieś wyprowadzeni i o ich losach nigdy nie dowiedzieliśmy się. Krążące po obozie pogłoski mówiły, że, wyprowadzeni w daleką tundrę, zostali tam wszyscy zlikwidowani.

Zbliżała się pora obiadowa i wszyscy z miskami w rękach udaliśmy się do kuchni po posiłek. W stojącym w okienku kucharzu napełniającym nam miski poznałem rosłego chłopa, Ukraińca, aresztanta odbywającego wraz ze mną podróż statkiem, który coś mi tam zabrał, niby to po uprzedniej mojej zgodzie. Potraktowałem go więc jako swego znajomego, nieświadom tego, że do znajomości z kucharzami w obozie nie należało się przyznawać, by uniknąć wszelkich posądzeń o kontakty czy protekcje. Podając mu więc

miskę pozdrowiłem go z uśmiechem zaznaczając, że jesteśmy znajomymi. Kucharz spojrzał na mnie złowrogo i odburknął gniewnie, że do żadnej znajomości ze mną się nie przyznaje, gdy jednak z rąk jego odebrałem miskę zawartość jej znacznie przewyższała ogólnie przyjęte i rozdzielane porcje. Pod powłoką przymusowej obojętności, zawiści i odgórnie likwidowanego człowieczeństwa drzemał jednak człowiek...

Pod wieczór popędzono nas do kąpieli. Znów wiadomy nam już proceder. Ubranie i bielizna na żelazne pierścienie do "prożarki", powierzchowne oględziny lekarskie, mycie się pod niesprawnie działającymi prysznicami, uzupełnione opłukiwaniem nóg w jakichś blaszanych naczyniach - i długie wyczekiwanie nago na powrót ubrania z "prożarki". Gdy więźniowie obsługujący łaźnię przynieśli sterty ubrań z dezynfekcji i rzucili je na środek pomieszczenia, trzeba było parząc się szybko wyszukać swoje ubranie, zdjąć je z pierścieni i ubierać się, bowiem na swoją kolejkę do kąpieli czekała już następna partia więźniów. W baraku czekał na nas przedstawiciel PPCz - Płanowo Proizwodstwiennoj Czasti - kierownictwa robót wykonywanych przez więźniów. Przez niego zostaliśmy gruntownie pouczeni o obowiązkach, jakie nas czekają, o korzyściach płynących z sumiennego wykonywania pracy, do jakiej zostaniemy przydzieleni - no i naturalnie o sankcjach i karach, z jakimi spotkać się mogą ci, którzy pracę swoją wykonywać będą niedbale i niewydajnie. Był naturalnie i "nariadczyk" z Rem-Stroj-Cechu, w którym mieliśmy pracować. Ten szczegółowo zapoznał nas z przedsiębiorstwem i określił charakter naszej pracy.

Następny dzień jeszcze mieliśmy wolny. Załatwiano jakieś formalności, przeprowadzano rozmowy, tu i ówdzie wzywano kogoś

do komendantury obozu.

Po śniadaniu, czarnej kawie, potwornej, o nieokreślonym smaku lurze, z czterysta gramową pajdką czarnego chleba, powychodziliśmy wszyscy na obozowe drogi, aby się z naszym łagrem zapoznać, rozejrzeć się, gdzie są jacy znajomi, w których barakach zamieszkali nasi koledzy, którzy wraz z nami tym samym transportem trafili do obozu.

Był wspaniały dzień polarny. Niezachodzące przez całą dobę słońce wznosiło się rozżarzone nad widnokręgiem, darząc swym światłem hojnie tę ziemię, która już wkrótce wejść miała w okres zmienności dni i nocy, aż wreszcie na długi czas pogrążyć się w czarną noc. Chodząc po drogach obozu spotkałem znajomych jeszcze z więzienia bądź poznanych w transporcie starszych więźniów. Gdzie byli młodzi, których wszak tylu z naszym transportem tutaj przybyło? Dopiero później zdołałem się dowiedzieć, że urok młodości, powaby ich młodego ciała wielu z nich uczyniły znośniejszym pobyt w obozie. Z miejsca znaleźli oni w obozie protektorów, którzy zainteresowali się ich losem, wysegregowali z ogólnej masy więźniów, pourządzali przy sobie na korzystnych funkcjach, dbając o ich wygody i robiąc z nich swoich przyjaciół i kochanków. Wszyscy ci młodzi znaleźli się przeważnie w innej, znacznie od naszej oddalonej, części obozu, stąd też zniknęli mi niemal z oczu i spotykałem się z nimi bardzo rzadko.

Z więźniami starszymi, którzy znaleźli się w tej części obozu, w której i ja zostałem umieszczony, w czasie przechadzki ponawiązywałem kontakty, które podtrzymywane były przez długie lata pobytu w obozie.

Droga, którą przechodziłem do mego baraku, prowadziła koło kuchni. Wyrzucano z niej często jakieś odpady, nikłe resztki jedzenia czy też po prostu śmieci. Gromadziło się to wszystko pod ścianami. Dzień w dzień widziałem wynędzniałych więźniów, jak łażąc koło kuchni, wygrzebywali z tych śmieci jakieś nie nadające się już do spożycia odpady pokarmów, które łapczywie połykali. Byli to obozowe "dohodiagi", więźniowie, którzy, być może niezdatni do pracy, otrzymywali znikome racje żywnościowe lub też inni, którym otrzymywana ilość pożywienia nie wystarczała, którzy opadali z sił, których dręczył głód i którzy znikąd nie mieli żadnej pomocy. Takich "dohodiagów", zwanymi - jak się dużo później miałem dowiedzieć - "muzułmanami" w niemieckich obozach, w obozie norylskim było niewielu. Później już się ich niemal nie spotykało.

I tak zaczęło się normalne życie obozowe, tak zacząłem odsiadywać swój wyrok: dziesięć lat pobytu w obozie, dziesięć lat pracy, dziesięć lat tęsknoty za krajem, daleko za Kręgiem Polarnym, w kraju wiecznej zmarzliny, lodów i tundry.

Jeszcze wieczorem na prowierce, czyli wieczornym apelu, nasz opiekun, krągłolicy Tatar, zapowiedział nam, że następnego dnia rozpoczynamy już pracę, do której wychodzimy o godzinie 6 rano. Rankiem następnego dnia o godzinie 5 rozległ się w baraku gromki głos "dniowalnego": Padjom, padjom! Odiewatsa i gotowitsia na rabotu!" Wszyscy poderwali się momentalnie ze swoich prycz. Zaczęło się szybkie ubieranie, mycie pod umywalkami umieszczonymi na zewnątrz baraku i porządkowanie posłań. Tymczasem już dyżurni wnieśli kociołek ze śniadaniem. Jakiś "berłaj", tak zwano tu zupę

obozową, no i zwykła pajdka chleba. Każdy, jak mógł najszybciej, sprawiał się z tym wszystkim, wychodził przed barak ma zbiórkę i stawał w szeregu. Po krótkiej "prowierce", sprawdzeniu przez naszego Tatara, czy stan brygady się zgadza, pomaszerowaliśmy piątkami "na razwod", jak w obozie nazywało się wypuszczanie za bramę obozową więźniów i rozprowadzanie ich na wyznaczone odcinki pracy.

Ustawieni w piątki, poszczególnymi brygadami, zbliżaliśmy się powoli do bramy obozu. Na czele każdej brygady szedł brygadzista, który przechodząc przez bramę podawał strażnikowi numer i stan brygady. Po lewej stronie drogi, w pobliżu bramy, stała orkiestra obozowa wygrywająca skoczne marsze. Z prawej strony wyjścia stał uzbrojony strażnik trzymając przed sobą kawałek dykty. Uważnie liczył przechodzące piątki i na dykcie zapisywał numer brygady oraz ilość wychodzących do pracy jej członków. Ilość ta musiała być taka sama i wieczorem, gdy brygada z pracy powracała. Strażnik brał wówczas dyktę z rannym zapisem i sprawdzał dokładnie. Jeżeli ilość się nie zgadzała, jeżeli kogoś brakowało, brygada bez względu na pogodę, do obozu nie była wpuszczana. Musiała stać przed bramą, aż brakujący więzień znalazł się. Były to co prawda rzadkie wypadki, brygadziści bowiem, by uniknąć przykrych konsekwencji, dobrze sprawdzali stan swoich brygad przed końcem dniówki starając się doprowadzić je do obozu w pełnym składzie. Niemniej jednakże wypadki takie zdarzały się i nieraz wypadało nam stać godzinami przed bramą, na okropnym, północnym wichrze, przy niemal czterdziestostopniowym mrozie, czekając aż zagubiony gdzieś w pracy członek brygady się znajdzie i dołączy do całości. Zwykle za powstałe z tego powodu zamieszanie

odpowiadał brygadzista, stąd jego troska o całość brygady.

I tak odbyłem swój pierwszy "razwod" w obozie pracy w Norylsku. A ileż jeszcze takich "razwodów" miałem odbyć w czasie mego pobytu trwającego blisko trzy tysiące dni w tym łagrze...

Cech, do którego zostałem przydzielony, jak wskazywała jego nazwa, prowadził w norylskim kombinacie roboty remontowo-budowlane. Dzięki temu w dość krótkim czasie poznałem przynajmniej powierzchownie wszystkie ważniejsze przedsiębiorstwa i oddziały tego najdalej na północ wysuniętego giganta metalurgicznego. Na początku trafiłem na budowę kotłowni. Po stromych "sztagach" trzeba było w specjalnych"kobyłkach" nosić na plecach degły bądź też we dwójkę wnosić na wyższe piętra budowy w nosiłkach wapno i cement, zwijając się przy tym odpowiednio, pracujący bowiem na górze murarze gnali z robotą, aby wykazać się wynikami.

Te i tym podobne prace przy budowach trwały póki było ciepło. Jednakże krótkie północne lato zbliżało się ku końcowi. Wrzesień na tych szerokościach geograficznych to już zima.

Któregoś dnia po przyjściu z pracy poprowadzono naszą brygadę do magazynu odzieżowego. Wydawano nam ciepłe, obozowe umundurowanie na zimę. Watowane spodnie, taką samą "ciełogriejkę", rodzaj watowanej kurtki, oraz "buszłat" długą, daleko za pas sięgającą watowaną kapotę. Na głowę dostaliśmy "uszanki", również watowane, zawiązywane pod brodą sukienne czapki. Ja z nowych rzeczy dostałem tylko spodnie, reszta to była stara mocno już podniszczona, obozowa odzież jakiegoś więźnia, który z obozem się pożegnał bądź po odbyciu wymierzonej kary, bądź po dokonaniu żywota...

Na nogi wydano więźniom grube, wojłokowe walonki. Nie starczyło ich jednak dla wszystkich. Wśród tych, którzy walonków nie dostali, znalazłem się i ja. Dzięki zabiegom brygadzisty, w krótkim jednak czasie wszyscy w brygadzie zostali zaopatrzeni w walonki. Ja jakoś w łaski brygadzisty wkraść się nie potrafiłem i całą długą dziesięciomiesięczną zimę polarną przechodziłem w skórzanych trzewikach. Dziś nie mogę sobie naprawdę tego uzmysłowić, jak to się mogło stać, że przy mrozach dochodzących do czterdziestu stopni nieraz całymi godzinami potrafiłem wytrwać przy pracy, na wolnym powietrzu, stać godzinami po pracy przed bramą, czekając na zebranie się całej brygady - i nóg sobie nie odmroziłem, podczas gdy inni, nawet w walonkach, nogi sobie odmrażali. Trzewiki były obszerne, okręcałem więc sobie nogi szmatami, starałem się być w ciągłym ruchu, przytupywałem w każdej wolnej chwili - i tak do przemarznięcia nóg nie dopuszczałem. Stan mego zdrowia, moja kondycja fizyczna być może odegrały tu również swoją rolę. Gdy inni szybko wyzbywali się sił nie czując się dobrze w warunkach polarnego życia, ja znosiłem wszystko zupełnie dobrze, a chłód i mrozy jakoś nie były mi straszne. Nie znosiłem nigdy gorąca, lepiej zawsze czując się w chłodzie, i teraz dziękowałem Bogu, że trafiłem do radzieckich obozów pracy na północy, a nie na południu, gdzie, jak słuchy wśród bywałych więźniów chodziły, ludzie w gorących promieniach słońca, zatrudnieni przeważnie przy różnych robotach ziemnych, marli jak muchy.

Teraz wychodziliśmy do pracy opatuleni w waciaki. Inne też były rodzaje prac, jakie teraz wykonywaliśmy. Przerwana

została murarka, wznoszenie nowych obiektów, natomiast wszędzie na budowach przystąpiono do kopania fundamentów. Fundamenty pod nowe obiekty kopano w Norylsku przeważnie zimą. Dwa letnie cieplejsze miesiące wykorzystywano na pospieszne wznoszenie ścian budynków, fundamenty pod które zostały przygotowane w zimie.

Kopanie fundamentów w wiecznej zmarzlinie nie było łatwe. Była to praca żmudna i czasochłonna. Nie na darmo w łagrach Norylska rozbrzmiewało znamienne i groźne hasło: "Zapoliarnyje kotłowany - eto śmiert' faszizma" /Zapolarne fundamenty - to śmierć faszyzmu/. Miało to oznaczać, że przy kopaniu fundamentów w radzieckich łagrach w strefach polarnych kres swój znajdzie faszyzm, tu bowiem zwożono z każdego zakątka ziemi, do którego tylko dotarła Armia Czerwona, wyłapywanych masowo ludzi, przeważnie nie mających z faszyzmem nic wspólnego. Pchnięto ich do wielkiego przemysłu na dalekiej Północy, pracującego na potrzeby armii, a do którego w kraju formującego potężne wojska brak było rąk do pracy. Pierwsza czołowa fala armii radzieckiej przelała się przez ziemie polskie. I te ziemie dostarczyć musiały największych ilości "faszystów" potrzebnych do pracy w przemyśle radzieckim. Trzeba było jednak jakoś prawnie ten drakoński "nabór" siły roboczej umotywować. Przy kombinatach i wielkich zakładach poczęto więc zakładać karne obozy pracy. Wychwytywanym masowo, wolnym obywatelom "wyzwalanych" ziem przypisywano odpowiednie paragrafy, przeważnie zdrajców ojczyzny i całymi transportami do tych obozów pracy ich wywożono. Ucierpiały tu szczególnie nasze ziemie wschodnie, które Rosjanie wnet po ich zajęciu uważali za swoje.

W haśle o śmierci faszystów przy kopaniu zapolarnych fundamentów było nieco chełpliwej przesady. W porównaniu do innych naprawdę ciężkich prac przy budowach kopanie fundamentów

tak groźnie się nie przedstawiało. Wieczna zmarzlina ani na pół centymetra uszczknąć się nie dawała. Idąc więc do takiej pracy, pobierało się w "instrumientałkie" - składzie narzędzi - kilofy, łopaty, żelazne drągi i młoty. Na miejscu, zgodnie z zakreślonymi liniami przyszłych rowów, za pomocą kilofów i młotów, wbijało się w zmarzlinę, w układzie szachownicy, gęstą siatką, żelazne łomy. Gdy już znaczna część zarysowanych fundamentów była tymi łomami pokryta, przychodziły brygady elektryków, którzy żelazne łomy łączyli przewodami i włączali prąd. Tak pod napięciem łomy pozostawały do dnia następnego nagrzewając się silnie i powodując tajanie zmarzliny. Rano przychodziły znów brygady robocze. Prąd wyłączono, zwijano przewody i usuwano łomy. Kilofami rozbijano poddającą się teraz zmarzlinę i łopatami odrzucano ją na bok. Zwykle po każdym takim nocnym nagrzaniu zmarzlina dawała się wybrać do głębokości jakichś 10 centymetrów, nic też dziwnego, że kopanie takich fundamentów trwało długo i ciągnęło się całymi miesiącami.

Jeśli praca przy "kotłowanach" nie była zbyt ciężka, to zato była niezwykle uciążliwa i przykra. Przez cały dzień przebywać trzeba było na wolnym powietrzu, na straszliwym mrozie, na przenikliwym, wiejącym z wielką siłą północnym wichrze. Po usunięciu instalacji, wyjęciu łomów, wykopaniu kilku centymetrów odtajanej zmarzliny następowało ponowne wkopywanie żelaznych drągów, ponowne ich podłączanie i tak dzień w dzień, dzień w dzień. W szarej monotonii, beznadziei i pustce niby bezduszne automaty poruszały się oznaczone tylko numerami brygady więźniów, których jedynym, każdodniowym marzeniem była miska gorącej strawy i ciepły kąt w baraku.

Ale o ten ciepły kąt w baraku więźniowie sami musieli dbać. Stojący pośrodku izby mieszkalnej piec opalany był tylko tym, co jej mieszkańcy gdzieś potrafili wyszabrować i wracając z pracy ze sobą przynieśli. Oficjalny przydział opału, przeważnie w postaci drobnego, na wpół z miałem, węgla był bardzo znikomy i w żadnym razie do ogrzania baraku niewystarczający.

Niosło się więc z pracy to, co się tylko dało gdzieś zorganizować. Ktoś niósł nieco węgla, zręcznie podebranego w jakimś przedsiębiorstwie, ktoś kawał drewna, deski czy listwy. To wszystko buzowało w barakowym piecu, promieniującym wokół tak upragnionym, przyjemnym ciepłem.

Któregoś dnia brygadę naszą dołączono do brygady zatrudnionej przy remoncie jednego z przedsiębiorstw metalurgicznych. Plan przedsiębiorstwa musiał być wykonany, a tu nastąpiła awaria wielkiego pieca. Natychmiastowy remont stał się więc konieczny. Ponieważ czas naglił, wyszliśmy do pracy na zmianę nocną. Było okropnie zimno. Mróz przekraczał trzydzieści stopni. Do tego jeszcze dął silny wiatr, kołując tumanami lotnego śniegu. Milionem drgających gwiazd skrzył się ciemnofioletowy firmament niebam Okutani po same nosy, wszystkim czym się tylko dało, przybyliśmy na miejsce. Z budynku płynęło potworne gorąco. Żarem buchały dwa mniejsze, czynne piece odlewnicze. Rozlokowaliśmy się na obszernym, wysokim pomoście, którym do pieców dostarczano wsad przywożony tu wagonami. Całością prac naszych kierował wysoki, krzepki opiekun tej brygady, do której zostaliśmy dołączeni, brygadzista Waśka - "błatnoj", jak w gwarze obozowej zwano więźniów kryminalistów. Waśka był znienawidzony w swojej brygadzie. Pragnąc się wybić i zyskać sobie względy "naczalstwa" był dla brygady bezwzględny i bezlitosny. Wymagał

częstokroć pracy ponad siły, nie dając ludziom chwili wytchnienia czy wypoczynku. Tak też było i w nocy, w której pognano nas do owej pilnej, awaryjnej roboty. Waśka z miejsca zabrał się do dzieła. Porozstawiał odpowiednio ludzi, powyznaczał prace, zwijał się, biegał, krzyczał, klął, wymyślał i wciąż poganiał do roboty. Wreszcie sam chwycił za taczkę i począł biegiem podwozić do remontowanego pieca szamot i glinę, którą urabiali na pomoście robotnicy. Zgrzał się przy tym okropnie, zrzucił "tiŕłogriejkę" i tylko w koszuli, owiany żarem pieców, wypadał na otwarty pomost, na mroźne, dech w piersiach zapierające powietrze, na wicher i śnieżyce. Nad ranem robota była skończona. Pozdawaliśmy narzędzia i wróciliśmy do obozu. W baraku czekało już na nas przygotowane przez "dniowalnego" śniadanie. Zjedliśmy szybko i poukładaliśmy się do snu. Za przepracowaną noc dzień mieliśmy wolny. Obserwowałem brygadzistę Waśkę. Był jakiś nieswój, nie tknął śniadania i zaraz, ledwie zrzuciwszy wierzchnie odzienie ulokował się na posłaniu. Leżał na górnej pryczy na wprost mnie, tak że mogłem go doskonale widzieć. Przykrył się buszłatem i zabrał się do snu. Znużony całonocną pracą usnąłem i ja. Obudziłem się około południa. Spojrzałem w stronę Wasyla. Leżał trzęsąc się okropnie i jęcząc z cicha. Nocne biegi z taczką od rozgrzanych pieców na mroźne powietrze zrobiły swoje. Brygadzista był straszliwie przeziębiony. Trzęsła nim febra i ogarnęła go okropna gorączka. Zastanawiałem się, czy mam się do niego zbliżyć i czy mogę mu w czymkolwiek pomóc. Ale pomyślałem, że przecież nie byłem z jego brygady, że jego ludzie powinni zadbać o niego. Usnąłem powtórnie. Gdy się po niedługim czasie obudziłem, Waśka jęczał głośno i wołał o wodę. Przebudzili się też i członkowie jego brygady, Rosjanie, przeważnie kryminaliści.

Każdy jęk swego "brygadira" każdą jego prośbę o wodę zbywali śmiechem. "Pust' padochniet! Niech zdechnie! - wołali rechocząc radzi, że znienawidzonego przez nich brygadzistę dotknęła choroba, dzięki której może wreszcie się go pozbędą. Waśka zaczynał bredzić nie przestając w malignie błagać o wodę. Wstałem, nabrałem kubek stojącej w blaszanym naczyniu wody, wdrapałem się na pryczę Wasyla, uniosłem mu głowę i przytknąłem kubek do ust. Wypił chciwie prosząc o jeszcze. Podałem mu kubek drugi, wypił i nieco uspokoił się. Dotknąłem jego głowy. Była jak w ogniu. Zlazłem z pryczy, zmoczyłem ręcznik w zimnej wodzie i obłożyłem nim czoło chorego. Czynność tę powtarzałem co kilkanaście minut. Kryminaliści z brygady chorego przestali się śmiać. W milczeniu obserwowali moje czynności. Okryłem chorego szczelnie buszłatem i pozostałem przy nim do wieczora zmieniając kompresy i podając na żądanie wodę. Wieczorem Waśka uspokoił się całkowicie i usnął. Poszedłem spać i ja. Rano, natychmiast po pobudce, wlazłem znów na pryczę do chorego. Gorączka niemal całkowicie ustąpiła. Patrzał teraz przytomnie. Zapytałem go, czy chce jeść. Jeść nie chciał, prosił o coś ciepłego do picia. Napoiłem go kawą i sam śpieszyć się musiałem na "razwod".

Gdy wróciłem z pracy, Waśka był już prawie zdrów, krzepki organizm mołojca pokonał chorobę. Z pewnością też mnie zapamiętał. Do tego był już chyba poinformowany o moich o niego staraniach. Uśmiechnął się do mnie i gestem zaprosił mnie do siebie. Gdy znalazłem się przy nim na pryczy, chwyciwszy mnie mocno za rękę w gorących słowach dziękował mi za opiekę zapewniając, że teraz będzie moim przyjacielem i zawsze będę mógł na niego liczyć. Istotnie, słowa dotrzymał, przyjacielem i protektorem moim został, co mi się w przyszłości bardzo przydało. "Błatnyje" bowiem stanowili w obozie zgraną bandę, przewodzili we wszystkim

i byli ogólnym postrachem. Jakiekolwiek losy przechodziłby obóz i zamknięci w nim więźniowie, "błatnym" zawsze powodziło się dobrze. Oni stawali się protektorami przybywających do obozu młodych chłopców, oni mieli "chody" w kuchni i w magazynie odzieżowym, oni fasowali najlepsze ubrania i trafiali na najlepsze roboty, oni przeważnie byli brygadzistami, wymigując się od ciężkiej pracy kosztem innych. Z nimi się wszędzie liczno, oni wszędzie mieli powiązania i wpływy na wszystko. Tak więc z jednym z takich i ja zawarłem przymierze.

Oprócz "błatnych" była jeszcze w obozie "szpana", do której zaliczano wszelkiego rodzaju złodziejaszków i bandytów, "urki" - zawodowi kryminaliści i wreszcie "suki" - element najgorszy, znienawidzony nawet przez "błatnych", pozbawiony resztek moralności i człowieczeństwa, postrach wszystkich spokojnych więźniów. "Suki" bywali też najczęstszymi lokatorami karceru, w skrócie obozowym nazywanego BUR /Barak Usiliennowo Reżima/ - barak wzmożonej dyscypliny.

Trwała długa, dwumiesięczna noc polarna. Tylko ranne pobudki kazały nam wierzyć, że zgodnie z biegiem wskazówek zegara nastał dzień, a skończyła się noc. W rzeczywistości jednak noc trwała. W ciemności wychodziliśmy do pracy, w ciemnościach rozpraszanych jedynie światłem lamp pracowaliśmy, w ciemnościach powracaliśmy z pracy. Jak doba liczy dwadzieścia cztery godziny, tak i dwadzieścia cztery godziny liczyła noc polarna. Mrozy potęgowały się. Kiedy termometr wskazywał ponad minus czterdzieści stopni, nie wychodziliśmy do pracy. Początkowo cieszyliśmy się z tego, ale niedługo. Trzeba było porządkować

teren obozu. Spadły ogromne śniegi. Z potężną siłą dęły północne wiatry niosąc istne lawiny śniegu, który zasypywał prawie baraki. Przy niskiej, przekraczającej minus czterdzieści stopni temperaturze, pojawiała się gęsta, mleczna mgła, osnuwająca wszystko, utrudniająca widoczność i poruszanie się. Wychodzenie do pracy w takich warunkach stawało się niemożliwe. Nam jednak próżnować nie pozwolono. Przedwczesna była nasza radość z tego, że przy wielkich mrozach do robót nas nie będą pędzić. Gdy nie wychodziliśmy do zwykłych prac na terenie kombinatu, pędzono nas do oczyszczania obozu ze śniegu. To było gorsze niż praca w przedsiębiorstwach. Tam zawsze znalazł się moment na odpoczynek, jakiś ciepły kąt, w którym można było się przez chwilę pogrzać. Takich możliwości nie było przy pracy w obozie. Uzbrojeni w szerokie, drewniane łopaty, pookręcani w to wszystko, co bodaj trochę mogło chronić od zimna, odgarnialiśmy bez odpoczynku śnieg od baraków, oczyszczając do nich swobodne przejścia. Ogromne masy śniegu odrzucanego na boki tworzyły góry sięgające do dachów baraków, do których dojścia stawały się prawie tunelami wyrytymi w tych śniegowych wzniesieniach.

Okna baraków były bądź całkowicie zasypane śniegiem, bądź też pokrywała je gruba warstwa oblodzonego szronu. Przez całą dobę paliło się w baraku światło, a więźniowie w wolnych chwilach wyszukiwali dla siebie najróżniejsze zajęcia. Rzadko który coś czytał. Gazet nie otrzymywaliśmy w ogóle, książek żadnych nie było również. Mnie udało się gdzieś zdobyć obszerną "Historię Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego". Przyznam, że czytałem ją z wielkim zainteresowaniem, jako coś dla mnie mało znanego. Zaledwie jednak "Historię Partii" doczytałem do połowy, książkę mi skradziono. Myliby się ten, kto by sądził,

że książka ukradziona mi została ze względu na jej treść, że skradł ją jakiś entuzjasta. Nie, nie to było powodem zniknięcia mojej książki. Po prostu "Historia Partii" została w najzwyklejszy sposób sprofanowana. Więźniowie Rosjanie palili "koreszki" - grubo siekaną, niby sieczkę, machorkę z łodyg tytoniowych, którą wsypywali w skręcone z papieru gazetowego tulejki, tak zwane kozie nóżki, i tak palili. O papier - i ten gazetowy - było bardzo trudno. Stąd też każda książka stawała się dla palaczy łakomym łupem. Moja "Historia Partii" też padła ofiarą palaczy, mimo jej całej "świętości", no i dosłownie poszła z dymem. Widziałem później, jak "błatnyje" i "szpana" kartkami mojej książki się obdzielali, upomnieć się jednak o moją własność znaczyło poważnie się narazić tym, wszechwładnie w baraku panującym typom.

Rozrywka powszechnie przez więźniów uprawianą w barakach była gra w domino. Przykładając kostkę do kostki należało nią z rozmachem i z całej siły uderzyć o blat stołu uzupełniając to zwykle jakimś mocnym, soczystym słowem. Przez całe wieczory słyszało się od stołu denerwujące trzaski, wyzwiska, śmiechy, a niejednokrotnie zażarte kłótnie. Przegrywający w tej grze musieli przełazić pod niskim stołem. Stawką była zwykła ilość takich pod stołem wędrówek. Najśmieszniej wyglądało, gdy pod stołem, czołgając się, przełazić musiał, często biorący udział w grze, wysoki, przystojny Łotysz, niegdyś oficer armii łotewskiej i wojskowy attaché poselstwa łotewskiego w Warszawie. Łotysz ów świetnie władał językiem polskim i często długie chwile spędzaliśmy z nim na rozmowach, w których zwykle barwnie i żywo opowiadał mi swoje przeżycia w przedwojennej Warszawie. Na zwróconą przeze mnie uwagę, czemu się tak pospolituje zasiadając do gry z barakową hołotą, odpowiedział, że celowo unika wszelkiego wyróżniania się, hołota ta bowiem wiedząc kim był, początkowo

dokuczała mu niemożliwie, ustało to z chwilą, gdy z więźniami kryminalistami w baraku zrównał się całkowicie przejmując ich obyczaje i włączając się w tryb ich życia.

Monotonne i jednostajne a pełne beznadziei były owe długie wieczory, trzaskające mrozami podbiegunowej zimy, w baraku karnego obozu pracy norylskiego kombinatu. Z rękami pod głową wspartą na zwiniętej "tiełogrejcę" leżałem błądząc myślami gdzieś, hen daleko, w miejscach mi bliskich i drogich, a teraz oddalonych ode mnie o tysiące kilometrów. Dla myśli jednak przestrzeń nie istnieje. W jednym mgnieniu porywa mnie ona i przenosi hen na nadpilickie łąki, piaszczyste opoczyńskie drogi, spalskie lasy - resztki Mazowieckiej Puszczy, to znów "wędruję" po zapadłych wsiach białoruskich, po izbach poprzemienianych przeze mnie na szkolne klasy, po lasach, biwakach i kryjówkach leśnych chłopców, z którymi siedziałem razem w lidzkim więzieniu, a dziś tylko czasem z którymś z nich się spotkam lub o którymś coś zasłyszę...

Błącząc myślami daleko patrzę na otaczającą mnie rzeczywistość. Oto na górnej pryczy przede mną półsenny brygadzista Waśka, szybkimi ruchami ręki pod kocem gasi płomień młodego, krzepkiego ciała. Nikogo to nie razi, dziwi ani bawi. Oto na którejś z prycz jakiś bardziej przezorny i więcej o higienę dbający więzień zdjąwszy z pleców koszulę bacznie ją przegląda, szczególnie pilnie badając jej szwy. A nuż gdzieś zawieruszyła się wesz! Co prawda koszula niedawno wróciła z "prożarki", ale licho nie śpi. O wesz w warunkach łagrowego życia nie trudno. A nuż znajdą? Oficjalne szukanie wszy w bieliźnie więźniów przez służbę obozową bywa częste. Może być w każdej chwili.

Znajdą i zafasujesz co najmniej trzy dni BUR-u, karceru, do którego cię po znalezieniu wszy pogonią za karę. Ot, lepiej samemu sprawdzić zawczasu.

Siedzący na górnych pryczach w pobliżu stołu więźniowie obserwują graczy zajadla trzaskających kostkami domina i dopingują ich głośnymi uwagami, kpinami i śmiechem. Na dwóch narożnych pryczach trwa, często praktykowana zabawa, rodzaj doświadczeń chemicznych. Mołojec czujący potrzebę wydzielenia z siebie wiatrów kładzie się na brzuchu z obnażoną tylną częścią ciała, przy której z zapaloną zapałką czuwają jego kompani. Zaledwie tylko, często dość głośno, powietrze z leżącego poczyna wychodzić zbliżają w to miejsce zapaloną zapałkę. Podobno czasem, ku wielkiej uciesze obserwujących doświadczenie "błatnych", wychodzące z leżącego gazy zapalały się nikłym płomieniem. Sam nigdy tego nie widziałem i nie byłem pewny, czy istotnie tego rodzaju zjawisko zachodziło, a szkoda, chemia przecież mi też obca nie była, w młodości pracowałem jako laborant w laboratorium chemicznym.

Ale w tej monotonii życia w baraku i ja znalazłem dla siebie zajęcie. I ja zacząłem przeprowadzać doświadczenia, co prawda nie chemiczne, ale zoologiczne. Zacząłem oswajać myszy. Pewnego wieczoru, leżąc z głową zwróconą w bok i wpatrzony w mroczny kąt podłogi przy pryczy, zauważyłem, jak ze szpary wysunął się zgrabny łepek myszy, która bystrymi oczkami ciekawie rozglądała się dokoła. Nieznacznym ruchem ręki ściągnąłem z półki nad głową jakąś kruszynę chleba i rzuciłem ją w kierunku zwierzątka. Kruszyna upadła tuż przy otworze, z którego wyglądała mysz. W pierwszym momencie zwierzątko łepek cofnęło, po chwili jednak wychyliło go ponownie chciwie sięgając po rzuconą kruszynę. Rozpoczęły się doświadczenia, które wkrótce przekształ-

ciły się w rozrywkę stawiającą mnie w rzędzie przykładnego miłośnika zwierząt.Zachęcona pierwszą kruszyną mysz, pojawiła się ponownie. Druga kruszyna już na nią czekała. Mysz jednakże skonsumowała ją teraz już na miejscu i wcale nie próbowała uciekać. Tak się zaczęła nasza znajomość i przyjaźń. Mysz wychodziła teraz co wieczór konsumując na miejscu i z apetytem podrzucane jej kruszyny. Później wychodziły już dwie myszy, czasem wyszły nawet trzy. Karmiłem je w wielkiej tajemnicy, bo myszy w barakach tępiono. A chroniły się one tam na długie miesiące polarnej zimy. Krótkie, kilkutygodniowe lato spędzały w tundrze okalającej baraki.

Tak upływały długie wieczory polarnej nocy w baraku norylskiego łagru. Monotonne i jednostajne. Tam trzaski kostek domina, tu jakaś sprzeczka, jakiś śmiech, soczyste słówko "po matuszkie", tam oryginalne chemiczne doświadczenia, ktoś siedząc na pryczy wielką igłą z grubą nicią zszywa gdzieś przy pracy rozdarty buszłat, ktoś drzemie grzejąc się przy piecu, ktoś szuka wszy w bieliźnie, ktoś niespokojnie wierci się pod kocem...

Dziesięciomiesięczna okropna zima dalekiej północy zbliżała się już ku końcowi. Przetrwałem ją w skórzanych trzewikach. Jak mogłem przetrwać, nie wiem, jak już zaznaczałem.

Robiło się już cieplej, pokazało się niewidoczne przez kilka miesięcy słońce. Prace przy budowach stawały się znośniejsze. Pogłębiało się teraz i wyrównywało z takim trudem kopane zimą rowy pod fundamenty, w których już uwijali się murarze. Przynosiło się im cegły i cement, który trzeba było całymi nieraz godzinami ręcznie łopatami mieszać z piaskiem albo też, w miarę potrzeby, z drobnym żwirem i szabrem. Po trapach wspinało się na rusztowaniach dźwigając na plecach w "kobyłkach"

cegły bądź też we dwójkę ciężkie, wypełnione zaprawą "nosiłki", od których, by zbytnio ciężarem nie nadwyrężać rąk, zakładało się na kark parciane "szleje" - szerokie i twarde pasy, które ugniatały solidnie kark, ale ułatwiały dźwiganie "nosiłek". Wszystko to trzeba było wykonywać z pośpiechem, pracujący bowiem wysoko na rusztowaniach murarze poganiali i dopominali się o materiał. Murarzy poganiali brygadziści, tych znów majstrowie "proraby" i tak dalej pięła się ta hierarchia poganiania, i tak wznosiły się wciąż nowe budowle, i tak rósł i rozwijał się potężny górniczo-metalurgiczny kombinat budowlany za Kręgiem Polarnym, jak głosiła oficjalna propaganda, przez młodych entuzjastów, komsomolców.

W początkach pięknego, północnego lata uśmiechnęło się do mnie szczęście. Ponawiązywałem już pewne znajomości i kontakty, zaczynałem mieć "stosunki". Marzeniem każdego więźnia zatrudnionego przy ciężkich pracach budowlanych było dostać się gdzieś "do środka", do pracy w jakimś zamkniętym zakładzie, do pracy biurowej, do magazynów, składów, obsługi maszyn, w ogóle na takie stanowiska, na których praca byłaby spokojna i wymagała mniejszego wysiłku fizycznego.

Na prawo od drogi, którą codziennie wychodziliśmy do pracy przy budowach, dymiły niedaleko wysokie kominy i wznosiły się czerwone budynki "dwocat piatowo zawoda" wielkiej huty kobaltu ~~kombinatu~~, jednego z najbardziej ważnych i dającego najcenniejszą produkcję przedsiębiorstw norylskiego kombinatu. W hucie tej pracował ów Łotysz, były attaché wojskowy poselstwa łotewskiego w Warszawie, który grając w baraku w domino tak często musiał przełazić pod stołem. Z tym inteligentnym więźniem znalazłem wspólny język i szybko zaprzyjaźniłem się. Obiecał urządzić mnie w hucie kobaltu. Trudność jednak polegała na tym,

że przedsiębiorstwo budowlane, do którego ja należałem, odczuwając wiecznie brak odpowiedniej ilości rąk do pracy, nikogo ze swoich ludzi nie zwalniało, chyba że dostawało człowieka na zamianę. Jak mój protektor sprawę załatwił, nie dowiedziałem się, dość że z Remstrojcechu zostałem zwolniony i w połowie lata przyjęty do pracy w hucie kobaltu.

Teraz więc wychodziłem już do pracy zadowolony i spokojny nie troszcząc się o to, co na budowie mnie czeka, gdzie i do jakiej roboty zostanę rzucony. W hucie kobaltu dostałem stanowisko "instrumientalszczyka", wydawcy narzędzi potrzebnych w ciągu zmiany ludziom do pracy. Były to przeważnie instrumenty ślusarskie. Narzędziownia była pomieszczeniem zamkniętym, zaopatrzonym w półki z przedziałkami, w których były poukładane narzędzia. Do obowiązków moich należało wydawanie przez okienko zgłaszającym się ślusarzom potrzebnych im w danej chwili narzędzi, na które jako gwarancję otrzymywałem od zgłaszających się "birki", tj. blaszane krążki z wybitym na nich numerem pracownika. W porównaniu do robót przy budowach obecna moja praca była wprost idealna. Bez specjalnego fizycznego wysiłku, w ciepłym pomieszczeniu, w którym nie potrzebowałem obawiać się chłodów polarnej zimy, zależny sam od siebie, nie poganiany przez brygadzistę, odizolowany od masy więźniów, z którymi obcowanie przez całą dniówkę częstokroć było ogromnie nieprzyjemne i ciężkie.

Praca w hucie odbywała się na trzy zmiany, stąd też i dyżury w narzędziowni były trzyzmianowe. Miałem więc dużo wolnego czasu, szczególnie na zmianach popołudniowych i nocnych. Zabrałem się więc do czytania książek, w które można się było zaopatrzyć w Zakładowej Bibliotece Technicznej, mającej również skromny dział beletrystyczny. Przeczytałem wiele utworów lite-

ratury rosyjskiej i radzieckiej. Pogłębiając znajomość literatury poszerzałem również wiadomości z języka rosyjskiego. Noce poświęcałem poezji. Zmiany nocne były zmianami najspokojniejszymi. Zdarzało się tak, że w czasie zmiany nocnej nie zgłosił się ani jeden pracownik po odbiór jakiegokolwiek narzędzia, właziłem więc po drabinie na stryszek pomieszczenia, gdzie poskładane były "spiecowki", robocze ubrania ślusarzy - i tam rozłożony na nich wygodnie oddawałem się marzeniom. Nieskrępowaną niczym i nie znającą granic myślą przenosiłem się do kraju, do moich najbliższych. Tak jak w wolnych wieczorowych godzinach w baraku, tak i tu, błądziłem po znajomych mi kątach, drogach, lasach i polach. Duch,gnany tęsknotą, bratał się z tym wszystkim, co tam w kraju zostało; z każdym moim przeżyciem, ukochaniem, marzeniem, miłością i żalem.

I z tych błądzących gdzieś daleko, opętanych tęsknotą myśli rodziła się we mnie poezja. Z jakąś dziwną lekkością splatały się rymy i układały się wiersze. Trzeba je było chwytać, utrwalać, by nie rozpływały się bez śladu w ustawicznym zamęcie wciąż nowych zamysłów, rojeń i marzeń. Pisałem. Każdego niemal dnia powstawał nowy wiersz, przepojony tęsknotą za krajem bądź też opiewający surowe piękno stref zapolarnych, w których przyszło mi żyć. Pisać jednak nie było na czym. Papier wówczas w Norylsku był luksusem. Jedynie w głównymh biurach pisało się na pośledniego gatunku białym papierze, w biurach wydziałowych i w przedsiębiorstwach całą biurowość prowadzono na grubych, żółtych papierach przypominających raczej papier do opakowań. Taki papier udawało mi się od czasu do czasu zdobywać. Przeważnie jednak pisało się na papierze z worków po cemencie. Więźniowie mający do czynienia z cementem skrzętnie zbierali próżne worki, oczyszczali je starannie, przycinali odpowiednio i poskładane w arkusze odstępowali potrzebującym

papieru więźniom za szczyptę machorki czy też za pajdę chleba. Tą drogą i ja zaopatrywałem się w taki papier. Cement pochodził z Polski. Serce mi się krajało, gdy na papierowych workach czytało się polskie napisy firmowe. "Portland cement" przypominał nam ojczyznę... Własnymi rękami, z ojczystego cementu, polscy więźniowie, wygnańcy budowali sobie więzienia w dalekich zapolarnych krainach. I to było wówczas jedynym ich powiązaniem z ojczyzną...

Na tym więc papierze z worków po cemencie kawałkiem odpowiednio zatemperowanego grafitu, ołówek bowiem również był dla więźnia niedostępnym luksusem, pisałem moje wiersze. Pisałem je nocami rozparty na watowanych "spiecowkach" na stryszku narzędziowni.

Tak upływały dnie, tygodnie i miesiące mojej pracy w narzędziowni zakładu kobaltowego w Norylsku. Najgorsze były zmiany dzienne, szczególnie pierwsza zmiana, od 6 do 14. Na tej zmianie w hucie był największy ruch. Pracowały wszystkie brygady remontowe: ślusarzy, instalatorów, murarzy, elektryków. Co chwila przybiegał ktoś pod okienko żądając jakiegoś narzędzia. Wydawałem je, pobierając w zamian gwarancyjny numerek. Gorzej było z tymi, którzy numerki gubili, a potem domagali się wydania narzędzi. W takich wypadkach nie mogłem wydać narzędzia, przeważnie bowiem w tych okolicznościach narzędzie ginęło, a ja przecież byłem za nie odpowiedzialny. Dochodziło więc często do scysji i ostrych awantur. Szczególnie arogancko zachowywał się jeden ze ślusarzy niedawno zwolniony z obozu, w którym siedział za jakieś bandyckie wyczyny, potężne chłopisko o prostackich manierach. Zgłaszając się po narzędzia z reguły awanturował się. Kiedyś zjawił się przed okienkiem żądając wydania jakiegoś instrumentu bez numerku. Gdy mu odmówiłem, z całą siłą plunął mi w twarz. Cóż było robić?

Byłem bezsilny. Otarłem twarz, a przez myśl przemknęły mi słowa "Roty" Konopnickiej: "Nie będzie Moskal pluł nam w twarz". Niestety, ja byłem w sytuacji takiej, że Moskal mógł mi jeszcze plać w twarz bezkarnie...

W narzędziowni znajdował się również podręczny skład różnych farb i lakierów. Były także pędzle, które wydawało się malarzom. W chwilach wolnych zacząłem więc malować. Na kawałkach dykty malowałem kwiaty. Przeważnie białe narcyzy, te bowiem malować było najłatwiej. Kilka takich obrazków namalowałem do baraku. Pewnego razu jeden z najlepszych moich obrazków ofiarowałem memu bezpośredniemu zwierzchnikowi, naczelnikowi przedsiębiorstwa remontowego, do którego należała narzędziownia. Przyjął obrazek z podziękowaniem, a na drugi dzień, zaraz z rana, szybkim ruchem, tak aby nikt tego nie mógł dostrzec, pracownikom wolnym nie było wolno utrzymywać żadnych kontaktów z więźniami, podał mi przez okienko puszkę wyśmienitej konserwy mięsnej. Amerykańskiej! W okresie wojny i jeszcze długo po jej zakończeniu armia radziecka i zatrudnieni w kluczowych gałęziach przemysłu pracownicy odżywiali się niemal wyłącznie amerykańską "tuszonką".

Zachęcony tak wspaniałym początkiem zacząłem obrazki rozdawać innym: mastrom, brygadzistom, pracownikom "wolnonajomnym", którzy odwzajemniali mi się, oczywiście w ścisłej tajemnicy, podrzucając do narzędziowni różne zawiniątka, w których znajdowałem zawsze coś do zjedzenia. Mimo nakazów i zakazów w duszach tych Rosjan nie zabito jeszcze resztek człowieczeństwa.

W tym czasie zadzierzgnąłem bliższe kontakty, które wkrótce przekształciły się w prawdziwą przyjaźń z wysoce wartościowym i szlechetnym człowiekiem. Był nim wysoki o uduchowionej twarzy

baptysta, przodownik remontowej brygady ślusarzy, który codziennie odbierał u mnie narzędzia. Przez długie lata był rybakiem i trudnił się połowem ryb na morzach dalekiej Północy. Z czasem, gdy mu przybyło lat, zapragnął pracy spokojniejszej, wytchnienia po trudach rybackiego życia, rzucił więc morza osiadł w Norylsku, jął się ślusarki i rozpoczął pracę w hucie kobaltu. Tam poznaliśmy się. Kiedyś ofiarowałem mu również obrazek z kwiatami i tak zaczęła się nasza bliższa znajomość, a potem i przyjaźń. Przyniósł mi torebkę samosieja, owej grubo rżniętej machorki z łodyg tytoniowych, prawdopodobnie, jak wskazywała na to nazwa, z dziko gdzieś rosnącego tytoniu czy też hodowanego przez kołchoźników na własny użytek. Machorka ta cieszyła się wśród więźniów palaczy ogromnym powodzeniem. Handlowano nią w obozie przyjmując za miarkę pudełko od zapałek. Wobec panujących w obozie trudności w zaopatrywaniu się w tytoń namiętni palacze oddawali wszystko, często nawet ostatnią pajdkę chleba, byle tylko zdobyć bodaj szczyptę upragnionego narkotyku, bez którego nie mogli żyć. Wiedział dobrze o tym mój przyjaciel baptysta. Wręczając mi woreczek z machorką powiedział, że jeśli będę mądry i obrotny to sobie za pomocą tej machorki ułatwię życie. Tak się też stało. Zacząłem handlować samosiejem. Teraz chleba przeważnie miałem pod dostatkiem, a często oprócz chleba trafiało się coś więcej. Większość machorki sprzedawało się za pieniądze. Dostawcą tak chodliwego towaru, znów naturalnie w wiejskiej tajemnicy, stał się mój sympatyczny baptysta. Zdobywał machorkę gdzieś w potajemnym handlu, przynosił i odstępował mi po cenach rynkowych.

Z porcji, jakie mój przyjaciel przynosił, wychodziła

zawsze określona ilość porcji "detalicznych", tj. pudełek zapałczanych. Aby ilość tych porcji nieco zwiększyć i tym samym zwiększyć i swoje dochody, wpadłem na wysoce nieuczciwy (czego to się w handlu nie robi) - pomysł. Przyniesiony mi przez baptystę woreczek z dobrze wysuszoną machorką okręcałem na noc witgotną szmatką. Machorka nasiąkała wilgocią, pęczniała, a tym samym robiło się jakkolwiek osiągane drogą niezbyt uczciwą.

Baptystów pracowało w zakładzie kilku. W odróżnieniu od reszty pracowników, ogólnie nie stojących na odpowiednim poziomie etycznym, cechowała ich wysoka moralność, poczucie godności, uczynność i miłość bliźniego. Z ust ich nie słyszało się wyzwisk i plugawych wyrazów, którymi tak hojnie szafowali wszyscy. Nie zżywali się z rozkrzyczanym i bezmyślnym otoczeniem, cisi i spokojni obcowali raczej ze sobą, nie ukrywając się ze swoją wiarą, przekonaniami i przywiązaniem do tradycji i obyczajów. Oprócz mego przyjaciela ślusarza poznałem jeszcze innego baptystę, zakładowego introligatora, który swoją pracownię miał w niewielkiej izbie położonej niedaleko mojej narzędziowni, często więc w chwilach wolniejszych na zmianach popołudniowych zachodziłem do niego na długie dyskusje, w których starał się uzasadniać i przedstawiać mi zasady swego wyznania. Do dzisiaj mam sporządzony przez baptystę-introligatora kieszonkowy modlitewnik z wpisanym doń ręcznie w języku rosyjskim pacierzem i innymi modlitwami. Dzięki baptyście-introligatorowi do rąk moich trafił wreszcie porządny brulion z białego papieru, który introligator zrobił specjalnie dla mnie dowiedziawszy się, że piszę wiersze, i widząc, że klecę u niego w pracowni niezgrabne zeszyciki z grubego papieru po opakowaniach. Kartki ofiarowanego mi brulionu rychło zapełniać poczęły się tym, co nasuwały mi wciąż

niespokojne myśli, własnymi uwagami i spostrzeżeniami, wierszami, cytatami przeczytanych w Norylsku dzieł.

W mojej narzędziowni trochę również majstrowałem. Porobiłem sobie różne metalowe drobiazgi niezbędne w obozowym życiu. Jak dotychczas nie miałem jeszcze porządnej łyżki, jadając jakimś łyżkami drewnianymi bądź też pożyczanymi. Postanowiłem więc zrobić sobie porzędną własną łyżkę. Z kawałka niklowej blachy mój przyjaciel ślusarz wyciął mi odpowiednią matrycę, którą ja cierpliwie, całymi nieraz nocami, wyklepywałem, aż wreszcie powstała znośna łyżka, która służyła mi do końca pobytu ~~życia~~ w obozie.

W tym czasie poznałem w obozie popa zatrudnionego w służbie sanitarnej obozu, który z jakichś względów cieszył się przywilejem noszenia brody. Jak szeptano wokoło, na przywilej noszenia brody "batiuszka" zasłużył sobie u kierownictwa obozu wysługując się jako konfident, przy tym jednak potrafił robić więźniom wiele dobrego. Przede wszystkim jego względami cieszyli się młodzi chłopcy. Niejednemu z nich dopomógł w ciężkiej sytuacji, niejednego urządził w dobrej pracy, niejednego całymi tygodniami przetrzymywał na izbie chorych, niejednego zbiedzonego i wygłodzonego dokarmił i doprowadził do właściwej formy. A że korzystał przy tym z ponęt ciała tych młodych ludzi, nie było w tym nic specjalnie zdrożnego, a w warunkach życia obozowego uchodziło to za rzecz normalną, jakkolwiek praktykowaną w tajemnicy.

Nieraz udawałem się do "batiuszki" z prośbą o jakieś medykamenty, szczególnie po witaminę C, która była cennym i ogromnie w obozie poszukiwanym lekiem.

Pewnego razu wieczorem wpadł do mego baraku "batiuszka"

z wiadomością, że w transporcie, który właśnie do obozu przybył znajduje się ksiądz katolicki ze Lwowa - Kwiatkowski, radząc mi żebym się natychmiast nim zainteresował. Byłem już wówczas z obozowym życiem mocno otrzaskany, miałem pewne znajomości, wpływy i kontakty, mogłem więc istotnie coś przybyłemu pomóc. Natychmiast udałem się do baraku, w którym chwilowo nowo przybyły transport więźniów umieszczono. Barak formalnie "pękał w szwach". Stłoczeni w nim więźniowie siedzieli po kilku na pryczach, na swoich tobołkach bądź też po prostu na podłodze. Wszedłem do baraku i zawołałem.

- Kwiatkowskij ze Lwowa gdzieś jest?

- Jest', jest' - usłyszałem w odpowiedzi, po czym spod jednej z prycz wyczołgał się wysoki mężczyzna o bardzo zbiedzonej, bladej twarzy.

- Wy Kwiatkowskij?- zapytałem po rosyjsku.

- Da, ja Kwiatkowskij - usłyszałem w odpowiedzi.

- Pan jest księdzem katolickim ze Lwowa? - zapytałem już po polsku.

- Tak, jestem księdzem ze Lwowa.

- Proszę być dobrej myśli, postaram się księdza jakoś możliwie w obozie urządzić. Proszę czekać cierpliwie.

Następnego dnia poruszyłem wszystkie dostępne mi sprężyny, przeprowadziłem odpowiednie rozmowy poparte argumentami w postaci pudełek samosieja, w rezultacie ksiądz Kwiatkowski, jak mi później oznajmił, z parafii św. Antoniego ze Lwowa został zatrudniony na doskonałej pracy w laboratorium Dwadcat' Piatowo Zawoda - czyli hucie kobaltu, w której i ja pracowałem.

Praca była dobra i lekka. Zadaniem księdza Kwiatkowskiego było przygotowywanie prostszych roztworów, napełnianie naczyń

w salach laboratoryjnych w używane tam płyny, przynoszenie ze składu chemikaliów i w ogóle wykonywanie wszelkich laboratoryjnych prac pomocniczych. Ksiądz Kwiatkowski rychło się zadomowił z pracą oswoił się, a dzięki swej kulturze i dobrym manierom zyskał sobie powszechny szacunek.

Wkrótce ksiądz Kwiatkowski zaczął ze Lwowa, od swoich parafian, otrzymywać paczki. W paczkach tych znajdowało się to, na czym adresatowi ogromnie zależało i o co prawdopodobnie w listach prosił. W okładkach "ideowych" książek, które z pełnym uznaniem adresatowi wręczano, wklejane były opłatki, w workeczkach zaś znajdowały się suszone winogrona, ogromnie pożądane w warunkach "zapolaria" ze względu na zawartą w nich witaminę C.

Z winogron tych ksiądz Kwiatkowski troskliwie wyciskał jakieś śladowe resztki soku i miał już wszystko, co w obrządku katolickim potrzebne jest do odprawiania Mszy św. Teraz więzień zabrał się do spełniania swoich kapłańskich obowiązków. W rozlewni kwasów to jest w pokoju, w którym pracował, na jednym ze stołów przy ścianie urządził ołtarz. Sam przygotował świece, poumieszczał je w laboratoryjnych cylinderkach, sklecił krzyż i rozpoczął odprawianie Świętej Ofiary. Były to z pewnością pierwsze Msze św. odprawiane przez katolickiego kapłana na tych szerokościach geograficznych. Wyglądały prawie jak msze katakumbowe z okresu pierwszych wieków chrześcijaństwa, z tym że katakumby zastąpił tu pokój laboratoryjny mieszczący się w wielkim, nowoczesnym zakładzie przemysłowym. Może kiedyś historyk Kościoła przeczyta te słowa i zaczerpnie z nich materiału do opisania jego najnowszej historii.

Do modłów księdza Kwiatkowskiego pracownicy laboratorium rychło się przyzwyczaili i odnosili się do nich z wielkim sza-

cunkiem i powagą. W laboratorium zatrudnione były przeważnie młode dziewczęta, komsomołki, i żadna z nich katolickiego kapłana nie wydała. Przeciwnie, starały się go osłaniać w jego praktykach nie przeszkadzać. Jeżeli pokój księdza Kwiatkowskiego był zamknięty od wewnątrz wiedziały, że trwają modły, wówczas żadna z nich, nawet w pilnym wypadku, nie dobijała się do pokoju, a nawet jedna drugą przestrzegała, by tego nie robiły, bo "Kwiatkowskij molit sia". Nie pamiętam, czy w roku 1947 czy też 1948 na Wielkanoc, jako jedyny wierny byłem na rezurekcji odprawianej w laboratorium przez księdza Kwiatkowskiego.

Przy tym wszystkim ów kapłan ze Lwowa w gorliwości swojej był wielkim fantastą. Zorientowawszy się, jak dużo jest w Norylsku więźniów katolików, wpadł na pomysł wybudowania dla nich kościoła. W długich dyskusjach przekonywał mnie, że jest to możliwe. Skierował wreszcie odpowiednie podanie do właściwego urzędu, na które nigdy naturalnie nie otrzymał odpowiedzi. W przeciwieństwie do sanitariusza - popa bardzo gorszył się przyjaźniami z młodymi chłopcami. Dawał temu wyraz w czytanych mi, nieco naiwnych, wierszach, którym rzeczywistość obozowa przeczyła. Nie wszyscy młodzi w obozie chcieli i mogli zostać męczennikami.

Tak mijały krótkie dwumiesięczne północne lata i tak przechodziły potworne zapolarne zimy. Wreszcie dostałem walonki, co prawda zbyt wielkie, takie, że można było do nich z górnej pryczy wprost skoczyć. Było mi więc teraz ciepło. Okręcałem nogi szmatami i tak w największe nawet mrozy wychodziłem do pracy nie lękając się zimna. Tych, którzy pracowali w przedsiębiorstwach, w ciepłych pomieszczeniach, największy nawet mróz od obowiązku wychodzenia do pracy nie zwalniał. W walonkach, w watowanych buszłatach, w uszankach, okutani nieraz aż po nosy,

przemierzaliśmy codziennie drogę z naszego obozu do miejsca pracy. Najstraszniejsze były "purgi" - potworne zapolarne zamiecie śnieżne, huragany zwalające ludzi z nóg, zapierające dech w piersiach. Siła wiatru dochodziła do czterdziestu metrów na sekundę. Niosły się wówczas tumany drobnego, kłującego jak ostre, żelazne opiłki, suchego śniegu, tworzyły się potężne śnieżne zaspy, przez które było trudno przebrnąć. By się nie pogubić, by nie dać się wichrom zepchnąć z drogi, ludzie szli niemal na ślepo, z pochylonymi nisko głowami, trzymając się wyciągniętej linki, która zaczynała się od pierwszego z idących, a kończyła na ostatnim.

W pogodne, wolne od "purgi" noce obserwowaliśmy zorze polarne, które pojawiały się zwykle w lutym. Dziwnie urzekające piękno tego wspaniałego zjawiska przyrody trudno da się opisać. Wywiera ona głębokie i niezapomniane wrażenie, szczególnie na człowieku oglądającym je po raz pierwszy. To świecenie gazów unoszących się w górnych warstwach atmosfery ziemskiej występuje niemal wyłącznie w obszarach polarnych. Zorze polarne z dawien dawna przyciągały uwagę człowieka, jednakże do tej pory nie zdołano całkowicie rozwiązać ich zagadki. Na ciemnofioletowym tle nieba pojawiają się nagle mgliste białe bądź też błękitnawe obłoki, które rozwichrzone niby grzywy potężnych rumaków z ksiąg Apokalipsy drgają, przewalają się po firmamencie, układają się to w rozbujałe fale, to w fantastyczne draperie, w drgające spirale, to znów w promieniste pasma. Mimo trzaskającego mrozu, ostrymi igłami kłującego w policzki, staliśmy nieraz całymi godzinami na dworze, z uniesionymi ku niebu głowami, obserwując owe przedziwne i piękne zjawisko.

I tak przemijała powoli jedna z tak wielu spędzonych w Norylsku zim. Z końcem lutego przestały na niebie ukazywać się zorze, za to wzmagały się potworne "purgi". Dojście do pracy i z pracy do obozu wymagało nadzwyczajnego wysiłku, borykania się z wiatrem i śnieżycą. Nieraz musiałem się niemal czołgać do ustępu. Kiedyś wracając upadłem przed barakiem i chyba bym skostniał, gdyby mnie inny więzień, który również wyszedł, nie zaciągnął do baraku i nie ułożył na pryczy.

W walce ze szkorbutem więźniom wydawano witaminę C w postaci żółtego proszku o słodkawym smaku - mączki z owoców dzikiej róży. Niewiele to jednak pomagało, mączka ta bowiem docierała do więźniów w znikomych ilościach. Przydziały jej dzielili między sobą w pierwszym rzędzie "pridurki", obdzielała się nią wszelkiego rodzaju "szpana", starali się jak najwięcej zachować jej dla siebie dyżurni w barakach.

Powoli wyleczyłem się ze szkorbutu. Stało się to dzięki pomocy uczynnego duchownego prawosławnego, który jako zatrudniony w obozowej lecznicy, z mączki tej mógł korzystać bez ograniczeń. Zaopatrywał też w nią teraz obficie tak mnie, jak i księdza Kwiatkowskiego. "Quantum satis, quantum satis" - powtarzał z uśmiechem popisując się znajomością łaciny, gdy przychodziliśmy do niego prosząc o zbawczy lek przeciwko szkorbutowi.

Od czasu do czasu przeprowadzono wśród więźniów w barakach rewizję, szmon w gwarze obozowej. W trakcie rewizji odbierano więźniom wszystko, co zdaniem przeprowadzających rewizję strażników nie powinno do nich należeć. Przede wszystkim szukano noży, które więźniowie majstrowali do własnego użytku, żadnych bowiem ostrych narzędzi w obozie nie wolno było posiadać. Odbierano również książki, które według opinii rewidujących nie powinny

docierać do rąk więźniów, gdyż mogły zawierać myśli czy sądy niezgodne z duchem komunizmu. W czasie jednej z takich rewizji zabrano mi tom poezji mego ulubionego poety Lermontowa, który pożyczył mi mój przyjaciel baptysta. Książkę tę z trudem udało mi się później, za pośrednictwem KWCz /Kulturalno-Wospitatielnoj Czasti/, Wydziału Kulturalno-Oświatowego, odzyskać.

W jednym z okazalszych baraków, położonym na skraju obozowej "zony", znajdowała się San-czast', wydział sanitarny obozu, w którym urzędował lekarz i znajdowała się Izba Chorych. Do Izby tej zwykłemu więźniowi niełatwo było się dostać. Trafiali tam przede wszystkim wszelkiego rodzaju "pridurki, "błatnyje" i inni obozowi cwaniacy, przeważnie Rosjanie, mający w obozie "chody", szerokie stosunki, a co za tym idzie i możliwości odpowiedniego zadekowania się i wyrobienia sobie kilku dni odpoczynku w Izbie Chorych. Bez "chodów" i protekcji trafiali do izby skończone "dochodiagi", więźniowie, wyniszczeni obozowym reżimem, przeważnie ludzie starsi, którym brak witaminy C szczególnie dawał się we znaki. Niby cienie zjawiali się oni w San-czasti, obnażali zapadnięte pośladki, na których dołek powstały po naciśnięciu pozostawał, a mięsień pośladka nie wracał do właściwej formy. Było to nieomylnym znakiem braku w organiźmie witaminy C i skrajnego wyczerpania. Takich pozostawiano w Izbie Chorych, a ich kuracja polegała na podawaniu im leków zawierających zbawczą witaminę. Lekiem tym przeważnie była wspomniana już mączka z owocu dzikiej róży.

W gabinecie lekarskim San-czasti od czasu do czasu urzędował prawdziwy lekarz odsiadujący w obozie wyrok. W okresie, w którym ja tam przybyłem, obowiązki lekarskie pełnił doktor Kowalski, zruszczony Polak, z którym przeprowadzałem nieraz dłuższe rozmowy. Rychło jednak doktor Kowalski przeniesiony

został do innego obozu, a w naszym gabinecie lekarskim urzędował felczer Żyd. nucący wiecznie pod nosem jakąś melodię. Felczer ów miał niezwykle uproszczony sposób badania chorych. Zaledwie pacjent otworzył drzwi gabinetu, rzucał na niego krótkie spojrzenie i bez słowa, wciąż nucąc coś pod nosem, wydawał mu kilka ze znajdujących się na stole tabletek i na tym kończyło się badanie chorego.

Kiedyś i mnie wypadło z porady owego"lekarza" skorzystać. Wieczorem poczułem się źle. Rano z silną gorączką ledwo dowlokłem się do San-czasti. Żyd felczer swoim zwyczajem spojrzał na mnie wydał mi kilka tabletek i kazał iść do roboty. Wyszedłem na korytarz i półżywy osunąłem się na ławkę nie mając siły iść dalej. Na szczęście zauważył to kierownik Izby Chorych, sympatyczny sanitariusz Rosjanin, który z miejsca mną się zaopiekował, pozwolił przeleć dzień w Izbie Chorych i dał mi skuteczne leki. Gorączka ustąpiła, poczułem się lepiej i po dniu spędzonym w Izbie udałem się nazajutrz do roboty nie zapadając na żadną poważniejszą chorobę.

Ogólnie stwierdzić należy, że więźniowie w łagrze chorowali raczej rzadko. Bardzo nieliczne były wypadki przeziębienia. Powodujący przeziębienie wirus w niskiej temperaturze Północy niemal że się nie rozwijał. Częstsze i tak wśród więźniów jak i wolnych mieszkańców Norylska były choroby serca.

Bywalcy obozowi, "szpana" i "błatnyje", pod względem zdrowotnym czuli się przeważnie dobrze i najlepiej znosili warunki życia obozowego. Monotonię życia próbowali umilać i urozmaicać sobie na różne sposoby. Jednym z takich sposobów było narkotyzowanie się. Im tylko wiadomymi drogami zdobywali jakiś narkotyk, na który mówili haszysz. Odrobinę tego "haszyszu" dodawali do machorki. Po wypaleniu takiego papierosa wpadali

w oszałomnienie. Śmiali się i wariowali. Próbowano wykryć pochodzenie tego "narkotyku", lecz bezskutecznie. Wielu z tych amatorów narkotyzowania się trafiało potem do BUR-u obozowego karceru. Niewiele to jednak pomagało i takich, którzy się narkotyzowali, nigdy w obozie nie brakowało.

Znów minął luty, przestały się ukazywać zorze polarne, monotonia łagiernego życia przygnębiała. Z utęsknieniem wyczekiwano lata, do którego jeszcze, niestety, tak było daleko. Tylko wałęsające się po barakach koty stawały się niespokojne, chrapliwym miauczeniem przywołując towarzyszy. Znudzeni łagiernicy próbowali im to ułatwiać szukając rozrywki w kocich weselach. Wyszukiwano po barakach kocich amantów, przynoszono ich do grzejących się przy piecach, dyszących żądzą zaślubin kotek, rozsiadano się na podłodze dokoła i obserwowano kocie amory. W ekstazę radości wpadano, gdy dochodziło do spełnienia. Potem kot, który swój obowiązek wypełnił, wędrował na gościnne występy do innego baraku.

Powoli wszakże dziesięciomiesięczna zima, któraś tam z kolei w okresie mego pobytu w Norylskim łagrze, zbliżała się ku końcowi. Skończyła się trwająca bez przerwy noc polarna, poczęło ukazywać się słońce. Minął ponad dwumiesięczny okres normalnych zmian dni i nocy i przyszły pełne niewysłowionego uroku i czaru polarne białe noce. Słoneczne białe noce... Człowiek przebywa jakby w zaczarowanym królestwie bajki. Olbrzymia kula kapiącego złotem słońca przetacza się po widnokręgu, niezachodząca i nieutrudzona. Nie wzbija się łukiem do góry, ale kołem olbrzymim opasuje widnokrąg tocząc się niemal po ziemi.

Przeżywałem te białe, słoneczne noce zaprzyjaźniony teraz serdecznie z owym sanitariuszem z Izby Chorych, kulturalnym,

subtelnym, Rosjaninem. Długie godziny takich polarnych nocy spędziłem siedząc z nim na werandzie baraku San-czasti. Zapatrzeni w złocistą kulę toczącego się nisko słońca siedzieliśmy milcząc urzeczeni tym pięknem, bądź też prowadząc ciekawe, serdeczne rozmowy, pełne wzajemnych wynurzeń, zaufania, umiłowania piękna i zrozumienia prawdy. Co w tym człowieku o szlachetnej duszy było złego, że odbywał karę? Jakie popełnił przestępstwo, że skazany został na dziesięć lat karnego obozu pracy? W pierwszych latach wojny Niemcy dokonując nalotów na tereny, na których mieszkał, zrzucali z samolotów ulotki agitacyjne. Zaciekawiony, jedną z takich ulotek podniósł, aby ją przeczytać. Zauważył to sąsiad półanalfabeta. W służalczym przypochlebstwie doniósł o tym władzom. Inteligent został aresztowany i za czytanie niemieckiej ulotki skazany na dziesięć lat łagru. Teraz pracując jako sanitariusz w Izbie Chorych czynił wokół siebie takie dobro, na jakie pozwalały warunki obozowe i jakie w tych warunkach stawało się konieczne. Jak mógł pomagał chorym więźniom, tym, którzy nie mając żadnych powiązań w obozie nie mogli liczyć na niczyją pomoc. Teraz poczciwy sanitariusz, jak mógł, tak ratował. Temu wystarał się o jakieś, skądinąd niedostępne, leki, owego przetrzymywał w Izbie Chorych, innego dzięki swym kontaktom urządził w lżejszej pracy, tamtemu znów zapewnił otrzymywanie z kuchni dodatkowego, bardziej wartościowego pożywienia.

Z uczynności sanitariusza i ja kilkakrotnie skorzystałem. W odległości kilku kilometrów od naszego obozu, na dalekich przedmieściach Norylska, już gdzieś na nad Jenisjejem, w piętrowym, obszernym, drewnianym budynku znajdował się szpital, a przy nim gabinety lekarzy różnych specjalności. Do lekarzy tych kierowano poważniej chorych więźniów, których dolegliwości

obozowi dyletanci nie mogli rozpoznać. Kilku takich chorych wychodziło zwykle z rana pod opieką konwojenta zabierając ze sobą nieco jedzenia, a powracało pod koniec dnia. Tak na tej, pewnego rodzaju formie odpoczynku, dzień roboczy im upływał. Kiedyś, gdy uskarżałem się na przemęczenie i jakieś dolegliwości, uczynny kierownik Izby Chorych zaproponował mi, jako wytchnienie, przechadzkę do szpitala. Skorzystałem z tego skwapliwie i rzeczywiście miałem dzień pełen wrażeń. Przyjemna i dla zdrowia korzystna przechadzka, bezkresne, pełne smętnego uroku widoku tundry i daleki Jenisiej doskonale widoczny ze wzniesienia, na którym szpital znajdował się. Ogromnie mi się ta przechadzka podobała. Później powtarzałem ją jeszcze kilkakrotnie bez potrzeby udawania się do lekarza, o tak, po prostu dla przyjemności i wypoczynku.

Tymczasem znów przyszła zima, a po niej znów lato. Zniknęły śniegi i słońce niestrudzenie świeciło przez całą dobę niecąc i w duszach radośniejsze promienie i budząc dalekie, nieśmiałe nadzieje. W chwilach wolnych po pracy wylegaliśmy na drogi obozowe, odbywając przechadzki, szukając znajomych bądź też zawierając nowe znajomości. Znajomości tych zawarłem wiele. Spotykałem Litwinów z Wilna i Kowna, sympatycznych Wołyniaków ze stron mego dzieciństwa, Białorusinów z Grodna, Nowogródka i Lidy. Wreszcie wielu Polaków, szczególnie z naszych ziem wschodnich, byłych żołnierzy, osadników, policjantów i partyzantów. Dziś już nie pamiętam ich nazwisk. Z wieloma prowadziłem długie rozmowy, których treść stanowił kraj, nasza przeszłość, zagadnienia przyszłości, sprawy obozowe. Twarda rzeczywistość, w jakiej znajdowaliśmy się nie pozwalała na wiele refleksji. Niemniej jednak w tych warunkach znalazło się nieco polskiej

fantazji i donkiszoterii. Jeden z więźniów Polaków, były wojskowy, podobno oficer, przekonywał mnie, że możliwe jest zorganizowanie w Norylsku polskiego powstania. Agitował nawet za utworzeniem tam polskiego legionu zbrojnego."Uderzymy na tyły wroga!" - wołał z emfazą w chwilach wzbierającego w nim bohaterstwa. Staraliśmy się wykazywać mu całą absurdalność tego rodzaju hrzonek i radziliśmy powściągliwość w takich rozmowach, które mogły mieć dla niego fatalne następstwa. Wkrótce fantasta zniknął nam z oczu. Przeniesiono go podobno do jakiegoś innego obozu.

Jednym z poznanych przeze mnie wówczas rodaków był rzekomy ksiądz ze Śląska - Październiak. Mówię "rzekomy", ponieważ jego zachowanie nie zawsze świadczyło o godności kapłańskiej. W przeciwieństwie do głęboko uduchowionego księdza Kwiatkowskiego, rzekomy ksiądz Październiak wykazywał wiele sprytu życiowego dostosowując się do warunków i otoczenia. Zatrudniony przy cięższych pracach na budowach nie pozwalał, by górowała nad nim różnego rodzaju "szpana" i hołota, klął jak prawdziwy ruski aresztant, przy czym, należy to przyznać, soczyste rosyjskie przekleństwa, szczególnie te tyczące matki, brzmiały w jego ustach zupełnie poprawnie, mimo że jako Ślązak nie znał języka rosyjskiego. I z nim prowadziłem długie rozmowy. Opowiadał mi o stosunkach śląskich, o budowie katedry w Katowicach, o przeżyciach według mnie mętnych i nie zawsze zrozumiałych. Inni Ślązacy, których pytałem, czy więzień Październiak istotnie jest księdzem katolickim, wzruszali tylko ramionami, listy jednakże, jakie później od Październiaka otrzymywałem, gdy został przeniesiony w inny koniec obozu, zdawały się potwierdzać jego kapłaństwo.

Z duchownych katolickich, których udało mi się poznać w obozie był jeszcze ksiądz Andrzej Gładyszewski z Wołynia. Ten, jak go dziś jeszcze pamiętam, jawi mi się w chwalebnej glorii męczeństwa. Widziałem go zaledwie parę razy. Pracował gdzieś na budowie przy wyjątkowo ciężkich pracach, na które zwykle słano duchownych katolickich. Wśród licznych więźniów katolików, przede wszystkim Polaków, a dalej Litwinów i Łotyszów, uprawiał działalność misjonarską, słuchając spowiedzi, organizując wspólne modły i udzielając pociechy religijnej. Naturalnie doniesiono o tym władzom obozowym. Ksiądz Gładyszewski został zabrany z obozu i ślad po nim zaginął.

Krąg mych znajomych, więźniów Polaków, poszerzał się. Darzono mnie zaufaniem. Pryczę moją i kąt, w której ona stała, nazwano polską ambasadą, nie było bowiem wieczoru wolnego po pracy, by nie gromadziło się tam kilku bodaj rodaków, omawiając przeróżne, nas dotyczące, sprawy obozowe. Donoszono mi wszelkie najnowsze wiadomości, zasięgano moich porad, słuchano recytacji mojej rodzącej się w obozie poezji. Najmilej widziałem u siebie naszych leśnych chłopców, z których wielu poczęło mnie odwiedzać wpadając bodaj na minutkę nawet z najdalszych krańców obozu. Ich odwiedziny były dla mnie najradośniejsze.

Latem, każdego niemal wieczoru, odbywały się przed barakiem "prowierki", kontrolne apele. Na wezwanie "dniowalnego": "Stanowis'na prowierku" /Stawaj do apelu/, trzeba było rzucić wszystko, szybko wybiec z baraku i stanąć przed nim w równym szeregu. Po chwili zjawiał się przydzielony do nas opiekun, strażnik-enkawudzista, niski, krępy Tatar o zawsze uśmiechniętej twarzy. Każdy z mieszkańców baraku musiał kolejno odkrzyknąć

swój numer, po czym Tatar zaczynał zwykle popisywać się przed nami swoją kulturą. Raz przyniósł cienkie rękawiczki i pokazywał, jak to on nawet latem nakłada je na ręce i nosi, dlatego, że to jest "oczeń jeliegantno". Innym razem wyjął z kieszeni szczoteczkę do zębów i z dumą demonstrował nam, jak to on jej używa. W nabożnym skupieniu i z ogromną uwagą przyjmowaliśmy te kulturalno-cywilizacyjne pouczenia enkawudzisty Tatara, my "dzicz z Zachodu".

Jeżeli w zimie przy zbyt niskich temperaturach nie wypędzono nad do pracy przy budowach, to za to w lecie usiłowano to sobie powetować. Każdej niemal niedzieli, która była dniem wolnym od pracy, pędzono nas na wszelkiego rodzaju roboty na terenie rozległego kombinatu. W ten sposób traciliśmy jedyny dzień w tygodniu, w którym mogliśmy wypocząć. Przeprowadzano również różnego rodzaju prace, szczególnie porządkowe, na terenie samego obozu. W tym czasie rozpoczęto w łagrze budowę kina. Był to wielki halowy budynek o przesadnie stylowym frontonie z klasycznymi kolumnami, w których tak Rosjanie lubowali się. Aby budynek mógł być ciepły i możliwy do użytkowania w okresie surowej zimy, ściany ogromnej hali budowano podwójnie. Niemal metrową przestrzeń między ścianą wewnętrzną a zewnętrzną wypełniano szlaką przywożoną do obozu z przedsiębiorstw hutniczych. Noszenie tej szlaki w nosiłkach na znaczną wysokość było ogromnie męczące i uciążliwe, a pędzono więźniów do tej roboty nie tylko w wolne niedziele, ale też w dnie powszednie po godzinach normalnej pracy w przedsiębiorstwach w kombinacie. Więźniowie radzili więc sobie, jak mogli. Gdy tylko doglądający robót brygadzista lub strażnik nieco się oddalali, pomysłowi więźniowie ładowali szybko na nosiłki walające się na budowie kloce, bale i grube deski, zwalali to między ściany, przysypując z wierzchu szlaką.

W ten sposób praca szybko postępowała naprzód; przestrzeń między ścianami została wypełniona, a mozolne dźwiganie szlaki zbyteczne. Wątpić jednak należało, czy przy tak uszczelnionych ścianach w nowym kinie mogło być ciepło w czasie zimy, ale czy więźniów bolała o to głowa?

Prawdę mówiąc to kino wybudowaliśmy na swoją zgryzotę. Teraz zaczęto nas gwałtownie ukulturniać i dbać o nasze rozrywki. Bez przerwy więc wyświetlano w nowym kinie filmy, na które obowiązkowo nas ganiano. Ponieważ obóz był ogromny, a sala kina miała niewiele miejsc, seanse "szły" we dnie i w nocy. Nic, jeżeli pędzono nas do kina w dzień po pracy, gorzej, gdy nocą, kiedy udręczeni pracą więźniowie pogrążeni w śnie odpoczywali, nagle w baraku zarządzano pobudkę i rozlegał się okrzyk dyżrnego strażnika: "Podnimajsia w kino!" Wówczas trzeba było zrywać się ze snu, szybko ubierać się, stawać przed barakiem w szeregu i maszerować do kina. Co prawda na tych nocnych seansach w kinie to się przeważnie spało, ale w KWC odnotowywano kolejną pozycję i plan wypełniano. Na tych seansach w kinie norylskiego łagru obejrzałem również i polski film "Czarci Żleb", który wywarł na mnie wielce korzystne wrażenie. Obraz dalekiej ojczyzny, czar ojczystych gór, piękno góralskiego ludu, brawura polskiego żołnierza oto, co w filmie tym zobaczyłem.

W tym czasie zawarłem znajomość z wysoce wartościowym i kulturalnym więźniem. Był nim ksiądz Figol ze Lwowa, kapłan obrządku greckokatolickiego. Jak opowiadali mi więźniowie lwowiacy, ksiądz ten był we Lwowie wysoko ceniony w greckokatolickiej hierarchii i czekały go tam duchowne awanse. To też stało się powodem jego aresztowania i zesłania do łagru na daleką Północ.

Ksiądz Figol, wysoki, postawny mężczyzna, zatrudniony był

w modelarni jako pomocnik stolarski. Zaprzyjaźniliśmy się rychło. często długie godziny spędzając na rozmowach i żarliwych dyskusjach.

Kiedyś w czasie pracy w przedsiębiorstwie zwrócił się do mnie dyskretnie, tak, by się to nie rzucało w oczy, pilnujący grupy więźniów "striełok" enkawudzista. Zapytał mnie, czy jestem Polakiem. Otrzymawszy ode mnie odpowiedź potwierdzającą począł mi się zwierzać:

- Jestem również Polakiem z Grodna - mówił. - Rosjanie po zajęciu tamtych terenów poczęli masowo aresztowywać i wywozić Polaków, młodszych wcielali do wojska. Mój ojciec i starszy brat zostali również aresztowani. Dziś siedzą gdzieś w jakimś obozie, nawet nie wiem gdzie. Po wywiezieniu nie dali nawet znać o sobie. Dziś ktoś inny tam ich pilnuje, tak jak ja was tutaj. Po wywiezieniu ojca i brata mnie wcielono do wojska. Sam nie wiem, jak to się stało, że trafiłem do wojska NKWD. Dziś jestem enkawudzistą, pilnuję więźniów, częstokroć moich rodaków, nie mam ojczyzny, nie mam domu, nie mam rodziny... I po co ja właściwie żyję? Co ze mnie zrobiono? Jakiej ja sprawie służę?

Popatrzał na mnie smutnie i poszedł za grupą więźniów, która przechodziła na inny odcinek pracy, rad z tego, że go nikt rozmawiającego ze mną nie zauważył, wszelkie bowiem kontakty strażników z więźniami były surowo zakazane. Później jeszcze spotkałem go kilkakrotnie. Zawsze uśmiechał się do mnie nieznacznie z daleka. Wymienialiśmy spojrzenia. Dwaj synowie udręczonego narodu, rzuceni na poniewierkę w najdalszych krańcach świata. Jeden w łachmanach więźnia, drugi jako dozorca, w znienawidzonym, obcym mundurze.

Latem, gdy było ciepło, myliśmy się zwykle na zewnątrz baraków w drewnianych umywalniach, korytkach, które trzeba było

napełniać wodą. Kiedyś zauważyłem myjącego się więźnia, staruszka, któremu napełnienie korytka wodą przychodziło z trudem. Pomogłem mu, a później wdaliśmy się w rozmowę. Okazało się, że był to znany uczony, chemik, profesor Bałandin. Był gdzieś podobno instytut jego imienia. Jako uczony cieszył się wielkim uznaniem, nie ustrzegło go to jednak przed aresztowaniem. Wszechwładne NKWD dogrzebało się, że dziadek jego był za czasów carskich poszukiwaczem złota. To wystarczyło, by zasłużonego uczonego, już prawie u kresu sił, skazać na dziesięć lat łagru i wywieźć na daleką Północ. Czy z niej kiedy powrócił? Gdy go poznałem, miał około.sześćdziesięciu lat. Był ogromnie wyczerpany i wyniszczony. Nieszczęsna ofiara paradoksalnej sowieckiej sprawiedliwości. Przykład tego, jak werbowało się specjalistów i uczonych do pracy w norylskim kombinacie.

Wspomniałem już o obozowych "dochodiagach", w obozach niemieckich zwanych muzułmanami. Ludzi wyniszczał brak odpowiedniego pożywienia, niedostosowanie się do warunków klimatycznych, braki odpowiedniej opieki zdrowotnej, a przede wszystkim brak tak niezbędnej witaminy C. Jakkolwiek "dochodiagów" tych stale w obozie przybywało, byli oni niemal niewidoczni. Co z nimi robiono? W okresie letnim, gdy nawigacja po Jenisjeju była możliwa, co jakiś czas zbierano ich ze wszystkich oddziałów norylskich łagrów, ładowano w Dudince na statki i wywożono. Dokąd nie wiedzieliśmy. Byliśmy wszyscy pewni, że wywożeni są oni na wykończenie, nigdy bowiem nikt z wywiezionych do obozu nie wracał. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że wywożono ich statkami daleko w górę Jenisieja do miejscowości Szuszeńskoje, w której kiedyś przebywał na zesłaniu Lenin, skierowany tam przez rząd carski. W miejscowości tej znajdował się ogromny sowchoz dostarczający do Norylska warzywa i kartofle. Warzywa te pod koniec lata spławiano do Norylska licznymi barkami,

które dzień i noc płynęły w kierunku Dudinki. Do prac przy uprawie i wysyłce warzyw potrzeba było znacznej siły roboczej. Siłę tę stanowili właśnie wysyłani z norylskich łagrów "dochodiagi" - ludzie chorzy i wyniszczeni. Zwykle w okresie uprawy warzyw przebywało ich w suszenskim sowchozie po kilka tysięcy. Wielu z nich, nie wytrzymując warunków, zostawało tam na wieki, wielu powracało, nigdy jednak do tego oddziału obozu, z którego zostali wywiezieni, stąd też nigdy o ich losie nie mogliśmy się dowiedzieć.

Dostarczane z takim trudem z sowchozu w Suszenskoje warzywa niewiele były warte. Zbierane nie w porę zsychały się i więdły, kopane przedwcześnie kartofle rychło psuły się i gniły. Ale nawet takie warzywa ani też kartofle do obozu nigdy niemal nie docierały, przeznaczone one były wyłącznie dla wolnych mieszkańców Norylska.

Kiedyś w polskiej ambasadzie, czyli w kącie baraku na mojej pryczy, gdzie omawialiśmy przeróżne sprawy, a ja rozwodziłem się szeroko o swych zamiłowaniach hellenistycznych, ktoś z przyjaciół powiedział mi, że w obozie znajduje się autentyczny Grek, młody człowiek, który mieszka w jednym z pobliskich baraków. Ojczyzna Homera od lat sztubackich była krainą moich marzeń. Wszystko, co piękne, kojarzyło mi się z Grecją. Czyż oprzeć się mogłem pokusie poznania wreszcie prawdziwego Greka? Poprosiłem więc, aby mnie z nim poznano. Następnego dnia pod wieczór zjawił się w baraku szczupły, śniady, mocno wynędzniały młodzieniec, dopytując się o mnie. Był to ów prawdziwy Grek. Trudno mi było porozumieć się z nim. Mówił słabo po rosyjsku. Nie mogłem dokładnie ustalić, skąd pochodził. W czasie wojny znalazł się gdzieś w zasięgu "sprawiedliwości" radzieckiej. Zebrano go razem z rodzicami. W drodze rozłączono ich. W Norylsku znalazł

się sam, nic nie wiedząc o rodzicach. W rozmowach z nim, gdy przykucnięty u mojej pryczy wpatrywał się we mnie swymi przenikliwymi, czarnymi oczami, starałem się siłą wyobraźni przenosić się gdzieś o całe wieki wstecz i błądzić wśród białych marmurów słonecznej Hellady, po świętych gajach... Apollina. Widziałem wtedy przed sobą nie zabiedzonego więźnia, ale młodzieńca, który na olimpijskich stadionach, w szlachetnych zapasach naprężał młode muskuły. Widziałem go w gimnazjonach Sparty, w szkołach, których mądrością był kult piękna ciała. To znów widziałem go, gdy bosko piękny w swojej nagości, jedynie z wieńcem zielonym na skroni, szedł pijany weselem życia, w radosnym pochodzie boga Dionizosa. Ho antropos - człowiek, dźwięczała mi w uszach harda, z antycznych źródeł piękna płynąca nazwa. Człowiek, twór na obraz i podobieństwo bóstwa stworzony. I ten oto wspaniały i dumny twór siedział teraz przy mojej pryczy odziany w nędzny obozowy łachman, brudny i zaniedbany, ofiara "kultury" XX wieku. Prosiłem chłopca, by mówił po grecku - i tu znów rozczarowanie: greka, jaką słyszałem, jakże bardzo była daleka od tej klasycznej wyuczonej kiedyś w gimnazjum.

Młody Grek przychodził do mnie przez kilka wieczorów. Wspierałem go czym mogłem, najczęściej kawałkiem chleba, ale cóż, sam nie miałem go za wiele. Potem Grek już mnie nie odwiedzał. Może przeniesiono go do innego obozu, a może znalazł lepszych, mających stosunki i wpływy, bardziej ode mnie zasobnych protektorów.

W tym mniej więcej okresie mój przyjaciel Łotysz poznał mnie ze swoim rodakiem, zresztą Polakiem z pochodzenia, kulturalnym więźniem panem Kajetanem Sulkiem, mającym w obozie szerokie stosunki. Pan Kajetan zatrudniony był w którymś z przedsiębiorstw

kombinatu. Dzięki sprytowi i inteligencji, tak się jakoś w pracy urządził, że mógł w niej wykonywać jeszcze swoje roboty, bardzo popłatną "chałturę". Pan Kajetan zajmował się bowiem wyrobem luster. Istotnie wykonywał, zwierciadła doskonałe, które w tamtejszych warunkach cieszyły się ogromnym popytem, w handlu bowiem w owym czasie z przedmiotów użytkowych nic prawie nie było. Wolni więc pracownicy Kombinatu, z którymi pan Kajetan pozostawał w ożywionych kontaktach, chętnie się w jego lustra zaopatrywali płacąc dobrze, a sprytny ich wykonawca skrzętnie ciułał grosz do grosza, termin bowiem jego obozowej kary zbliżał się ku końcowi, zebranie więc odpowiednich zasobów na urządzenie się na wolności było sprawą bardzo ważną.

Mój nowy protektor dowiedziawszy się, że kiedyś pracowałem jako laborant, obiecał urządzić mnie w podobnej pracy w którymś z laboratoriów kombinatu. Słowa dotrzymał. Mając wszędzie w łagrze stosunki, załatwił moją sprawę w Płanowo Proizwoditielnij Czasti, kierownictwie robót w obozie dokąd mnie wezwano wkrótce, oświadczając, że przeniesiony zostaję do zakładów mechanicznych położonych w oddalonej części wielkiego kombinatu, gdzie zostanę zatrudniony w charakterze laboranta w tamtejszych laboratoriach. Ponieważ nowe warunki mojej pracy tego wymagały została mi wydana odpowiednia przepustka upoważniająca do indywidualnego wychodzenia z obozu i powrotu do niego o każdej porze. Przepustki takie wydawane były w specjalnie uzasadnionych przypadkach, tylko nielicznym, pewnym i naprawdę na to zasługującym więźniom. Naturalnie wydanie mi przepustki było owocem skutecznym, jak zawsze, zabiegów pana Kajetana. Teraz nie byłem już skrępowany brygadą, wspólnymi "rozwodami", nie potrzebowałem po pracy wyczekiwać przed bramą, aż zbierze się cała brygada,

mogłem sam rano wychodzić do pracy, a po jej zakończeniu wracać w dowolnych godzinach. Takie swobodne dysponowanie czasem było ogromnie dogodne dla mnie.

Nie bez pewnego żalu rozstawałem się z "instrumientałką" i z dwudziestym piątym zakładem produkcji kobaltu. Pożegnałem się z naczelnikiem przedsiębiorstwa remontowego, który to kiedyś za namalowany obrazek odwdzięczył mi się puszką wyśmienitej amerykańskiej konserwy. Serdecznie pożegnaliśmy się z moim przyjacielem baptystą oraz z głęboko wierzącym introligatorem. Przyszło mi również rozstać się z księdzem Kwiatkowskim, który teraz urządził w rozdzielni kwasów w laboratorium prawdziwą kaplicę, odprawiając tam Msze św.

Jakie były dalsze losy księdza Kwiatkowskiego, nie mogłem dowiedzieć się, wkrótce bowiem po moim odejściu z zakładu kobaltu przeniesiono go do innego obozu. Pozostawało to niewątpliwie w związku z jego apostołowaniem i praktykami religijnymi, z którymi się później niemal nie ukrywał. Tolerowane to było i osłaniane przez komsomołki, nie podobało się jednak widocznie starszyźnie, do której wieści o tym musiały w końcu dotrzeć. Już na wolności w kraju, po wielu latach, udało mi się nawiązać kontakt z księdzem Kwiatkowskim. Pisał do mnie z Rzymu. W odcinku z "Osservatore Romano" z grudnia 1958 roku na zamieszczonym tam zdjęciu dostrzegłem go w grupie księży na audiencji u papieża Jana XXIII. Jak mi donosił, jego "miodowy" okres laboratoryjny niedługo po moim odejściu z przedsiębiorstwa skończył się bezpowrotnie. Przyszło mu parać się stolarką, czyszczeniem ustępów, do czego często używano w obozach księży katolickich, potem pracować gdzieś w górnictwie i żyć w ciągłej niepewności wobec ustawicznie powtarzających się etapów i groźby likwidacji, które istotnie się zdarzały, a na co narażeni byli przede

wszystkim więźniowie - duchowni. Zwolniony również o kilka lat wcześniej, na podstawie "zaczotów" tj. nadliczbowych dniówek roboczych, znalazł się we Lwowie. Tam, za ociąganie się z wyjazdem za San został ponownie aresztowany i wywieziony aż gdzieś za Kańsk, osadzony w jakimś sowchozie z dziedięcioletnim wyrokiem. Jak się stamtąd wydostał, nie udało mi się dowiedzieć. Wiem tylko z jego artykułu w emigracyjnym "Głosie Katolickim", że w dniu 3 maja 1957 roku brał udział w nabożeństwie na Jasnej Górze, kiedy to kardynał Wyszyński inaugurował rok Wielkiej Nowenny Narodu przed Tysiącleciem Chrztu Polski. W roku następnym był już w Rzymie, dokąd z polecenia władz duchownych wyjechał na studia biblijne. Na Zachód przedostał się podobno i inny stały bywalec mojej "ambasady" w Norylsku ów tak niepewny ksiądz Październiak ze Śląska, który jakoby osiadł na jakiejś uchodźczej parafii w Anglii. Na Zachodzie podobno również znalazł się i ksiądz Figol.

Tak więc rozpocząłem pracę w laboratorium wielkiego Zakładu Mechanicznego. Zakład ten składał się właściwie z dwóch zasadniczych pionów: stalowni z dwoma piecami elektrycznymi do wytopu stali oraz właściwego pionu mechanicznego z potężnymi obrabiarkami. Laboratorium chemiczne, do którego zostałem przydzielony, znajdowało się przy stalowni. Do moich obowiązków należało odpowiednie przygotowywanie do analiz próbek stali, które przynoszono ze stalowni, dalej przygotowywanie odpowiednich roztworów doglądanie aparatów do destylacji wody, jak również wykonywanie niektórych prostszych analiz. Rychło opanowałem moje obowiązki i zacząłem się z nich wywiązywać odpowiednio, ku zadowoleniu kierownictwa.

Oprócz laboratorium chemicznego, w którym zacząłem pracować

znajdowało się jeszcze w Zakładzie Mechanicznym laboratorium metalograficzne przeprowadzające badania metali. I w tym laboratorium wypadało mi pracować, ale już jako wolny człowiek.

Naczelnikiem obu laboratoriów był kulturalny inżynier Rosjanin - Iwan Iwanowicz, który skończył odsiadywanie kary w jednym z obozów Norylska, i, jak wszyscy niemal kończący karę obozu, osiadł w Norylsku. Kierownikiem laboratorium chemicznego, a więc moim bezpośrednim zwierzchnikiem, był doskonały chemik, tak jak i ja więzień, inżynier Fiłatow. Załogę laboratorium stanowiło kilka laborantek. Wszystkie one były członkami Komsomołu. Jedna z nich niedawno wyszła za mąż i właśnie została matką. Słyszałem, jak zwierzała się przyjaciółkom, ile kosztowało ją zachodu, nim wreszcie znalazła "batiuszkę" i ochrzciła swoje dziecko. Były też i laborantki więźniarki, te ochotnie świadczyły "prywatne" usługi mężczyznom zatrudnionym w obu laboratoriach. Z usług jednej z nich, blondynki Tani, korzystał niemal zupełnie jawnie kierownik laboratorium chemicznego - Fiłatow.

Znalazłem się więc znów w nowym środowisku i wśród nowych ludzi. Zacząłem nawiązywać nowe kontakty, znajomości i stosunki, szczególnie z wolnymi pracownikami. Większość laborantek komsomołek ustosunkowana była do więźniów, a więc i do mnie życzliwie, były jednak i takie, które śledziły uważnie każdy mój krok, podchwytywały każde wypowiedziano słówko i szczegółowo donosiły o tym funkcjonariuszom NKWD urzędującym w każdym przedsiębiorstwie. W donosach tych oczywiście wiele dodawały od siebie i próbowały szkodzić więźniom. Z jedną z takich zahartowanych "ideowo" komsomołek miałem zaraz na początku pracy w laboratorium drobny zatarg, kiedy to odmówiłem spełnienia jakiegoś jej żądania, wkraczającego wybitnie w ramy usług całkowicie osobistych. Pobiegła z donosem skarżąc się w kadrach wojskowemu naczelnikowi,

jaki to jest ze mnie hardy więzień. Sprawa istotnie, jak na dyscyplinę obozową, nie była błaha. Naczelnik natychmiast przyszedł do laboratorium, aby sprawę "zbuntowanego" więźnia zbadać na miejscu. A nuż wykryje jakiś groźny, tajemniczy spisek? A może zaczątek jakiegoś buntu? Tacy niezdyscyplinowani więźniowie bywają niebezpieczni, nigdy nie wiadomo, co może się ukrywać za tym ich niezdyscyplinowaniem. Przybył w całym swym dostojeństwie w nienagannym uniformie ze złotymi epoletami. I może sprawa skończyłaby się dla mnie fatalnie, jeśli nie zesłaniem do karnego specłagru, to przynajmniej kilkudniowym pobytem w obozowym karcerze. Na szczęście wstawiły się za mną pozostałe komsomołki obalając całkowicie fałszywe donosy obrażonej na mnie swojej towarzyszki. Dzięki ich interwencji sprawa skończyła się dla mnie pomyślnie.

W początkowym okresie mojej pracy w laboratorium wypadło mi być świadkiem wstrząsającego wypadku, świadczącego o zwyrodnieniu pewnych, na wpół zdziczałych jednostek tamtejszego wolnego społeczeństwa. Jedna z laborantek miała swego "uchażora", niby narzeczonego, z którym zerwała znalazłszy sobie bardziej sympatycznego przyjaciela. Wzgardzony amant postanowił się zemścić. Pewnego dnia, około południa, zjawił się w korytarzu laboratorium i poprosił o wywołanie dawnej przyjaciółki. Gdy przyszła na korytarz, za chwilę rozległ się jej przeraźliwy krzyk. Gdy wybiegliśmy już nie było jej "uchażora", ona zaś stała oparta o ścianę zasłaniając oczy dłońmi spod dłoni ciekła krew. Odrzucony amant mszcząc się na swojej dawnej przyjaciółce za odrzucenie jego amorów, po krótkiej z nią wymianie słów, błyskawicznym ruchem ciął ją po oczach żyletką. Rozpaczającej i okaleczonej dziewczynie założyliśmy szybko prowizoryczny opatrunek, po czym odwieziono ją do szpitala. Co się z nią później stało - nie wiem, więcej do laboratorium nie wróciła.

Teraz w moim obozowym życiu zaszedł fakt, który na życie to wywarł silny wpływ i jego szarzyznę przemienił w jakieś tęczowe ułudy, nadał mu sens i wykrzesał drobną namiastkę radości życia. W każdym przedsiębiorstwie kombinatu i w każdym zakładzie musiał być obowiązkowo zatrudniony dekorator, którego zadaniem było ustawiczne malowanie wciąż nowych "łozungow", haseł propagandowych, które malowano na czerwonych z reguły transparentach i wieszano bez liku tak na zewnątrz budynków, jak i we wszystkich wnętrzach. Patrzyło się tego wszędzie pełno, nikt na hasła owe nie zwracał uwagi, ale propaganda musiała działać.

Taki dekorator przyjęty został w początkowym okresie mojej pracy do Zakładu Mechanicznego. Na razie umieszczono go w kącie obszernej klatki schodowej przyległej do pomieszczenia, w którym pracowałem. Nowo przyjętym dekoratorem był dwudziestoletni młodzieniec, Wołodia, blondyn o pociągłej twarzy, niebieskich oczach i grubych, zmysłowych wargach. Nowy dekorator począł chodzić do laboratorium po "kipiatok", gorącą wodę, z której przyrządzał sobie herbatę. Tak poznaliśmy się. Rychło znajomość nasza przekształciła się w głęboką przyjaźń opartą na wzajemnych zainteresowaniach i upodobaniach. Połączyło nas jakieś silne, prawdziwe szlachetne braterstwo dusz. "Ludzie nie spotykają się na próżno" - w jednym ze swoich utworów powiedziała trafnie moja ulubiona powieściopisarka, Maria Rodziewiczówna. Istotnie, i moje spotkanie z Wołodią nie było przypadkowe. Jeśli starożytni Grecy tak dalece cenili przyjaźń męską, że potrafili zaryzykować twierdzenie, iż "mieć przyjaciela to więcej niż mieć kochankę", to wydało mi się wówczas, że istotnie stanęli na szczycie prawdziwej życiowej mądrości i mieli głębokie wyczucie sensu przyjaźni. Wołodia był poetą. Dostał osiem lat łagrów za

wiersz satyryczny poświęcony nieomylnej i doskonałej władzy radzieckiej. Wiersz ten nieopatrznie pozwolił odpisać. Krążył on potem w odpisach z rąk do rąk, aż trafił do rąk czujnego NKWD, które w niewinnej satyrze dopatrzyło się kontrrewolucji. Wszczęto śledztwo, które naturalnie doprowadziło do wykrycia autora satyry. Nastąpiło aresztowanie sąd i niefortunny poeta "zafasował" osiem lat łagru.

Czyż mogłem sobie w obozie wymarzyć bardziej dla siebie odpowiednie towarzystwo i piękniejszą przyjaźń niż przyjaźń tego - żyjącego poezją, o pięknej, romantycznej duszy - chłopca, który z Nowosybirska przywędrował tutaj, wnosząc w tę noc ludzkiego zła i upodlenia radość czystej poezji? Wołodia przylgnął do mnie całą swoją duszą. Nieraz gdy analizowaliśmy uczucie, które owadnęło nami, przypominały mi się słowa Oscara Wilde z "Króla życia" Jana Parandowskiego: "To jest piękne uczucie, uczucie wzniosłe, najszlachetniejsze. Jest ono intelektualne i zdarza się zawsze, ilekroć starszy jest obdarzony intelektem, a młodszy posiada jeszcze radość i promienną nadzieję życia".

Po objęciu pracy w Zakładzie Mechanicznym Wołodia wcielony został do właściwej brygady i przeniesiony do naszego baraku. Ulokował się w rogu na górnej pryczy, w przeciwległym końcu izby. Ja wciąż lokowałem się na pryczy dolnej w pobliżu drzwi i wciąż kąt mój był uważany za polską ambasadę. Teraz jednak coraz częściej zacząłem spędzać wieczory ~~przy~~ u Wołodii pryczy prowadząc długie dyskusje na różne tematy. Czego w tych dyskusjach nie było! Zagadnienia dobra i zła, zagadka bytu, problemy wiary i istnienia Boga, dociekanie filozoficzne, uroki piękna antycznej Hellady, którą Wołodia zachwycał się również, no i poezja.

Ta poezja, którą przesycona była dusza Wołodii i której ja tak bardzo byłem spragniony. Wołodia zaczął mi czytać swoje wiersze. Wiersze, tak jak i moje na grubym, żółtym papierze. Czytając je przenosiłem się w inny świat. W jakiś romantyczny świat marzeń, świat rozterek i duchowej udręki. Dużo było w tych wierszach buntu, bezsilnej rozpaczy, nuty zwątpienia, a tu i ówdzie nihilizmu, tego często symptomu nie tylko poezji i literatury, ale i duszy rosyjskiej. Językiem rosyjskim władałem doskonale, nieobca mi była poezja i literatura rosyjska, stąd wieloma uwagami mogłem służyć Wołodii. Wygładzałem chropowatość jego wierszy, protestowałem rytmy, szlifowałem rymy i nadawałem im bardziej właściwe kształty. Wołodia słuchał mnie jak urzeczony. Wyczuwałem, jak bardzo jestem mu bliski i jak wysoko ceni on sobie moją przyjaźń i moją "poetycką wyższość". W mojej duszy również dziać się poczęło coś niebywałego. Przeżywałem ekstazę duchową, a z drugiej strony soczyste usta tego chłopca poczęły mnie nękać. Duch i ciało poczęły się jakoś wzajemnie uzupełniać. Teraz pod wpływem Wołodii zacząłem gwałtownie pisać wiersze. Próbowałem mu je czytać - nie rozumiał. Tłumaczenie ich po rosyjsku prozą nie oddawało całego ich sensu i treści. Zacząłem więc pisać po rosyjsku. Nieraz pełniłem samotne dyżury w laboratorium i oczekiwałem na Wołodię, który, jako mający również przepustkę, zwykle mnie odwiedzał - układałem wówczas liryczne strofy, które jemu głównie były poświęcane.

Nie pozostawał mi dłużny i Wołodia. Pisał teraz wiersze w których zawarte uczucia i myśli kierowały się ku mnie. Pisał strofy pełne wynurzeń i zapewnień przyjaźni. Dziś jeszcze w ocalałych z łagru papierach mam jego rysunek przedstawiający symbol poezji harfę, z odręczną wierszowaną dedykacją:

Pośród zamętu świata czas przemknie latami
I wiem, że kiedyś losy nas rozłączyć muszą,
W dalekich krajach, druhu, ty wspomnij czasami
Chłopca z Syberii z marzycielską duszą...

Pamiętam cię, chłopcze, no bo i jakże mógłbym zapomnieć ciebie, który byłeś dla mnie słońcem mojego wygnania...

Teraz moje wieczorne spotkanie na pryczy Wołodii przybrały charakter "wieczorów literackich". Zaczął przynosić zdobywane gdzieś przez siebie rosyjskie książki, przeważnie poezje, którymi delektowaliśmy się. Tak wchłonęliśmy co cenniejsze utwory Puszkina całego niemal Lermontowa, bardziej melodyjne ich utwory przyswajając sobie na pamięć. Próbowaliśmy dukać Majakowskiego, ale jakoś to nam nie wychodziło. Pewnego wieczoru Wołodia zawołał mnie do siebie na pryczę oświadczając z uśmiechem:

- Dziś mam coś dla ciebie, co cię z pewnością zachwyci, - to mówiąc podał mi książkę. Otworzyłem: Siergiej Jesienin - poezje. Zacząłem czytać, potem czytał Wołodia. Czasem przerywaliśmy czytanie na chwilę, by zamienić kilka uwag i znów wchłanialiśmy chciwie niezrównane w swoim pięknie, czarowne strofy, subtelnego liryka. Takie było moje spotkanie z najwspanialszym lirykiem współczesnej poezji rosyjskiej. Pokochałem Jesienina. Oderwać się nie mogłem od prostych i tak porywających strof wierszy, o rozwichrzonej czuprynie "chłopca spod Riazania". Z Jesieninem już się nie rozstawałem. Rychło w moim zeszycie poczęły się pojawiać tłumaczenia jego wierszy. Wierszy, które potrafiły moją duszę zagarnąć całkowicie.

Jesieninowi pozostałem wierny. Na jednej z półek mej biblioteki widnieją i dzisiaj pięknie oprawne jego poezje. Często do nich zaglądam.

W tym czasie wstrząsnął nami wszystkimi, zatrudnionymi

w przedsiębiorstwie odlewniczym, straszliwy wypadek. Do prac remontowych została przysłana brygada więźniów z nowego transportu, wśród których było dużo młodzieży. Pewnego wieczoru odbywał się spust stali. Z przechylonego, baniastego kadłuba łukowego pieca elektrycznego płynna stal, rozpryskując gęsto iskrami, ściekała do podstawionej w dole przed piecem kadzi. Obok dołu ustawiła się grupka robotników z brygady remontowej, przyglądając się operacji i grzejąc się w żarze wydzielanym przez roztopioną stal. W momencie gdy kadź już się napełniała i przechylony piec wracał do swego właściwego położenia z grupy przyglądających się więźniów wyrwał się młody człowiek i skoczył do kadzi z roztopionym metalem. Krótki błysk płomienia, nieco błękitnawego dymku i ciało nieszczęśliwca stopiło się z płynną stalą. Jak ustalono później, denatem był dziewiętnastoletni chłopak, więzień, na którym ciążył wyrok dwudziestu pięciu lat pobytu w łagrze. Perspektywa ćwierwiecza poniewierki i obozowej udręki przeraziła młodego człowieka. W szaleńczej determinacji wolał skończyć z życiem w jednej chwili, aniżeli lata całe konać w niewoli. Stali tej nie rozlano do form. Kadź z okropnym wytopem skierowano na hałdę poza przedsiębiorstwem gdzie wyrzucono żużel i tam wylano całą jej zawartość.

Ten wstrząsający wypadek głęboko podziałał na mnie. Długo przed oczami wyobraźni majaczyła mi smutna, młodzieńcza twarz. Długo nie mogłem się uspokoić... Wieczorem na pryczy z Wołodią szczegółowo omawialiśmy zajście. Obaj wstrząśnięci do głębi, przepojeni smutkiem.

Tempo rozbudowy kombinatu stopniowo zwalniało się. Z "matierika", lądu macierzystego, z najdalszych zakątków niezmierzonego Kraju Rad przybywało do Norylska coraz to więcej ludzi wolnych, zwabionych tu korzystnymi warunkami pracy i stosunkowo

wysokimi zarobkami. Ludzie wolni podejmowali pracę na wszystkich odcinkach i we wszystkich komórkach wielkiego kombinatu. Stopniowo więc dawał się odczuwać nadmiar więźniów zwożonych masowo do norylskich łagrów. Z tą olbrzymią masą niewolników, którą przecież trzeba było wyżywić i przyodziać, należało coś zrobić. Nie było powodu do ogłaszania amestii, a zresztą tego rodzaju rozwiązanie sprawy, jako zbyt korzystne dla ogółu więźniów, nie leżało w interesie władz. Znaleziono więc inną metodę, metodę, która by stopniowo nadmiar więźniów redukowała, wykorzystując przy tym do ostatka ich pracę. Wprowadzono więc "zaczoty" to jest zaliczenia dni roboczych od półtora do trzech za jeden dzień przepracowany, w zależności od wyrobionych norm obowiązujących w danym przedsiębiorstwie. By za jeden dzień mieć zaliczone trzy dni, trzeba było wypracować minimum sto pięćdziesiąt procent normy, mniej procent wypracowanych ponad normę dawało półtora do dwóch dni.

Zamajaczyła więc przed nami perspektywa skrócenia czasu pobytu w obozie i jego przedterminowego opuszczenia. We wszystkich nas wstąpił nowy duch, wszyscy z większym zapałem wypełnialiśmy prace. Od władz obozowych otrzymaliśmy wszyscy "zaczotnyje kniżki", książki zaliczeniowe, do których, w odpowiednich rubrykach, wpisywano nam co miesiąc wysokość odpracowanej normy, a co za tym szło ilość zaliczonych dni. Naturalnie niemal wszędzie kierownictwa poszczególnych przedsiębiorstw w sprawie zaliczeń zajęły przychylne stanowiska, dopisując więźniom wszędzie tam, gdzie się tylko dało, możliwie najwyższe procenty.

Mój bezpośredni zwierzchnik, kierownik laboratorium Iwan Iwanowicz, sam był więzień, zastosował zasadę, że stale wypracowuję normę powyżej stu pięćdziesięciu procent. Dzięki temu za jeden miesiąc przepracowany uzyskiwałem trzy miesiące, zaś za

jeden rok trzy lata. Zdarzyło się jednakże, że Rosjanina Iwana Iwanowicza, który wyjechał na urlop, przez jeden miesiąc zastępował mieszkający w Rosji Polak - Wojciechowski. Spodziewać by się należało, że Polak z tym większą życzliwością odniesie się do więźnia rodaka. Tymczasem stało się wręcz odwrotnie. Polak Wojciechowski w stodunku do mnie zachowywał się niemal wrogo, wpisując mi procent tak niski w tym miesiącu, że wypracowałem sobie tylko jeden miesiąc "zaczotów". W ten sposób w miesiącu kierowania laboratorium przez Wojciechowskiego straciłem dwa miesiące. Na dwa miesiące, dzięki życzliwości rodaka, odsunął się ode mnie termin zwolnienia, a to przecież w beznadziei życia obozowego znaczyło tak wiele... Czyż istotnie Polacy wśród obcych tak dalece potrafią być w stosunku do siebie nieżyczliwi i niesolidarni? A może obywatel Wojciechowski żyjący w atmosferze nieustannego lęku po prostu bał się zaliczyć mi wyższy procent, by nie zostać posądzonym o sympatię dla więźnia rodaka, za co także groziły odpowiednie kary, a tych przecież obywatel Wojciechowski, również były więzień obozów, miał dosyć. Tak też i prawdopodobnie było i dlatego też nie mam zbyt wielkich do niego pretensji.

Przyjaźń z Wołodją oparta na wzajemnych zainteresowaniach poezją pogłębiała się coraz bardziej. Nasze literackie biesiady i wieczory poezji na pryczy w kącie baraku stały się dla nas chwilami oderwania się od koszmarnej rzeczywistości, momentami wzlotów w krainę fantazji, w urzekający świat piękna. Poezja zbliżała nasze dusze. Wołodia zdobywał gdzieś i przynosił do baraku coraz to inne książki. Tak więc mieliśmy już za sobą Puszkina, wiersze Lermontowa, strofy Sidorowa, Leonowa, urzekające sonety Szekspira, prozę Gorkiego, dzieła Bielińskiego, Szczedrina, Timofiejewa, Dostojewskiego, Tołstoja i innych. Oczywiście

na glebie tak obfitującej w poezję musiała wyrastać i twórczość własna. Wołodia pisał coraz więcej. Każdego niemal dnia dawał mi do oceny nowy wiersz. Pisałem i ja. Pisałem po rosyjsku chcąc się przed Wołodią popisać poetyckimi uzdolnieniami.

Trudno jednak jest mówić o poezji i o przyjaźni poetów, jeśli nie jest ona, odwiecznym zwyczajem rymopisów, zakropiona winem. "Invino veritas", "Istina w winie" - często powtarzał Wołodia marząc o kieliszku wina, którym moglibyśmy zakropić przyjaźń naszą . W naszych warunkach wina w żaden sposób nie byliśmy w stanie zdobyć. Postanowiłem więc sam przystąpić do jego produkcji, a ponoć potrzeba jest matką wynalazków. Praca w laboratorium, częste dyżury nocne - dawały mi ku temu sposobność. Życzliwe mi laborantki komsomołki zaopatrzyły mnie w suszone owoce, nie podejrzewając zresztą, do czego są mi one potrzebne. Owoce te zalewałem gorącą wodą, po ostudzeniu dodawałem do tego drożdży i pozostawiałem płyn do sfermentowania. Proces fermentacji trwał kilka dni, wydzielał się przy tym jednak silny, przyjemny zresztą zapach, który rozchodził się po całym laboratorium. Napróżno starałem się naczynia z fermentującym roztworem chować i przykrywać jak najgłębiej, zapach rozchodził się wzbudzając ogólne zainteresowanie. Wreszcie kiedyś mój zacier znaleziono w szafie i odkryto źródło zapachu. Wytłumaczyłem jednak wszystkim, że przyrządzam jedynie zapas kompotu, bez którego nie mogę żyć. Na szczęście uwierzono mi i moja wytwórnia win mogła funkcjonować nadal. Teraz trzeba było do wina przygotowywać należyte "firmowe" opakowanie. Poleciłem więc Wołodii przygotowanie odpowiednich, artystycznie wykonanych, nalepek. Wołodia z zadania wywiązał się należycie. Butelki zaopatrzone zostały w piękne, barwne etykietki, z wypisaną na nich wspólnie przez nas

uzgodnioną nazwę wina "Ułybka junosti" - "Uśmiech młodości". Tak spreparowany napój stał się dla nas najbardziej przednim wyszukanym, o smaku, godnym naszej przyjaźni, naszych poetyckich biesiad i zamierzonych "bachanalii" winem.

Pierwsze oficjalne przyjęcie z winem odbyło się którejś nocy w laboratorium. Miałem wówczas dyżur, Wołodia również postarał się o nocną zmianę, tak że się mogliśmy wreszcie urządzić naszą "ucztę".

Kiedyś z racji swych urodzin jedna z laborantek poczęstowała mnie porcją skromnych, suchych ciasteczek. Zachowałem je na stosowną okazję i teraz dopełniały one naszą ucztę. Z laboratoryjnych zlewek piliśmy więc, zagryzając ciasteczkami, nasz oryginalny, o ciemnej barwie napój, smakiem swym istotnie przypominającym wino. Czuliśmy się bosko. "Bogiema, bogiema" - powtarzał rozradowany Wołodia, ściskając mnie serdecznie. Istotnie była to dla nas "bohema", jakiś wycinek życia literackiej cyganerii zaniesiony tutaj, w strefy podbiegunowe, w łagiernicze bytowanie. Odtąd tego rodzaju spotkania z Wołodią powtarzały się częściej. Wina wystarczało. Wystarczało egzaltacji i poetyckich uniesień w młodych duszach. Okres ten zaznaczył się dość obfitym plonem naszej poetyckiej twórczości. Na każde ze spotkań Wołodia przynosił swoje, coraz to doskonalsze wiersze, ja czytałem mu moje wiersze, przeważnie zresztą jemu dedykowane. Wtedy to powstał cykl moich wierszy w języku rosyjskim, opiewający piękno męskiej przyjaźni, komentując w rymowanej formie malowane przez Wołodię obrazy.

Tak płynął czas, mijały miesiące i lata. Nadzieja wcześniejszego, przedterminowego zwolnienia z obozu stawała się coraz bliższa urzeczywistnienia. "Zaczoty" okazywały się błogosławionym

środkiem przybliżającym dzień wyzwolenia. Ja, bez żadnego zresztą zwiększonego wysiłku, a jedynie dzięki sumiennej pracy i życzliwości "naczelnika" Iwana Iwanowicza wypracowywałem stale ponad sto pięćdziesiąt procent normy i każdy przepracowany miesiąc stawał się dla mnie okresem trzymiesięcznym, a więc potężnym krokiem naprzód do celu, którym była wolność.

W miarę jednakże rosnącej nadziei na rychlejsze oswobodzenie w duszy potężniała tęsknota, nasilał się żal. Obrazy domu, stron rodzinnych, dalekiej ojczyzny wciąż snuły się przed oczyma wyobraźni, jawiły się w bezsilnej męce i beznadziejnej rozpaczy. Stan rozpaczy i fatalnego przygnębienia wzmógł się jeszcze bardziej wówczas, gdy jasne stało się dla nas, że odbycie kary i zwolnienie z obozu nie będzie bynajmniej oznaczało powrotu do ojczyzny. Dotkliwym dla nas ciosem stała się wieść, że my wszyscy, Polacy, aresztowani na ziemiach przywłaszczonych przez Związek Radziecki i stamtąd wywiezieni automatycznie staliśmy się obywatelami Kraju Rad i jako takich po wyjściu z obozu nie czeka powrót do ojczyzny, ale dożywotnie może nawet zesłanie w okręgach dalekiej Północy. Z drugiej strony pocieszaliśmy się mglistą nadzieją, że może kształtujące się do nowego życia państwo polskie upomni się o swoich tak bezprawnie wywiezionych obywateli. Złudne to miały być nadzieje... I tak trwaliśmy w rozterce chciwie zapatrzeni w przyszłość oznaczoną dla nas wciąż jedną wielką niewiadomą.

W tym nastroju pełnego rozterki oczekiwania zastały nas Święta Wielkanocne, któreś tam z kolei spędzone w obozie, ale dla mnie, według moich obliczeń, w łagrze już ostatnie.

O terminach Wielkanocy, jako święta ruchomego, dowiadywaliśmy się zwykle okrężnymi drogami. Mnie poinformował przeważnie tak o tych, jak i o innych świętach, mój przyjaciel

Łotysz, który tyle dobrego mi w obozie wyświadczył, a którego z kolei informowała rodzina w kraju, z którą pozostawał w kontaktach. Na kartach mego notatnika w przesmutnym dniu wielkopiątkowym zanotowałem wówczas:"Żałoba i smutek Kościoła. Obnażone ołtarze i kir na krucyfiksach. W ciemnych wnękach świątyń milczące groby, a w nich umęczone Dobro...

Żałoba i smutek serca. Obnażona nędza życia i kir na przeszłości. W mrocznej przepaści istnienia milczący grób, a w nim umęczona ma dusza. Czy przyjdzie dla niej dzień Zmartwychwstania?..."

Gdy się tak w samotnych rozważaniach wielkopiątkowych zastanawiałem nad moimi cierpieniami i cierpieniami tych, którzy wraz ze mną znosili udrękę śledztwa, więzienia, łagru i zesłania, gdy obserwował ich mękę, a jednocześnie w tej powodzi zła i upodlenia promieniejące od wielu z nich dobro, to jakoś po swojemu, tak inaczej, patrzałem na dzieło Odkupienia... Ukształtował się we mnie nowy, swoisty pewnik teologiczny, który mówił, że odkupienia świata nie zostało dokonane na szczycie Golgoty, ono trwa w ciągu wieków; każdy cierpiący człowiek jest Chrystusem ludzkości i cierpieniem swoim dokonuje cząstki jej odkupienia".

Z tego pewnika poczęty, wyrastał we mnie mistycyzm, jakieś subiektywne przeświadczenie, że cierpienie moje jest konieczne, że może cierpieniem swoim istotnie okupuję jakąś bodaj znikomą cząstkę lepszej doli jakiejś istocie człowieczej, która zasłużyła na dolę lepszą. Wydawało mi się, że cierpiący człowiek jest najbardziej pożałowania godną istotą i sam Chrystus boleje nad tym, że męką swoją nie zdołał wykupić go cierpieniu, zapewnić mu szczęścia i ładu ducha.

W takim nastroju spędziłem tę jedną z wielu moich obozowych Wielkanocy, tym razem jednak szczęśliwszą dla mnie, bo już ostatnią spędzoną w obozie.

Ta ostatnia Wielkanoc w łagrze szczególnie głęboko utkwiła w mojej pamięci, a to na skutek głębokiego, duchowego przeżycia, którego dostarczył mi Wołodia. Groźna zima północna trwała w pełni. Od kilku dni szalały potworne "purgi". Wichry unosiły tumany śniegu, spoza których świata nie było widać. Na ulicach trudno było utrzymać się na nogach. Kto tylko żył, a nie miał koniecznej potrzeby udawania się w drogę chronił się w zacisze mieszkania. W barakach więźniowie całymi wieczorami wylegiwali się na pryczach, z okropnym hałasem grali w swoje ulubione domino, bądź też wyczyniali wszelkiego rodzaju bezmyślne głupstwa Z trudem tylko przemykaliśmy się przez "purgę", by odwiedzić się wzajemnie i życzyć sobie, tak paradoksalnie w warunkach obozowych brzmiącego "Wesołego Alleluja". Po zakończonej wizycie kilku moich rodaków, którzy przyszli do mnie złożyć mi życzenia świąteczne, Wołodia zaprosił mnie do siebie na pryczę.
- Dzisiaj przyniosłem coś specjalnie dla ciebie, coś, co cię chyba naprawdę zainteresuje i zachwyci - oświadczył mi tajemniczo wyciągając spod podgłówka jakąś książkę. - Masz, czytaj.

Wziąłem książkę do ręki i spojrzałem na tytuł: "Pan Tadeusz i z miejsca ogarnęło mnie głębokie i rzewne wzruszenie. Tłumaczony na język rosyjski, aż tam, na daleką Północ, za krąg polarny, dostał się nieśmiertelny poemat polskiego wieszcza. Chciwie otworzyłem książkę. Wołodia przysunął się do mnie jak tylko mógł najbliżej. Zacząłem czytać:

Otczizno moja, Litwo...

Czytałem po rosyjsku, ale rozumiałem po polsku, Po polsku wpadały mi w duszę słowa wieszcza przepojone tęsknotą za ojczyzną

Coś się ze mną zaczęło dziać niepojętego. Jakiś skurcz wewnętrzny potęgował się we mnie, narastał i gwałtownie zbliżał się do gardła. Z coraz większym trudem czytałem dalej. Wołodia bacznie wpatrywał się we mnie.

Panno Święta co Jasnej bronisz Częstochowy...

A gdy już dochodziłem do ostatnich wierszy Inwokacji, gdy już z ogromnym wysiłkiem wyszeptałem:

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...

idący z głębi duszy skurcz chwycił mnie za gardło, odebrał możliwość dalszego wykrztuszenia z siebie jakiegoś słowa. Niezdolny już byłem do czytania. Łzy przesłoniły mi oczy, przechyliłem się na podgłówek, twarz ukryłem w kocu, a silniejsze nad moją wolę łkanie zaczęło wstrząsać mną całym. Tego, co w momencie tym przeżyłem, słowami opisać się nie da. Taki stan wewnętrznego wstrząsu przeżyć musiał Sienkiewiczowski latarnik, który po przeczytaniu Inwokacji, rażony ogromem nurtującej go tęsknoty, zapomniał zapalić powierzoną mu latarnię. Teraz dopiero zrozumiałem latarnika... Wołodia przytulił się do mnie, twarz swoją zbliżył do mojej i szeptał mi do ucha: "Wiaczesław, uspokojsia, nie płacz, ty wiernioszsia". Wacław nie płacz, ty wrócisz do kraju, na pewno wrócisz. Już niedługo. Kończy się przecież twój pobyt w obozie, wyjdziesz na wolność, pojedziesz do ojczyzny... Nie płacz...

Powoli uspokoiłem się. Dławiący mnie skurcz ustępował.

- Dziękuję ci, Wołodia - szeptałem - dziękuję za książkę i za dobre słowo. Gdziekolwiek bym był, będę o tobie zawsze pamiętał...

Dobre słowa Wołodii sprawdziły się. Co prawda nierychło, lata bowiem jeszcze przejść musiały, nim wróciłem do Tej, która jest "jak zdrowie", za którą tęsknota łzy potrafiła wycisnąć

mi z oczu i skurczem gardła odebrać zdolność wykształcenia z siebie słowa. Ale tego wieczoru z Wołodią i "Panem Tadeuszem" przeżytego na pryczy baraku w norylskim obozie nie zapomnę nigdy. To było piękne...

Gdziekolwiek dziś jesteś mój serdeczny młody przyjacielu spod bieguna północnego, dziękuję ci za te chwile, za przeżyte wzruszenia i za głębię twojej szlachetnej przyjaźni...

Stopniowo zaczęły się w obozie mnożyć zwolnienia. Uwidaczniały się wyniki "zaczotów". Sięgnęły one roczników z okresu tuż przed wojną, okresu wojennego i miesięcy powojennych, w których to okresach "nabór" do obozów był najliczniejszym. Wśród tych roczników znalazł się i mój. Skrzętnie na podstawie "zaczotnoj kniżki", książki zaliczeń, obliczałem zaliczane mi okresy i z pełną niecierpliwego wyczekiwania nadzieją w sercu, śledziłem kurczenie się terminu mojej obozowej kary. Aż wreszcie któregoś dnia wezwano mnie do komendantury obozu, kazano zdać wszystkie rzeczy obozowe, pobrać w magazynie bardziej godny przyodziewek, abym się mógł jakoś pokazać na ulicy, wreszcie wydano mi odpowiedni dokument, "sprawku", stwierdzającą, że osądzony Najwyższym Trybunałem Wojskowym NKWD Okręgu Grodzieńskiego 26 kwietnia 1945 roku z paragrafu 63 p.1 kodeksu karnego Białoruskiej SRR i osądzony na lat dziesięć z pozbawieniem praw na lat pięć, w przeszłości nie karany, odbywałem karę w obozach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do 25 marca 1952 roku i zwolniony zostałem z zastosowaniem zaliczonych mi roboczogodzin za dobre wyniki w pracy. Dalej dokument stwierdzał, że skierowany zostaję na stały pobyt do Kraju Krasnojarskiego w Rejonie Jenisjejskim, gdzie miałem się osiedlić i zostać zatrudniony przy wyrębie tajgi.

Prysły więc nadzieje na powrót do kraju. Jak dotąd my, Polacy, łudziliśmy się, że po odbyciu kary obozu prześladowcy nasi odeślą nas do ojczyzny. Tej naszej nadziei nie podzielali bardziej trzeźwo na sprawy patrzący i obeznani z metodami swoich władz, współtowarzysze naszej niedoli, - więźniowie Rosjanie. Ci wręcz oświadczali nam, żebyśmy się nie łudzili, w żadnym bowiem wypadku nie zostaniemy odesłani do Polski. Okazało się, że oni mieli rację. Byłem bliski rozpaczy. Perspektywa osiedlenia się gdzieś w tajdze przerażała mnie nie na żarty. Przerażał los osiedleńca w głuszach dalekiej Północy, los tych zesłańców na Sybir, którzy w beznadziei i męce lata całe konali trawieni straszną chorobą - tęsknotą za ojczyzną. Opatrzoność jednak, i tylko Opatrzność, czuwała nade mną. Na jakiś czas przed moim zwolnieniem kierownictwo laboratorium, w którym pracowałem, po sympatycznym i kulturalnym Iwanie Iwanowiczu objął żarliwy komunista Stiepan Timofiejewicz. Zmiana ta nastąpiła na skutek tego, że Iwan Iwanowicz, jako niepartyjny i były więzień,nie mógł sprawować funkcji kierowniczej. Stiepan Timofiejewicz ani wykształceniem ani też inteligencją nie mógł dorównać swemu poprzednikowi, był jednak komunistą i to wystarczało, by mógł zajmować odpowiedzialne stanowiska. Z miejsca, po objęciu urzędowania, całymi godzinami wystawał przy roboczych stołach w laboratorium chemicznym, przelewając różne płyny z jednej probówki do drugiej, z całą powagą obserwując zmieniające się kolory na skutek różnego ich mieszania.

W laboratorium byłem ogólnie lubiany i ceniony za swoją rzetelną pracę. Polubił mnie też i odpowiednio docenił nowy "naczalnik", ów zagorzały chemik, Stiepan Timofiejewicz, w gruncie rzeczy porządne chłopisko. Dowiedziawszy się, że skierowany zostałem na osiedlenie w tajdze i mam opuścić Norylsk a tym

samym i porzucić pracę w laboratorium, udał się do urzędu zajmującego się osiedlaniem oswabadzanych więźniów i z miejsca wyjednał mi prawo pobytu w Norylsku. On też załatwił mi mieszkanie w "obszczeżitii", coś w rodzaju hotelu robotniczego, w którym we wspólnych pokojach zamieszkiwali zatrudnieni w kombinacie pracownicy, przeważnie ze stanowisk umysłowych.

Tak więc byłem już na wolności. Oszałamiały mnie jej pierwsze powiewy. Po z górą siedmiu latach niewoli obozowej, po marszach pod konwojem, po ciągłych meldowaniach się, po ustawicznym dozorze strażników nie mogłem wprost pogodzić się z rzeczywistością. Pogodzić się z tym, że oto mogę iść wszędzie tam, gdzie mi się tylko podoba, robić to, na co mam ochotę. Nie oglądany przez zasieki z kolczastego drutu świat, wydał mi się jakiś większy i bardziej przestrzenny. Spotykani na ulicach ludzie bardziej swoi, mili i bliscy. Każdego spotykanego przechodnia miałem ochotę obdarzyć uśmiechem, wszcząć z nim rozmowę, aby się upewnić, że jestem taki sam jak on, że nikt nie obawia się teraz ze mną rozmawiać, zawierać znajomości i zadzierżgnąć towarzyskich kontaktów. Ci, którzy zwolnieni zostali w tym samym czasie, przeżywali radość odzyskanej wolności tak jak i ja, a może nawet jeszcze bardziej. Stary Łotysz pracujący ze mną w laboratorium chodził śmiejąc się jak dziecko. Zwolnieni spotykali się na ulicach rozradowani i szczęśliwi. Omawiali swoje sprawy, zamierzenia i projekty. Wielu szczęśliwie urządzało się na miejscu w Norylsku w różnych zakładach. Ja miałem zapewnioną pracę w laboratorium Zakładu Mechanicznego, w którym pracowałem jako więzień. Przedtem jednak trzeba było załatwić wszystkie sprawy prawne, zalegalizować pobyt w Norylsku, jako już wolnego mieszkańca miasta, uzyskać wszystkie niezbędne dokumenty. Formal-

ności te zajęły mi sześć tygodni czasu. Po długich wyczekiwaniach w kolejkach, po wygnieceniu się w straszliwym tłoku zwalnianych więźniów, przeważnie Rosjan, zalegających ciasną poczekalnię biura paszportowego zostałem wreszcie obywatelem radzieckim i otrzymałem paszport radziecki, duma z posiadania którego rozpierała kiedyś Majakowskiego, czemu dał wyraz w jednym z wierszy. Mnie niestety rozpierała nie duma, a okropna żałość...

Rozpocząłem wreszcie pracę w laboratorium. Teraz jednak już jako wolny obywatel objąłem pracę bardziej odpowiedzialną, bo w laboratorium metalograficznym, w którym prowadzić miałem pracownię fotograficzną. W pracowni tej z pomocą mikroskopu fotografowano mikrostruktury stali badanych w laboratorium.

Na kilka tygodni przede mną oswobodził się mój przyjaciel Wołodia. On również nie otrzymał zezwolenia na wyjazd i zmuszony został do osiedlenia się w Norylsku. Urządził się w pracy gdzieś w straży pożarnej i często wieczorami wyrywał się do mnie na pogawędki. Zauważyłem w nim jednak jakąś dziwną zmianę. Prawdopodobnie niemożność powrotu do domu, do rodziny, do matki, za którą bardzo tęsknił, całkowicie załamała go psychicznie. Stał się apatyczny. Na jego twarzy zamiast tak pasującego do niej uśmiechu młodości coraz częściej pojawiał się cień wewnętrznej udręki i dławionej tęsknoty. W rozmowach ze mną zaczął przebąkiwać o samobójstwie. Wychwalał teraz Jesienina za to, że potrafił skończyć z udręką życia, jakkolwiek kiedyś surowo go za to potępiał. Zachowanie się Wołodii przeraziło mnie nie na żarty. Jak tylko umiałem, tak starałem się wpływać na niego podtrzymując na duchu, krzepiąc nadzieją powrotu, zachęcając do wytrwania i do wyrobienia w sobie hartu i męstwa tak bardzo potrzebnego do pomyślnego przetrwania tego trudnego okresu życia. Wołodia wysłuchiwał moich wywodów milcząco. Często dziękował za dobre

słowo, widać było jednak, że nie potrafi przezwyciężyć nękającej go udręki.

Któregoś wieczoru, gdy miałem dyżur nocny, przyszedł do mnie bardziej niż zwykle zgnębiony i smutny.

- Wiesz, Wacław - oświadczył mi otwarcie,- postanowiłem jednak skończyć z sobą. Naprawdę nie widzę żadnego sensu w życiu takim jak moje. Odebranie sobie życia to przecież tylko jedna chwilka, a potem już będzie tylko nicość i spokój, spokój... - mówiąc to wyciągnął z kieszeni zwój miękkiego, mocnego przewodu elektrycznego i szybko zawiązał coś w rodzaju pętli.

- Ot, widzisz, - powiedział mi przymierzając ją do szyi, - jeden moment, zacisk i już będzie po wszystkim.

Chciałem wyrwać mu linkę, nie dał, skręcił i z powrotem schował ją do kieszeni.

- A co, nastraszyłem cię porządnie, - rzekł uśmiechając się blado, - wiem, że ty myślisz inaczej, że dobrze mi życzysz, że krzepisz mnie nadzieją, ale ja już na wiarę w życie i dalszą walkę nie mogę się zdobyć. Ja widzę dla siebie ukojenie jedynie w śmierci. No, ale jeszcze poczekam...

I znów mówiłem z nim wiele. Próbowałem użyć wszystkich argumentów na jakie tylko potrafiłem się zdobyć. Wołodia słuchał mnie milcząc. Próbowałem wymóc na nim przyrzeczenie, że odstąpi od swego zamiaru. Chciałem odebrać mu linkę, nie dał. Żegnał się ze mną jakoś niezdecydowanie i dziwnie, dość mętnie przyrzekając, że od zamiaru swego odstąpi. Z tym wyszedł. Siedziałem chwilę w pełnej bólu zadumie nad tragicznym stanem duszy tego chłopca, duszy, tak wydawało mi się pięknej i świetlanej. Wierząc w dane mi przez Wołodię przyrzeczenie, że odstąpi od swego samobójczego zamiaru, powoli się uspokajałem. Nagle jak gdyby coś mnie poderwało. Jakiś wewnętrzny nakaz kazał mi natych-

miast iść za Wołodią. Wybiegłem z laboratorium. Szybko przemierzałem ogromną halę pustego w tym czasie przedsiębiorstwa odlewniczego, przez który musiał przejść Wołodia idąc do siebie. Zaglądałem w każdy zakątek z potwornym przeczuciem. Tak doszedłem do drzwi wyjściowych. Pchnąłem je i w ich bocznej głębokiej wnęce wyczułem rękę człowieka. Nagłym szarpnięciem otworzyłem drzwi szeroko i wpuściłem strugę światła. W bocznej wnęce stał Wołodia. Był blady, z jakimś dziwnym, mętnym błyskiem w oczach. Założona na szyi pętla zaczepiona była na wbitym w tym miejscu w ścianę żelaznym haku. Pod nogami miał gruby kloc drewniany. Wystarczyło lekkie poruszenie go nogą, żeby się odtoczył, a stojący na nim człowiek zawisłby na haku. Błyskawicznym ruchem ściągnąłem linkę z haka, rozluźniłem pętlę i zdjąłem ją z szyi przyjaciela. Wołodia zszedł z klocka, stanął przy mnie, chwilę patrzał na mnie błędnie, aż wyszeptał:

- Dziękuję. Ale po co ty przyszedłeś, już byłoby po wszystkim. Odwrócił się i szybko zginął w ciemności nocy, a ja wracałem do siebie trzymając w ręce fatalny kawałek przewodu elektrycznego, pętlę, szczęśliwie uratowanego samobójcy. Zawsze w ważnych i decydujących momentach życia miewałem i mam silne przeczucia, które mnie nigdy nie zawodzą.

Powoli urządzałem się w Norylsku. Zamieszkałem w hotelu robotniczym, na jednej z bocznic ulic, położonych daleko od miejsca pracy. Mieszkało nas czterech w pokoju. Wszyscy niemal jednocześnie ze mną zwolnieni z obozu. Współlokatorzy moi to: nieco zdziwaczały na skutek długoletniego pobytu w obozie obywatel Gierman, tak nazwany dlatego, że był zruszczonym Niemcem, gdzieś znad Wołgi; drugi - pan Paweł, rezolutny starszy jegomość, Łotysz; i wreszcie dwudziestodwuletni Kola wnoszący do

pokoju atmosferę młodości. Z Kolą zaprzyjaźniłem się szybko, złączyły nas bowiem wspólne zainteresowania fotograficzne. Obaj nabyliśmy aparaty i obaj wiele wolnego czasu poświęcaliśmy fotografii. Kupiłem jakieś ubranie i stopniowo strząsnąłem z siebie resztki wyglądu aresztanta, łagiernika. Jednakże ani aparatem, ani ubraniem nie cieszyłem się długo. Rychło do pokoju dobrali się złodzieje. Zostałem okradziony ze wszystkiego i wszystko musiałem zdobywać od nowa. Teraz jednak aparatu już nie trzymałem u siebie, a u zamieszkałej w pobliżu sympatycznej rodziny zruszczonych Niemców. Małżonkowie po odbyciu kary obozu osiedlili się w Norylsku, w przyzwoitym mieszkaniu. Tu dochowali się dzieci i chętnie przyjmowali u siebie byłych łagierników. Później jak się dowiedziałem, już po moim wyjeździe z Norylska wywędrowali oni do Ałma Aty.

Moje przeczucia, o których wspomniałem, i w tym momencie życia mnie nie zawiodły. Ubranie, które miałem, zostało mi skradzione, świątek i piątek musiałem więc chodzić w ubraniu roboczym, w nowe bowiem zaopatrzyć się nie mogłem, gdyż ubrania były rzadkością w owym czasie w sklepach.

Pewnego dnia, gdy po pracy siedziałem w mieszkaniu coś mnie poderwało i kazało wyjść na ulicę. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że jak wyjdę, to zdobędę ubranie. Istotnie, zaraz na którymś z domów przeczytałem kartkę, na której ktoś oznajmił, że sprzedaje ubranie. Poszedłem pod wskazanym adresem. Ubranie pasowało, jakby specjalnie dla mnie zostało uszyte. Naturalnie nabyłem je z miejsca i tak, dzięki wyczulonej intuicji znów byłem ubrany.

Norylsk w owym czasie był miastem rozboju i grabieży. Na bardziej odludnych ulicach napady rabunkowe na przechodniów zdarzały się za dnia, a cóż dopiero mówić o nocy. A przecież i

nocą trzeba było chodzić, pracowało się bowiem na trzy zmiany. W Norylsku osiedlała się, Bóg raczy wiedzieć skąd przybyła wszelkiego rodzaju hołota, bandyci, złodzieje i nożownicy, którzy przeważnie nie imali się żadnej pracy, żyjąc z tego, co łajdackim przemysłem potrafili zdobyć. Przeważająca część tej bandy to obozowa "szpana", zawodowi kryminaliści, którzy wyszedłszy z obozu nie brali się do pracy uprawiając i na wolności swój złodziejski i bandycki proceder. Napady, rabunki, pobicia, poranienia, a nawet zabójstwa przechodniów nie należały w owym czasie w Norylsku do rzadkości. Po godzinie dziesiątej wieczorem, gdy się wychodziło z pracy po drugiej zmianie, ulice były puste. Tu i ówdzie przemykał się jakiś przechodzień trwożliwie oglądając się za siebie. Szczególnie unikały pustych ulic kobiety. Oglądając się za siebie i ja chyłkiem uciekałem wieczorami z pracy do domu. Jakoś szczęśliwie nic złego w tym czasie mi się nie przytrafiło, nikt na mnie nie napadł i nie próbował zawrzeć ze mną złodziejskiej znajomości. Spotkało to mnie znacznie później.

W parze z rozpanoszonym bandytyzmem szło inne groźne zjawisko, zagnieżdżone gdzieś na dnie ludzkiego upodlenia, w duszach ludzi wyzutych z wszelkiego człowieczeństwa. Zjawiskiem tym było trafiające się na szczęście rzadko, przegrywanie w karty człowieka. Hazardziści karciarze, kryminaliści i bandyci, gdy się już zgrali do nitki, jako ostatnią stawkę stawiali życie znienawidzonego przez siebie człowieka. Ten, który ostatecznie przegrał, musiał tego człowieka zabić. Jeśli tego nie zrobił, zgrany karciarski bandycki klan zabijał go. Raz jeden byłem świadkiem mordu dokonanego na człowieku przegranym w karty. W biały dzień, stojąc w oknie laboratorium, zobaczyłem biegnącego drogą mężczyznę w sile wieku. Za nim z długim nożem w ręku gonił młodszy mężczyzna. Dopadł

uciekającego i wbił mu w plecy nóż. Gdy ugodzony upadł twarzą do ziemi, oprawca usiadł na nim zadając mu nożem raz po razie silne ciosy w plecy. Dokonawszy swego, bandyta poderwał się i uciekł, skrywając się gdzieś w zakamarkach wielkiego zakładu odlewniczego. Obaj, tak ofiara jak i oprawca, byli Gruzinami, a nożownictwo wśród synów tego krewkiego narodu to zjawisko powszechne.

Dłuższy czas żyłem w ciągłym lęku, by nie zostać przegranym w karty. A miałem ku temu powody. Wydając kiedyś jakieś polecenie służbowe naraziłem się laboratoryjnemu elektrykowi, zadziornemu Rosjaninowi, który, jak się wkrótce dowiedziałem, był namiętnym karciarzem. Na szczęście obrażony na mnie elektryk nie miał gruzińskiej natury i, jako Rosjanin, nie żywił do mnie nienawiści aż takiej by życie moje traktować jako stawkę w karcianym hazardzie. Zresztą niedługo pogodziliśmy się, elektryk pozbył się urazy, a nawet stał się dla mnie przyjazny.

W tym czasie w laboratorium wstrząsnął znów nami okropny wypadek. W oddziale metalograficznym laboratorium zatrudniony był moskwiczanin, metalurg, który odbywał karę niebagatelną, bo aż piętnaście lat pobytu w obozie. Ale i dla niego wreszcie zaświtał dzień wolności. Po zastosowaniu pewnych "zaczotów" został wreszcie z łagru zwolniony. Radość wolności po piętnastu latach niewoli podziałała na inżyniera odurzająco. Wraz z czterema kolegami, jednocześnie z nim zwolnionymi, postanowił urządzić radosną libację. Pewnego wieczoru, zatrzymawszy się dłużej po pracy, piątka przyjaciół przystąpiła do "oblewania" wolności. Skonsumowano zdobyte gdzieś skromne zapasy i wybito butelkę jakiegoś alkoholu. Tego jednak było za mało. Podochoceni zapragnęli wypić więcej. Inżynier dobrał się do szafy, w której trzymany był spirytus służący do celów laboratoryjnych. Było go jednak niewiele. Gdy się skończył, sięgnięto po spirytus metylowy. Zamroczone alkoholem umysły, nie

odróżniły trucizny. Nad ranem wszystkich uczestników libacji znaleziono martwych. Odzyskali wolność na wieki...

A mnie w tym czasie udało się uniknąć okazji, która mogła zakończyć się dla mnie ponownym osadzeniem w obozie. Pewnego wieczoru zgłosiła się do mnie, jako starszego zmiany, jedna z młodych pracownic zakładu, prosząc o wydanie jej pewnej ilości stężonego kwasu solnego, na który przyniosła ze sobą ćwierćlitrową butelkę. Tłumaczyła mi, że kwas potrzebny jej jest do jakichś tam celów domowych. Naturalnie wydania żrącego kwasu, tak niebezpiecznego w rękach dyletanta, odmówiłem. Decyzją moją widocznie kierowała Opatrzność. Dziewczyna kwas solny pragnęła zdobyć w celach samobójczych. Dostała go gdzieś w innym laboratorium, wypiła i zmarła w okropnych męczarniach. Strach pomyśleć co by stało się ze mną, gdyby ten kwas został wydany przeze mnie.

W wolnych od pracy chwilach, a tych miałem wiele, poznawałem bliżej Norylsk i jego okolice. Któregoś dnia wybrałem się do norylskiego Muzeum przyrodniczego. Zaraz w pierwszej sali rzucał się w oczy potężny szkielet mamuta, wydobyty niedawno z wiecznej zmarzliny w tundrze, przy kopaniu fundamentu pod jakąś budowę kombinatu. Kiedyś w okresie lodowcowym zamieszkiwał on północną Europę, Azję i Amerykę. Buszował na terenach późniejszego kombinatu, aż potem, gdy mu warunków do życia nie stało, zabalsamował kości w lodowym pancerzu, aby je kiedyś, po tysiącu latach, okazać jako świadectwo kwitnącego na tej ziemi życia. Inne świadectwo tego życia złożone było nieco dalej. Na wydobytej w odkrywkowej kopalni w Norylsku potężnej bryle węgla widniał doskonale zachowany odcisk wspaniałego liścia paprosi. Musiała ona być kiedyś potężnym drzewem, bądź też w cieniu takiego drzewa wyrastać, skoro dziś, tam gdzie tylko karłowata tundra i wieczne zmarzlina, we wnętrzu

góry, tu pod jego powierzchnią, ukształtowały się pokłady węgla. Odcisk paproci na jego bryle, gdzieś za Kręgiem Polarnym, zostawił świadectwo tętniącego tu niegdyś życia, bogatszego niż obecne...

Któregoś dnia nad ranem zbudziły nas ze snu odgłosy strzałów, które rozlegały się w pobliżu naszego domu. Zdziwieni, wybiegliśmy na ulicę. Niedaleko od nas prowadzona była budowa jakiegoś potężnego gmachu. Wiedzieliśmy, że przy budowie zatrudnieni są więźniowie łagrów, mający przeważnie wyroki po dwadzieścia pięć lat i trzymani w specjalnych obozach o zaostrzonym regulaminie i surowej dyscyplinie. Byli to przeważnie więźniowie polityczni. Dużo wśród nic było inteligentów i wojskowych. Obserwowaliśmy ich, jak codziennie, zwartymi piątkami, pod gęstym konwojem uzbrojonych strażników, zmierzali do pracy lub powracali z niej. Dziś stało się coś niezwykłego. Wysoko na rusztowaniach powiewała czarna chorągiew sporządzona z koca czy też kawałka jakiejś innej materii. Wszelka praca na budowie ustała. Gnębieni więźniowie nie mogąc dłużej ścierpieć okropnego i nieludzkiego traktowania postanowili rzucić pracę i przystąpić do strajku. Kilku próbowało uciec z budowy i przedostać się do miasta. Stąd owe strzały, które nas zbudziły.

I tak rozpoczął się na budowie strajk okupacyjny, nie do pomyślenia za władzy radzieckiej, a tym bardziej w karnym obozie pracy. Nic też dziwnego, że z ogromnym zainteresowaniem śledziliśmy przebieg akcji, wysłuchując wypowiadanych szeptem tu i ówdzie komentarzy. Wokół budowy wzmocniona została ochrona. Cały plac otoczono gęstym kordonem uzbrojonych strażników. Ze strajkującymi władze obozowe rozpoczęły widocznie pertraktacje, na miejscu bowiem podjeżdżały samochody przywożąc przedstawicieli władz obozowych. Pertraktacje te widocznie nie dawały pozytywnych rezultatów, dygni-

tarze odjeżdżali, a strajkujący pozostawali nadal na budowie. Tak przeszły trzy dni. Obozowe "naczalstwo" doskonale zdawało sobie sprawę z tego, że głód potrafi przełamać opór strajkujących. O zajściu jednak powiadomione zostały podobno wyższe władze w Krasnojarsku, czy też nawet centralne w Moskwie. Istotnie czwartego dnia strajku zjawił się na miejscu w towarzystwie kilku oficerów wysoki rangą funkcjonariusz NKWD, przyleciał, jak szeptano, samolotem z Moskwy. Długo trwały pertraktacje. Musiało dojść do porozumienia i ugody, z rusztowania bowiem zniknęły czarna flaga, a następnego dnia z rana osłabieni więźniowie zaczęli opuszczać plac budowy i piątkami ustawiać się na ulicy. Pod wyjątkowo silną eskortą strażników ruszyli w drogę, jednakże nie w stronę obozu, ale w kierunku przeciwnym, w tundrę. Podobno zapewniano ich, że idą do jakiegoś innego, mniej rygorystycznego obozu, położonego gdzieś daleko w tundrze w miejscu bliżej nie określonym. Pod wieczór strażnicy wracali bez więźniów, ci zostali w tundrze czy w innym obozie, lub może raczej na wieki...

Pamiętam to dobrze: był 5 marca 1953 roku. Podana przez radio grobowym głosem spikera doniosłą wiadomość, zelektryzowała ona wszystkich. Tego dnia o godzinie dziewiątej minut pięćdziesiąt zmarł Józef Stalin. Ludzie przystawali na ulicach, zbijali się w gromadki komentując to wydarzenie. Komsomołki w laboratorium rozmawiały szeptem. Śmierć Stalina była dla wszystkich czymś nieprawdopodobnym, czymś, w co uwierzyć niesposób. Przez tyle lat osobę tego człowieka otaczano nimbem niemal boskości, go zwano gv niezachodzącym słońcem, oceanem bez kresu, geniuszem i nadczłowiekiem, a tu nagle ten "nadczłowiek" umiera jak zwykły śmiertelnik i, o dziwo, nic się nie dzieje. Nie zaćmiewa się słońce, nie drży w posadach ziemia, nie biją pioruny... To dla bezkrytycznej masy wiernopoddańczych ludzi radzieckich było naprawę niewiarygodne. Śmierć Stalina i dla mnie stała się do pewnego

stopnia wstrząsem. To wszystko, czym ludzie tam żyli, związane było z jego imieniem i mnie więc trudno było uwierzyć, by człowiek ten mógł przestać istnieć. W ciągu lat mego więzienia w tym kraju przywykłem imię to słyszeć zawsze i wszędzie, twarz tę uwiecznioną na portretach miałem wiecznie przed oczami. Zżyłem się z tym przeświadczeniem, że wszystko, co się w tym ogromnym kraju dzieje, jest wynikiem jego woli i nagle - ma go nie być, ma zbraknąć impulsu, którym, jak głoszono, żył olbrzymi Kraj Rad. To nawet mnie, więźniowi w tym kraju, wydawało się nieprawdopodobne. A jednak umarł człowiek, z którego imieniem związana będzie wielka i brzemienna w następstwa era w historii państwa, którego obywatele od wieków przywykli bałwochwalczo giąć karki przed carem, mniejsza z tym, jakim: białym czy czerwonym...

A tymczasem wszędzie prześcigano się wzajemnie, by możliwie najokazalej urządzać obchody żałobne. Żałobne mityngi odbywały się na placach publicznych, żałobne obchody urządzano w klubach, świetlicach i przedsiębiorstwach. Odpowiednią uroczystość wypadło nam również zorganizować w laboratorium. Zaszczyt przygotowania żałobnej dekoracji mnie przypadł w udziale. Na miejsce obchodu wybrałem więc przestronny korytarz łączący wszystkie sale laboratoryjne. Stolarzowi z zakładu poleciłem zbić niewielkie podium, umieściłem je pod ścianą, a na nim postawiłem stół, który okryłem czerwonym suknem. Ścianę zawiesiłem grubym suknem czarnym, które służyło mi jako zasłona w ciemni. Na suknie zawiesiłem wielkich rozmiarów portret zmarłego, po obu stronach portretu postawiłem dwa naprędce przez stolarzy sklecone świeczniki, w nich zamiast świec znajdowały się żarówki lekko przysłonięte czarną krepą. Dekoracja przypominała ołtarz, no i słusznie, wznoszona przecież była dla uczczenia półboga. Że może była zbyt pretensjonalna i naiwna - nikomu to nawet nie przyszło do głowy. Według gustów tych,

dla których została urządzona, uchodziła za doskonałą. Od "naczalnika" laboratorium otrzymałem słowa uznania i nawet nagrodę. Zrozpaczone po śmierci "ojca narodu" komsomołki, chlipiąc i popłakując, długo przed ołtarzem wystawały, a nawet na jego stopniach klękały, tyle, że się w trzykrotnym pokłonie nie żegnały trzema palcami jak ich matki i babki przed ikonami w rogach mieszkań.

Wśród zwolnionych z obozu więźniów, teraz zamieszkałych w Norylsku, było bardzo wielu Rusinów z naszych Ziem Wschodnich, szczególnie z Wołynia i Polesia. Ci trzymali się razem, starając się grupować w jednych przedsiębiorstwach, zamieszkiwać wspólnie w jednych domach. Nie skrywali się ze swymi przekonaniami religijnymi. Kiedyś przyszło im urządzić pogrzeb, umarł któryś z ich współrodaków. Orszak z trumną zmarłego musiał przejść przez cały rozległy kombinat, cmentarz bowiem znajdował się daleko poza nim, w tundrze. Początkowo cmentarz znajdował się w samym centrum kombinATUś Założono go wtedy, gdy przystępowano do budowy kombinatu i gdy pierwsi jego budowniczowie, przeważnie więźniowie, w prymitywnych wówczas warunkach, zabijani surowym, północnym klimatem, masowo umierali. Ten pierwszy cmentarz położony był na zboczu stromej góry, u której stóp przepływał bystry strumień. Kombinat rozbudowywał się gwałtownie; na wzgórzu stanął gmach jakiegoś przedsiębiorstwa. Buldożery zryły pobocza wyrzucając na wierzch szkielety. Cóż było z nimi robić? Nie było czasu na sprawianie im ponownego pogrzebu czy przenoszenia na inne miejsce, ot, po prostu wraz ze zwałami zlodowaciałej ziemi spychano je do strumienia, a tam już bystra woda unosiła je w nieznane. Cmentarz jednak był potrzebny, ale teraz przewidujące władze miasta i kombinatu urządziły go daleko w tundrze z tym wyrachowaniem, że miasto nie-

rychło tam dotrze.

Na tym nowym cmentarzu chowano więc teraz zmarłych mieszkańców Norylska. Ze względu na odległość, trumny ze zwłokami, jak również osoby, biorące udział w pogrzebie, odwożono przeważnie na cmentarz samochodami. Rusini jednakże postanowili swego zmarłego grzebać tradycyjnie i uroczyście. Uformowali wielki kondukt pogrzebowy. Na czele, widok w Norylsku nie spotykany, niesiono krzyż wielkich rozmiarów, za którym postępował chór mężczyzn śpiewających pieśni religijne.Za chórem niesiona była trumna, a za nią postępowali w szeregach, bardzo licznie zgromadzeni, żałobni goście. Dla norylczan było to widowisko niezwykłe, nic też dziwnego, że przystawali oni na chodnikach obserwując pochód i komentując żałobną uroczystość.

Największe skupisko Rusinów znajdowało się na Górze Szmidta, gdzie zatrudnieni byli w znajdującej się tam odkrywkowej koppalni węgla oraz koksowni. Kiedyś zostałem do nich zaproszony na jakąś uroczystość. Z nieodłącznym więc teraz aparatem fotograficznym udałem się na Górę. Z Norylska trzeba tam było jechać autobusem. Nie zapomnę tej jazdy. Wyboistą, nie wygładzoną jeszcze drogą, autobus piął się pod górę pokonując karkołomne zakręty, zawisając niemal nad przepaściami. Że na takiej drodze i w takich warunkach nie zdarzały się wypadki, zawdzięczać to należało sprawności kierowców, ich sumienności i dokładnemu opanowaniu terenu.

W jednym z wielkich budynków mieszkalnych na Górze Szmidta, do którego mnie wprowadzono, wzdłuż obszernej sali ustawiono stoły. Na stołach zaś to wszystko, co w norylskich warunkach dostać można było do jedzenia. Przy szczytowej ścianie sali ustawiony był ołtarz. Znalazł się na nim jakiś obrazek, nie wiadomo

skąd i jak zdobyty. Gustownie wykonany drewniany krzyż oraz poumieszczane w jakichś naczyniach świece. Rozpoczęła się Msza św., którą odprawiał zwolniony niedawno z łagru ksiądz greckokatolicki. Pierwszy raz byłem na Mszy św. odprawianej w tym obrządku, stąd też mniej z pobożności, a raczej z ciekawości pilnie wszystko obserwowałem. Ksiądz w ciemnym ubraniu, za całą szatę liturgiczną miał przewieszoną stułę, którą kobiety, byłe więźniarki, zdążyły już misternie wykonać. Do Mszy, jako ministrant, służył młody Rusin. Naczynia liturgiczne, bardzo małych rozmiarów, sporządzone były z lśniącego, starannie wypolerowanego metalu. W czasie nabożeństwa zgromadzeni śpiewali półgłosem, bardzo jednak harmonijnie, swoje religijne pieśni. Udało mi się zrobić w czasie nabożeństwa kilka zdjęć, które stały się dla mnie trwałą pamiątką i świadectwem tej, iście katakumbowej, Najświętszej Ofiary, przypominającej czasy pierwszych chrześcijan, Najświętszej Ofiary - pierwszej i chyba jedynej na Górze Szmidta w Norylsku. Tak więc ofiara Mszy św. wbrew intencjom prześladowców docierała na daleką Północ, aż za Krąg Polarny, krzepiąc serca nieszczęsnych wygnańców. Odprawiał je w laboratorium, jeszcze w czasie pobytu w obozie, ksiądz rzymsko-katolicki, odprawiał jó teraz już na wolności kapłan obrządku greckokatolickiego. Płomienia wiary w Boga nie potrafiły zagasić obozowe udręki, nie zdołały zmrozić lody dalekiej Północy...

W Norylsku nawiązałem już dość szerokie kontakty towarzyskie. Bywałem w domach sympatycznych, kulturalnych Rosjan, którzy przeważnie osiedlali się w tym mieście po odbyciu kary obozu. Poza sympatycznym domem rodziny, która się później

przeniosła do Ałma-Aty, byłem stałym gościem mego, przyjaciela jeszcze z obozu, Łotysza, mistrza od wyrobu luster, który oswobodziwszy się przede mną, zdążył się już ożenić i urządzić sobie wygodne dość ładne mieszkanie. Szczęśliwy traf zetknął mnie z zawodowym fotografem zatrudnionym w jednym z przedsiębiorstw norylskiego kombinatu. Jakoś przypadliśmy sobie do gustu i gdy fotograf z rodziną wyjeżdżał na trzymiesięczny urlop do Moskwy, poprosił mnie, bym zaopiekował się jego mieszkaniem i zamieszkał u niego. Propozycję przyjąłem z ochotą i tak zamieszkałem u fotografa na stałe. Zyskałem sobie również i sympatię jego żony, a nawet teściowej, toteż gdy rodzina z urlopu powróciła, zaproponowano mi, bym pozostał u nich. Mieszkanie było obszerne i doskonale wszyscy w nim mieściliśmy się. Od gospodarzy dostałem solidne łóżko, w znajomej stolarni zrobiono mi zgrabne biureczko i tak zacząłem mieszkać "kak kulturnyj czełowiek", urządzając sobie życie w miarę możliwości kulturalnie i wygodnie.

Wokoło, wszędzie na poboczach głównych ulic, na kawałkach pustych placów, wznosiły się gęsto t.z. „bałki". Były to sklecone w przeróżny sposób i z czegokolwiek domki mieszkalne dowolnych kształtów, budowane chaotycznie, we własnym zakresie przez pracowników kombinatu. Częstokroć "bałki" kryły w sobie dość obszerne i solidnie urządzone mieszkania. Każdy "bałok", wobec panoszącego się w Norylsku okropnego złodziejstwa, stanowił istną twierdzę, zaopatrzoną w szereg przemyślnych zamków i obwarowań. W tych "bałkach" bywałem często, zapraszany tam w gościnę przez ich właścicieli przy różnych okazjach. Już pod koniec mego pobytu w Norylsku w dniu święta Paschy, prawosławnej Wielkanocy, goszcząc w jednym z "bałków" wyszedłem nieopatrznie z ciepłego pomieszczenia na dwór bez należytej osłony na nos

i uszy. Wystarczyła chwila, bym na panującym w tym dniu potwornym mrozie i wichurze porządnie odmroził nos i uszy. Zagoiło się to co prawda wkrótce, nos jednak zachował czerwień z odmrożenia do dziś, wzbudzając u tych, którzy na mnie patrzą, a nie znają mojej przeszłości, uzasadnione przeświadczenie, że jestem solidnym pijakiem.

Na jednym z odbywających się w którymś z "bałków" wesel, na które zostałem zaproszony, poznałem, a wkrótce zaprzyjaźniłem się z młodym Ukraińcem, który właśnie powrócił z wojska. Przez niego trafiłem do jego rodziny zamieszkałej również w solidnym "bałku" daleko poza Norylskiem. Jakoś zawsze miałem szczęście do ludzi. Rodzice i siostra mojego nowego przyjaciela szczerze mnie polubili. Stałem się częstym gościem w ich domu, a gdy się nieraz wieczorem zasiedziałem, musiałem tam zostawać na noc, powrót bowiem późnym wieczorem bądź nocą przez te wertepy oddalone od miasta był ryzykowny i bardzo niebezpieczny.

Moi nowi znajomi Ukraińcy mieli wspaniałego psa, syberyjskiego wilczura, zadziwiająco mądrą sukę, rozumiejącą każde słowo i gest swego młodego pana. Akurat w tym czasie suka oszczeniła się. Wyprosiłem jednego szczeniaka, najokazalszego z całej urodzonej trójki. Mój gospodarz fotograf ogromnie się z nabytku ucieszył. Toteż z całym zapałem wziął na siebie obowiązki opieki nad szczeniakiem, o którego, przyznam szczerze, niejednokrotnie stawałem się zazdrosny. Szczeniak jednak darzył nas obu jednakową sympatią. Rósł zadziwiająco szybko. Wyszykowana mu w przedpokoju buda, z jakiegoś starego pudła, rychło okazała się za ciasna i pies mieszkał w przedpokoju sypiając na specjalnie przygotowanym wygodnym posłaniu. Wykazywał niezwykłą siłę. Zaczęliśmy zaprzęgać go do specjalnie sporządzonych sanek których uciągnięcie wraz ze mną było dla niego igraszką.

Jak matka, tak i on wykazywał niezwykłą inteligencję. W lot pojmował każde słowo i prawie potrafił odczytywać nasze myśli. Zjadał, co mu się dawało, ale nie narzucał się nigdy. Ulubionym jego zajęciem było siadanie w otwartych drzwiach pokoju i uważne przyglądanie się nam, gdy spożywaliśmy posiłki. Lubił ogromnie cukierki i nauczył się je od nas wyłudzać. Brał zręcznie w zęby za brzeg, metalową miskę, w której dostawał posiłki, wchodził z nią do pokoju, siadał przy nas i czekał. Gdy rzuciło się mu cukierka do miski, szedł na swoje miejsce, zręcznie odwijał go z papierka i zjadał, po czym znów z miską wędrował do nas do pokoju. Bawiło to szczególnie gości, których mieliśmy często, oni też nie żałowali psu cukierków.

Przyjaciel mój fotograf, lubił myślistwo i często chodził z flintą w tundrę polować na kaczki. Ja nie lubiłem polowań, ale również chętnie wychodziłem na te długie i ciekawe spacery po tundrze. Teraz Reks, takie bowiem miano nosił nasz ulubieniec, stał się naszym nieodłącznym towarzyszem w długich włóczęgach. Ale gdy mój przyjaciel podkradając się do kaczek oddalał się, pies skowyczał z rozpaczy i nie chciał w miejscu usiedzieć. On panów swoich nie widział pojedyńczo, dla niego my obaj razem stanowiliśmy dopiero nierozdzielną całość. Wskutek takiego zachowania się psa polowanie przeważnie nie dawało żadnego rezultatu, z czego ja byłem ogromnie zadowolony, nie znosiłem bowiem odbierania życia żadnej istocie dla własnej rozrywki i przyjemności. Reks wpadał w rozpacz, gdy wracając z tundry szliśmy nieraz różnymi oddalonymi od siebie ścieżkami. Pies w takich razach szalał. Piszcząc niemiłosiernie biegał bez przerwy od jednego z nas do drugiego, często chwytał zębami za nogi usiłując nas połączyć. Uspokajał się dopiero wówczas gdy schodziliśmy się znów. Wówczas biegł spokojnie przy nas wymachując ogonem i

poszczekując radośnie.

Niestety, wierny Reks zginął tragicznie. Kiedyś gdy wyszedłem z nim na podwórze, spuściłem go nieopatrznie ze smyczy. Po drugiej stronie jezdni zauważył on psa. Puścił się ku niemu i wpadł pod przejeżdzający motocykl. Uderzony w bok zginął na miejscu. Z ogromnym wysiłkiem ściągnąłem zwłoki jego z ulicy. Rozkochany w Reksie fotograf na wiadomość o jego śmierci wpadł w rozpacz. Płakał i szlochał jak po stracie kogoś najbliższego. Potem wziął kilof i łopatę i poszedł kopać psu mogiłę w wiecznej zmarzlinie. Zarzucił go sobie na plecy i uginając się pod ciężarem poniósł do jamy. Nie chciał abym mu towarzyszył. Chciał być sam na sam z przyjacielem, z którym rozstawał się na zawsze. Długo, długo z tego "pogrzebu" nie wracał. Długo żegnał się ze swoim ulubieńcem. Gdy wrócił, nic do mnie nie mówił. Z zachowania się jego wnioskowałem, że ma do mnie ogromny żal za to, co się stało. Wielki portret Reksa, podobiznę którego i ja mam do dzisiaj, zawiesił w swoim pokoju. Traktował psa jak najbliższą sobie istotę. Reks był i dla mnie bardzo ważny, potrafiłem jednak z większym dystansem ustosunkować się do jego śmierci. I tak w zlodowaciałej ziemi dalekiej Północy spoczywają na zawsze szczątki wiernego przyjaciela, poczciwego, mądrego syberyjskiego wilczura.

Dziwnie czasami się w życiu układa. Bywają nieprawdopodobne wydarzenia, trafiają się sytuacje w których jedna staje się odwrotnością drugiej. Teraz właśnie w takiej sytuacji znalazłem się. W ostatnich latach pobytu w obozie należałem już do więźniów uprzywilejowanych. Nie wychodziłem do pracy jak wszyscy pod konwojem, ale miałem przepustkę, dzięki której mogłem z obozu wychodzić pojedyńczo w dowolnym czasie i również w dowolnym czasie powracać. Wystarczyło okazać wartowni przepustkę i już

miało się przejście wolne. Enkawudzistą, którego widziałem najczęściej na wartowni i któremu okazywałem przepustkę był wysoki, dorodny młodzieniec o wyjątkowo sympatycznej twarzy, zawsze przychylnie uśmiechającej się do mnie. Kiedyś, gdy jeszcze chodziłem pod konwojem i jednym z konwojentów był ów enkawudzista, stawał się bardziej surowy, o sztywnej, służbowej postawie. Tu siedząc w okienku wartowni i mając przed sobą więźnia uprzywilejowanego, potrafił być bardziej sobą, uchylał maski i potrafił pokazać nieco ludzkiego oblicza. Teraz na wolności, przechodząc jedną z bardziej ruchliwych ulic miasta, natknąłem się na owego enkawudzistę. Poznał mnie, ukłonił się grzecznie i serdecznym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. Porozmawialiśmy chwilę, po czym zaprosiłem enkawudzistę do siebie. Rozporządzałem teraz mieszkaniem. Moi gospodarze przez cały dzień byli w pracy, tak, że mogłem moich gości przyjmować swobodnie. Enkawudzista zjawił się u mnie nazajutrz. Na stole czekała już butelczyna wódki i jakieś zakąski. Potoczyła się serdeczna rozmowa i enkawudzista szczerze zwierzał się w sposób typowy dla wylewnej, rosyjskiej natury.

Pochodził gdzieś znad Wołgi. "Ojciec mój - opowiadał - też siedzi gdzieś w obozie i ktoś tam za nim również chodzi z karabinem jak ja tutaj za wami. Zabrali mnie do wojska, a ponieważ jestem rosły i silny, wcielili do wojsk NKWD. Ot i teraz, chcę czy nie chcę, muszę tę cholerną służbę spełniać, choć w duszy jest mi nieraz bardzo ciężko i tak jakoś odmiennie. A w domu została samotna, biedna stara matka..." Umilkł, pociągnął łyk wódki i mgła smutku, przysłoniła mu oczy.

Sytuacja, w jakich z młodym enkawudzistą spotkałem się stały się teraz krańcowo różne: ten, który kiedyś trzegł mnie z karabinem przewieszonym przez ramię dziś stał się moim wypróbowanym przyjacielem i u mnie szukał duchowego wsparcia.

Enkawudzista zachodził do mnie jeszcze kilka razy. W trakcie tych odwiedzin, w toku wzajemnych zwierzeń i wynurzeń, zdołałem poznać tę prostą, jednak piękną i w gruncie rzeczy szlachetną duszę. Tak ludzie z natury są dobrzy, złymi czynią ich rządy i polityka...

Coraz częściej przyjmowałem teraz u siebie gości i sam coraz częściej byłem zapraszany do różnych domów. Między innymi poznałem rodzinę litewską osiadłą w Norylsku, której "głowa" tutaj odbywała karę obozu. Mile schodziły nam w tym domu wieczory. Snuliśmy wówczas wspomnienia z Litwy. Mówiliśmy dużo o znanych miejscowościach, szczególnie o tak zawsze mi bliskim i drogim Wilnie. Jedynym synem był zawsze uśmiechnięty, niezwykle żywy, dwudziestoletni młodzieniec. Przy całej swej urodzie i sprawności był niestety kaleką. Pozbawiony był stóp. Chodził na dwóch kikutach zaopatrzonych w jakieś ochraniacze, coś w rodzaju specjalnego obuwia z grubej skóry. Dziwna, nieprawdopodobna i tragiczna była historia kalectwa owego młodzieńca stąd też warto ją opowiedzieć.

Gdy jego ojciec przed kilku laty wyszedł z obozu i osiedlił się w Norylsku, przybył tu wraz z matką. Ciekawiło go wszystko. Szczególnie pociągała tajemnicza i bezkresna tundra. Kiedyś poznał trzech osobników, którzy pozyskali jego zaufanie. Opowiedzieli mu że są namiętnymi turystami i właśnie szykują daleką wycieczkę w tundrę. Zaproponowali mu w niej udział, z tym, że miał się zdecydować natychmiast i nikomu o niczym nie mówić. Niedoświadczony chłopak uwierzył. Zabrał z domu nieco jadła i, niezbyt odpowiedn

ubrany, stawił się na umówionym miejscu.

W owym czasie zdarzały się w Norylsku ucieczki z więzień i obozów przestępców tak kryminalnych, jak i politycznych, którzy zdecydowani na wszystko, w najcięższe nieraz mrozy szli w tundrę i wędrowali w sobie tylko znanych kierunkach, po nadludzkich wysiłkach docierając gdzieś, gdzie czuli się wolni i bezpieczni, lub też w tundrze gdzieś przepadali. Takie wędrówki trwały nieraz tygodniami i miesiącami. Uciekinierzy w bezkresach tundry marli z głodu, nic też dziwnego, że,jak powszechnie utrzymywano, szerzyło się wśród nich ludożerstwo. Zwykle w jakiejś do cna już wygłodzonej gromadzie uciekinierów jeden z jej uczetników padał ofiarą, stając się żerem dla pozostałych. Wypadki ludożerstwa być może w tych wojennych czasach ogólnego niedostatku i głodu zdarzały się nie tylko w tundrze wśród uciekinierów. Ogólnie przebąkiwano w Norylsku, że kiedyś na bazarze stwierdzono, iż sprzedawane tam pierożki mięsne sporządzane były z mięsa ludzkiego. Oczywiście nie notuję tego jako faktu, a jedynie jako krążące pogłoski, jednak prawdopodobne.

Być może słyszał o tym i młody Litwin tak nieopatrznie wypuszczający się w tundrę z nie znanymi sobie osobnikami. Rychło w głowie jego kiełkować zaczęły potworne podejrzenia. Towarzysze jego nie myśleli zawracać, mimo, że zapasy zabranej żywności kończyły się. Zaczął więc bacznie obserwować współuczestników eskapady. Ich spojrzenia rzucane w jego stronę wydały mu się podejrzane, a nawet go wręcz przerażały. Postanowił więc od grupy się odłączyć i próbować ucieczki. Wyczekiwał teraz odpowiedniej okazji, wciąż mając się na baczności. Nocami zwykle nie usypiali wszyscy, jeden zawsze czuwał, bacząc pilnie. by odpoczywający towarzysze nie pomarzli we śnie. Którejś nocy

zdarzyło się, że zasnął i wartownik, skorzystał z tego chłopak i cichaczem oddalił się z legowiska. Uciekał w nieznaną dal, byle z powrotem, z powrotem, byle jak najszybciej oddalić się od trójki włóczęgów czy uciekinierów. Utwierdził się teraz w przekonaniu, że miał być dla nich żywym prowiantem. Tak błądząc wśród nocy długo w tundrze, pokonując zaspy śnieżne i opierając się wichrom, natknął się wreszcie szczęśliwie na jakiś obóz myszkujących po tundrze geologów. Z nimi wrócił do Norylska, stopy jednak miał całkowicie odmrożone, tak że wynikła konieczność amputacji.

Tak mi opowiadał młody Litwin. Ile w tym było fantazji, a ile prawdy, trudno mi jest orzec, w każdym razie stopy miał amputowane, a o jego wypadzie w tundrę opowiadali mi również rodzice.

Bandytyzm w Norylsku nie ustawał, a przeciwnie, coraz bardziej szerzył się. Nikt na ulicach, szczególnie mniej ludnych, w porze wieczorowej nie był nigdy pewien tego, czy nie zostanie gdzieś napadnięty, ograbiony z pieniędzy, lepszego ubrania, czy też nawet nie zostanie narażony na utratę życia. I mnie nie udało się tego uniknąć i na mnie przyszła kolej.

Zachorowałem fatalnie na nerki. Potworne bóle chwyciły mnie w laboratorium z rana przy pracy. Sanitarna opieka czy też karetka do wożenia chorych wówczas w naszym zakładzie nie istniały. Z ogromnym trudem dotarłem wreszcie do miejskiego ambulatorium i zgłosiłem się do lekarza specjalisty. Tu z miejsca poddany zostałem prześwietleniu. Pierwszy raz zetknąłem się z tego rodzaju metodą prześwietlenia. Do cewki moczowej, lekarz wprowadził miniaturową lampkę, po czym przez specjalny wziernik

poddawszy nerki oględzinom, stwierdził, że istotnie jest tam niewielkich rozmiarów kamyk, ale znajduje się on już raczej u wyjścia. Zalecił mi dużo ruchu i używanie ciepłych kąpieli, zapewniając, że kamyk sam wyjdzie.

O jakim ruchu może tu być mowa - pomyślałem sobie - skoro skręcał mnie ból, tak że w ogóle ruszać się nie mogę. Dostałem jednak jakieś lekarstwo, po którego zażyciu ból złagodniał tak, że bez większego trudu mogłem dość do domu.

Wieczorem wybraliśmy się z gospodynią, teściową mego przyjaciela, do teatru położonego na drugim końcu miasta. Grali jakąś sztukę Czechowa. Po skończonym spektaklu autobusem komunikacji miejskiej wracaliśmy do domu. Przystanek autobusowy znajdował się akurat na wprost domu, po drugiej stronie ulicy. Zaledwie weszliśmy do sieni i gospodyni powiedziała: "No, chwała Bogu wróciliśmy szczęśliwie", z kąta za schodami prowadzącymi na piętro wyłazł jakiś drab z ogromnym nożem w ręce, który przystawił mi do piersi. Gospodyni z krzykiem rzuciła się przez sień ku drzwiom prowadzącym na podwórze. Tam zastąpił jej drogę drugi bandyta, który zmusiwszy ją do milczenia począł obszukiwać jej kieszenie szukając pieniędzy. Tymczasem bandyta, który mną "zaopiekował się", kazał mi również wyjść na podwórze, tam ustawił mnie pod ścianą i trzymając nóż wciąż przytknięty do piersi zażądał wydania pieniędzy. W dwóch kieszeniach marynarki miałem dwie odłożone kwoty w papierowych banknotach:jedną większą na życie na cały miesiąc, drugą znacznie mniejszą na opłacenie mieszkania. Nie wiedząc, jaka suma w której jest kieszeni sięgnąłem pośpiesznie i, niestety, wyjąłem sumę większą, którą posłusznie wręczyłem bandycie. Ten już mnie nie obszukiwał,

ściągnął mi jedynie z rąk porządne skórzane rękawice, które niedawno kupiłem, i kazał mi oddalić się natychmiast. Rad, że tylko na tym się skończyło i uchodzę cały, uskoczyłem za róg domu i wypadłem na ulicę. W odległości około trzystu metrów od miejsca,w którym mnie napadnięto, znajdowało się jakieś przedsiębiorstwo. Co sił w nogach biegłem tam nie oglądając się za siebie, aby zatelefonować na milicję. Nie lada wysiłku trzeba było, aby biec w ciężkim palcie i w grubych, wojłokowych walonkach. Dopadłem jednak telefonu, zadzwoniłem. Milicja wkrótce istotnie przybyła, po bandytach jednak naturalnie już i śladu nie zostało. Gdy wszedłem do mieszkania, znajdowała się już tam całkowicie uspokojona gospodyni. Pieniędzy przy sobie nie miała, zabrano jej więc jedynie porządną futrzaną mufkę. Napad bandycki miał jednak dla mnie skutek błogosławiony. Zmusił mnie do wykonania zalecenia lekarza w sprawie zażywania ruchu. Nastraszony przez bandytę, biegnąc do telefonu, zażyłem tego ruchu aż nadto. Ruch ten widocznie był skuteczny, ból w nerkach bowiem ustał jakby ręką odjął. Z całej tej zastosowanej przez bandytę kuracji, dobrze potem uśmieliśmy się. Zbir, który mnie napadł, musiał widocznie stale kręcić się gdzieś w pobliżu, na drugi dzień spotkałem go na ulicy. Udałem, że go nie dostrzegam, dać mu się bowiem poznać, a , co gorsza, wskazać go milicji znaczyło to narazić się na krwawą zemstę jego kompanów, zemstę kończącą się często śmiercią.

Jeśli już mowa o bandytyźmie w Norylsku, opowiedzieć warto jeszcze taki autentyczny wypadek: pewna zatrudniona w naszym przedsiębiorstwie kobieta wracając kiedyś wieczorem z pracy została napadnięta i ograbiona z całej wypłaty, którą

w tym dniu otrzymała. Gdy szła dalej płacząc podeszło do niej dwóch mężczyzn, którzy przedstawiwszy się jako funkcjonariusze milicji zapytali o powód płaczu. Otrzymawszy odpowiedź zapytali z kolei, czy poznałaby napastnika. Naturalnie, skwapliwie odpowiedziała kobieta. W tym momencie jeden z mężczyzn przytrzymał jej głowę, a drugi ciął przez oczy żyletką. Nieszczęśliwa już nigdy bandyty nie pozna. Jeśli nie całkowicie stracony to będzie miała w poważnym stopniu uszkodzony wzrok. Bandyci w Norylsku nie przebierali w środkach.

Mój gospodarz, podobnie jak i ja, namiętnie lubił wypady w tundrę i długie włóczęgi. Gdy więc tylko czas na to pozwalał, wypuszczaliśmy się daleko błądząc po niej godzinami, podziwiając jej urok, surowe, milczące piękno północnej przyrody. Gdy w tundrze leżał śnieg, brodziliśmy w nim zapadając się nieraz po pas i zostawiając za sobą głębokie ślady. Chodziliśmy po tundrze niemal w nabożnym skupieniu, prawie nie odzywając się do siebie. Kto poznał tę krainę, zostaje nią urzeczony na zawsze i wiecznie będzie za nią tęsknił... Oczarowani niesamowitym urokiem Północy, szli tam wielcy odkrywcy, podróżnicy i badacze penetrując jej tajniki w jej lodach częstokroć zostawiając swoje kości. Północ nie wabi odgłosami życia, nie wabi śpiewem ptaków, szumem drzew, rykiem zwierzyny. Północ milczy. Ale w tym milczeniu jest wołanie wieczności.

Brodzić po tundrze w śniegu można było dowoli, śnieg tam bowiem leżał niemal do połowy czerwca. W tym czasie nie było już silnych mrozów, nie szalały "purgi" - łażenie więc po śnieżnych bezkresach było prawdziwą przyjemnością.

O ile jednak tundra piękną była zimą, to o ileż piękniejszą

stawała się w okresie krótkiego, północnego lata. W tym niespełna dwumiesięcznym lecie tundra jak gdyby stawała się okazać całą swoją krasę. Zakwitały i jaskrawą barwą pyszniły się wszelkiego rodzaju kwiaty, śpiesząc się, by wydać owoce i nasiona. Przestrzeń wypełniała się gwarem ptactwa, które przybywa z dalekich stron na Północ, aby zakosztować w tundrze nieograniczonej swobody i spędzić tu krótkie, pełne jednak trosk i zabiegów lato.

Aby jednak w pełni można było zaobserwować rozwijające się w tundrze w lecie bujne życie należało robić w nią dalekie nieraz wypady. Wszystko, co żyło, poczynało bowiem stronić od miejsc naruszonych przez człowieka, od jego osiedli oraz hałaśliwych i zadymionych obiektów przemysłowych. W tundrze brak jest wyraźnej granicy rozdzielającej zimę i lato. Okres wiosny właściwie tu nie istnieje. Za początek lata przyjąć należy zniknięcie śniegu, po którym natychmiast wyrasta bujna roślinność i budzi się bogate życie biologiczne. Wszystko, co żyje, śpieszy się, by wykorzystać krótki okres ciepła i światła, by wyprowadzić i wykarmić potomstwo, nim nastaną mrozy i długie noce.

Szczególnie czarowne są w tundrze godziny nocne, w których przyroda pogrąża się w ciemności. Tu przez całą dobę świeci blade, północne słońce. Jakimś niepojętym majestatem wieje wówczas od tundry, która zdaje się wołać do człowieka: "Spójrz, nawet słońce zatrzymać jestem zdolna!" W takie noce tundra przytłacza człowieka ogromem swego majestatu, spokoju i ciszy.

Kiedyś o takiej urzekającej letniej porze entuzjasta włóczęgi, mój przyjaciel fotograf, zaproponował mi dłuższą wycieczkę w bezkresy tundry. Mieliśmy dni wolne od pracy, a więc dużo wolnego czasu na włóczęgę. W normalnych warunkach, byśmy

powiedzieli, że wyruszyliśmy na wycieczkę dwudniową, jednak w tym czasie dzień trwał bez przerwy, można więc było chyba czas naszej wycieczki obliczać nie według dni, a według godzin. Zabraliśmy do chlebaków odpowiedni zapas żywności, aparaty fotograficzne, wiernego Reksa - było to bowiem jeszcze przed jego tragicznym zgonem - i wyruszyliśmy w drogę.

Była piękna słoneczna noc, gdy wychodziliśmy z domu. Olbrzymia kula kapiącego złotem słońca zawisła na niebie, niezachodząca i nieutrudzona. Nie wzbijała się łukiem do góry, ale olbrzymim kołem opasywała widnokrąg, tocząc się niemal po ziemi. W długich, sięgających poza kolana butach gumowych, z siatką przeciw komarom na głowach, z wiernym wilczurem u nogi opuściliśmy miasto i zagubiliśmy się w bezkresie tundry, ginącej gdzieś u brzegów Oceanu Lodowatego.

Znaleźliśmy się jakby w zaczarowanym królestwie bajki. Wszystko trwa uśpione, a jest przecież dzień. Tundra w złocistej i sennej nieco poświacie słonecznej trwa w bezruchu nakryta sklepieniem jasnego nieba. Słońce niestrudzenie przez całą dobę oświeca ziemię, pragnie jak gdyby nacieszyć sobą te przestrzenie, które wkrótce, po bardzo krótkim lecie, okryją się czarnym mrokiem długomiesięcznej nocy polarnej.

Idziemy przez nizinne, bujnie ukwiecone i podmokłe obszary. Wśród zieleni szukam podobieństwa z tym, co jest mi znajome z kraju. Oto widzę przed sobą drobne listki brzozy, która osiąga tu wielkość naszych kwiatów doniczkowych. Oto trafiający się tu i ówdzie modrzew, który sięga mi nieco powyżej pasa. U stóp moich

już zielenieją tak dobrze mi znane z lasów ojczystych mięsiste kulki borówek, które za kilka dni pokryją się dojrzałą czerwienią. Tundra połyskuje bogactwem barw północnego kwiecia, szkli się tu i ówdzie taflami ciemnych, milczących i tajemniczych jezior. Jest gorąco. Temperatura przekracza dwadzieścia pięć stopni ciepła. Nęcą czyste, choć z wyglądu tak bardzo ciemne, wody jezior. Probujemy się kąpać. Kąpiel jest wielce orzeźwiająca, ale w wodzie wytrwać można tylko pływając na rozgrzanej słońcem powierzchni. Gdy tylko ciało zanurza się głębiej i opuszcza w dół nogi, natrafia się na lodowate zimno. Wody jezior umiejscowione są w gruncie wiecznie przemarzniętym i zlodowaciałym. Powstała z topnienia śniegów woda w grunt tak szybko nie może wsiąkać, stąd w tundrze mnogość jezior i bajor i to bogactwo bujnej, choć karłowatej roślinności.

Obfitość wilgoci sprzyja niebywałemu rozmnażaniu się komarów. Miejscami tworzą one zwartą, gęstą chmurę pokrywającą całe połacie terenu. Są wielkie, ciężkie i niezmiernie zjadliwe. Brzęczą głośno, monotonnie i natarczywie dobierając się do ciała, wpadają za kołnierze, pod ubrania, pod siatki ochronne, do oczu, ust i nosa. Ukąszenie ich jest bolesne i pali niby ogień. Nadrabiamy kroku, by co rychlej minąć tę żywą, brzęczącą zaporę. Najnieszczęśliwszy jest w tej sytuacji nasz poczciwy Reks wystawiony bez żadnej osłony na ataki chciwych krwi owadów. Rzuca się i tarza, wyciera pysk o trawę, by się od natrętów uwolnić. Komary tworzą prawdziwe chmury, przez które z trudem przebijamy się.

Gorszy jeszcze od komarów i bardziej dokuczliwy jest drobny owad zwany tutaj "moszka". Te ledwo dostrzegalnej wielkości owady tworzą miejscami istne lawiny, przez które ciężko przebijać się. Nie pomagają żadne osłony ni siatki. "Moszka" wdziera się

wszędzie, Pochyliwszy głowy spieszymy przed siebie tak szybko jak tylko możemy, ale "moszki" mamy pełne gardła, uszy i nosy. Wreszcie jakoś mijamy te żywe zapory, zostawiamy za sobą mokradła i rozlewiska. Niknie obfitość zieleni, pojawiają się piaszczyste wzniesienia. Przed nami inna osobliwość Półwyspu Tajmyrskiego: w sercu tundry - arktyczna pustynia. Te pustynie arktyczne są zjawiskiem występującym jedynie w północnych częściach półwyspu i zajmują - jak mi objaśniał mój towarzysz - niemal trzy czwarte obszaru całej tundry. Znużeni, pokąsani przez komary, ale rozradowani i szczęśliwi, rozłożyliśmy się wreszcie wygodnie na piaszczystym wzgórzu. Tu już nie docierał ni komar, ni "moszka", mogliśmy wreszcie odpocząć spokojnie. Obok nas z wywieszonym językiem ułożył się Reks, rad widocznie również z chwili wytchnienia.

Po krótkim wypoczynku i posiłku ruszyliśmy przed siebie. Teraz stopy nasze grzęzły w suchym, pozłocistym, miałkim piasku. Przed nami rozpościerała się przestrzeń otwarta i bezkresna. W pustym horyzoncie oko wyławiało tu i ówdzie lekkie, pofałdowane wzniesienia piasków, ozłoconych przez znieruchomiałe na widnokręgu słońce. Cisza była tak ogromna, iż mi się wydawało, że słyszę szelest własnych myśli. Fantastyczne, faliste wzgórza piasków, głazy o dziwacznych kształtach, koryta wyschłych strumieni, tu i ówdzie w zacienionych nieco wgłębieniach, drobne, twardawe porosty i ubogie mchy pokrywające kamienie różnokolorowymi plazmami, oto co się teraz roztaczało przed naszymi oczami. A nad tym wszystkim ognista kula jak gdyby zamarłego słońca, pod którym zamilkło życie i czas znieruchomiał...

Byłem szczęśliwy. Błogosławiłem drogi śledztwa, więzienia i zesłania, które mnie tutaj przywiodły. Zrozumiałem, że wszechogarniające piękno przyrody jest ponad ludzką podłość i nienawiść. Żadnego śladu nienawiści we mnie nie było. Było we mnie jedno wielkie umiłowanie i nie dająca wyrazić się słowem tęsknota. Wydawało mi się, że wprost fizycznie odczuwam, jak gorącą falą wlewało mi się do serca umiłowanie tej ziemi. Dalekiej, zimnej, północnej ziemi mojego zesłania.

Przeżywałem teraz okres beztroski, radości i wewnętrznej błogości. Urzekającemu urokowi dalekiej Północy oddany byłem bez reszty. Z jednej strony radość niezachodzącego słońca zalewała duszę, z drugiej w tej słoneczności srebrnymi mgłami snuła się wciąż narastająca tęsknota za krajem. Za tamtym słońcem, tamtymi rozkwiecionymi łąkami, rzekami i polami rozszumiałymi zbożem. W tej dwoistości znajdować przecież musiałem dla siebie realne miejsce dostosowane do rzeczywistości, w której się znajdowałem. W dalszym ciągu zawierałem nowe znajomości i nowe przyjaźnie. Krąg moich znajomych i przyjaciół poszerzał się. Bywałem w różnych domach wciąż gdzie inadziej zapraszany i zawsze mile widziany. Liczne przyjaźnie zawarłem z młodzieżą sąsiadującego z naszym domem technikum mechanicznego, którego uczniowie prowadzili ze mną długie rozmowy, wysłuchując egzotycznych dla nich opowieści o dalekim kraju, z którego do nich przyszedłem.

Ten rozsłoneczniony okres mego życia na dalekiej Północy zaćmiło mi wydarzenie bolesne i smutne: śmierć mego dobrego przyjaciela Wiktora Wolskiego. Pochodził z Warszawy. Teraz, po latach, gdy kreślę te wspomnienia, trudno mi już jest oddać wiernie ówczesny stan mojej duszy i właściwymi słowami wyrazić to, co wówczas przeżywałem. Niechże więc wyręczą mnie słowa,

które przed laty, bezpośrednio po śmierci druha zanotowałem: w szczęśliwie ocalałym pamiętniku.

"Dziś grzebaliśmy nieodżałowanego naszego rodaka, mego druha i towarzysza - Wiktora Wolskiego. Jego nagła śmierć dotknęła mnie głęboko. Byliśmy w serdecznej przyjaźni. W najcięższych chwilach, jakie przeżywaliśmy był zawsze przy mnie. Wzajemnie wspieraliśmy się i śpieszyliśmy sobie z pomocą, która w warunkach ówczesnego życia stawała się nieraz konieczna.

Był to charakter kryształowy i szlachetny. Oby takich było wśród nas więcej! Dzień pogrzebu był wyjątkowo piękny i pogodny. Słońce tak uśmiechnięte, jak uśmiechniętą była zawsze twarz śp. Wiktora. Zda się na dzień pogrzebu tej zacności człowieka surowa północna natura przybrała wyjątkową miękkość i pogodę - taką, jaka cechowała drogiego zmarłego.

Na przestrzeni długich dziesiątków lat martyrologii polskiej Polak kośćmi swoimi zasiewał niezmierzone przestrzenie Sybiru. Dziś Polak poszedł jeszcze dalej i kości swoje składa w lodach dalekiej Północy, by tutaj, u stóp północnego bieguna, krzywdę naszą świadczyły one Bogu.

Ile tragizmu, ile bezbrzeżnego smutku jest w tej mogile wygnańczej wśród tundry. Grudy zlodowaciałej ziemi bijące z głuchym echem o wieko trumny biły zda się rozpaczą i w moją duszę. A trzeba było jednak trwać... trwać... O, jakże ciężko!

Żegnaj, drogi przyjacielu. Jak kiedyś naród wybrany wracając z wygnania unosił ze sobą kości swoich patryjarchów, tako i my , jeśli Bóg nam z wygnania dozwoli wrócić - poniesiemy ze sobą i Ojczyźnie przekażemy Twoje głębokie Jej umiłowanie, Twoje myśli o Niej. Tyś już z więzów niewoli się oswobodził.

Duch Twój już kołysze się wolny nad ukochaną Ojczyzną. My do niej jeszcze w tęsknocie idziemy. Czy dojdziemy? Nadzieja nas krzepi, że "kto przeżyje, wolnym będzie", ale i ten kto umarł "wolnym już...".

Któregoś dnia naczelnik laboratorium oświadczył mi, że dostaję urlop, a za rzetelną i sumienną pracę postara się o skierowanie dla mnie na wczasy do domu wypoczynkowego. Istotnie, poszedł ze mną do Rady Zakładowej, skąd po chwili wychodziłem ze skierowaniem w kieszeni. Dom wypoczynkowy, o nazwie "Tajożnyj" do którego dostałem skierowanie, znajdował się na lewym brzegu Jenisieja, w górę od portu Dudinka. Kończyła się tam już tundra, a rozpościerała się tajemnicza i roszumiała tajga. Do tego najbardziej na północ wysuniętego domu wypoczynkowego kierowani byli na wczasy ludzie pracy Norylska, ci, którzy nie korzystali z kilkumiesięcznych urlopów i nie wyjeżdżali na "matierik".

Po dłuższej podróży statkiem na który wsiedliśmy w porcie Dudinka, jakoś nad ranem wysiedliśmy w "Tajożnym". Był to kompleks pretensjonalnych drewnianych budynków piętrowych i parterowych, zbudowanych wokół pięknie utrzymanych kwiatowych gazonów. Po obozowych barakach, niezbyt wygodnych warunkach, w jakich mieszkałem w Norylsku, warunki bytu w "Tajożnym" wydały mi się niemal komfortowe. Czyste, schludne sale, wygodne łóżka, doskonałe wyżywienie czyniły pobyt w "Tajożnym" naprawdę wygodnym sprzyjającym wypoczynkowi. Miłe otoczenie, wiele atrakcji i rozrywek, bogata biblioteka, długie spacery po tajdze, urzekające widoki Jenisjeja, na który patrzało się z wysokiego, urwistego, brzegu to wszystko wypełniało nam czas, sprzyjało regeneracji sił tak fizycznych, jak i duchowych.

Kiedyś z domu wypoczynkowego, spacerując z zamiłowaniem

po okolicy, zrobiłem wypad do odległej o dwa kilometry wsi Atamanowo. Położona na wysokim brzegu Jenisieja była to typowa wieś syberyjska. Zabudowana przy jednej długiej ulicy, z drewnianymi, kwadratowymi domami, w których okna zdobione były pięknymi, wycinanymi z drewna koronkowymi obramowaniami. Pomiędzy domami znajdowały się podwórza, ogrodzone od ulicy wysokimi, szczelnymi parkanami. Na ulicy w dość znacznej odległości jedna od drugiej znajdowały się głębokie studnie, zaopatrzone w tak charakterystyczne dla wsi rosyjskiej długie, wysokie żurawie. Idąc przez wieś nagle ze zdziwieniem usłyszałem, jak ktoś zawołał mnie po imieniu. Obejrzałem się i z ogromną radością zobaczyłem za sobą uśmiechającą się do mnie sympatyczną twarz Lońki, byłego laboranta z pracowni fotograficznej w Norylsku, w której pracowałem. Lońka był moim pomocnikiem. Żyliśmy ze sobą w idealnej zgodzie i przyjaźni. Niestety Lońka począł wykonywać jakieś prywatne, niedozwolone prace fotograficzne. Przyłapano go na tym. Na szczęście nie było to w mojej obecności, inaczej i ja bym za to odpowiadał i z całą pewnością zafasował znów kilka lat łagru. Lońka, jako komsomolec wyszedł z tego cało. Opuścił jednak laboratorium i znikł mi gdzieś z oczu. Sprawa jego mimo wszystko miała dla mnie jednak przykre następstwa. Już mi teraz nie dowierzano. Przedstawicielka Komitetu Partyjnego sprawująca "ideową" pieczę nad laboratorium zawyrokowała, że ja, jako bezpartyjny i do tego były więzień, do pracy w laboratorium fotograficznym nie mogę być dopuszczony, bo a nuż mógłbym tam przefotografować jakieś plany, a może nawet przekazywać Amerykanom mikrostruktury metali. Zostałem więc zwolniony z obowiązków

w pracowni fotograficznej i przeniesiony do laboratorium chemicznego. Moje miejsce zajęła młoda komsomołka, którą jeszcze musiałem przyuczać i przygotować do pracy w laboratorium fotograficznym.

Teraz Lońka, mimowolny sprawca mego przeniesienia, ogromnie ucieszył się. Okazało się, że jest stałym mieszkańcem wsi Atamanowo i przebywa teraz tutaj u matki. Dowiedziawszy się, gdzie mieszkam, zapowiedział się na drugi dzień z wizytą. Istotnie zjawił się o umówionej godzinie z butelką wina i zawiniątkiem jakichś ubogich, domowych specjałów. W oddalonym zakątku parku szybko wypróżniliśmy butelkę przyniesioną przez Lońkę. Nie chciałem być gościowi dłużny i skierowałem się do pobliskiego sklepu po drugą butelkę. Co prawda nogi miałem już jakoś niepewne, mimo to jednak wróciłem ze sprawunkiem i druga butelka wina dość szybko, dla zadokumentowania radości ze spotkania, została opróżniona przez nas. Po jej opróżnieniu poczułem jednak, że szybko zapadam w absolutny bezwład. Głowa ciążyła mi ku ziemi i zaczynałem tracić możność poruszania się. Lońka przeprosił mnie na chwilę, twierdząc, że ma tu jeszcze z kimś sprawę do załatwienia. Prosił, żebym na niego poczekał, bo chciałby jak najdłużej pobyć ze mną. Gdy odszedł, poczęło mi się jednak robić niedobrze, czułem, że zwalę się na ziemię. Bałem się kompromitacji. Ostatnim więc wysiłkiem doczołgałem się w ustronny kąt ogrodu, na tyły któregoś z domów, i tam padłem na progu opuszczonej werandy bez możliwości poruszania się. Zachowałem jednak całkowitą świadomość, słyszałem wszystko, co się wokół mnie działo. Po jakimś czasie doszedł mnie głos Lońki, który nawoływał chodząc po parku. Ani wyjść ku niemu, ani mu odkrzyknąć nie byłem w stanie i tak niestety zakończyło się to nasze miłe spotkanie, takie było nasze rozstanie się, więcej bowiem sympa-

tycznego chłopaka nie zobaczyłem, zaszły bowiem niespodziewane wypadki, które mi uniemożliwiły powtórne z nim spotkanie.

Jakoś jeszcze w początkach mojej pracy w laboratorium, bezpośrednio po oswobodzeniu z łagru, gdy otrzymałem paszport radziecki i straciłem wszelką nadzieję na powrót do kraju, otrzymałem dobrą radę. Udzielił mi jej laboratoryjny elektryk, rozsądny Rosjanin, z którym kiedyś miałem dość ostrą scysję. Poradził mi mianowicie, żebym zwrócił się z prośbą o zezwolenie na powrót do kraju do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pisałem w tej sprawie do ambasady polskiej w Moskwie, stamtąd jednak otrzymałem pismo, w którym mnie powiadamiano, że ambasada w sprawie mego powrotu do kraju nic mi nie może pomóc. I wtedy to, gdy na ten temat mówiłem z elektrykiem, udzielił mi rady naprawdę dla mnie zbawiennej.

Istotnie, prośba moja przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR została załatwiona przychylnie. Do Norylska przyszło w tej sprawie odpowiednie pismo. Teraz należało tylko - i to w szybkim tempie - załatwić wszystkie niezbędne formalności w odpowiednim urzędzie ośrodka administracyjnego Kraju Krasnojarskiego, do którego należał Norylsk, w mieście Krasnojarsku. Ponieważ sprawa była pilna, urząd w Norylsku przesłał moje papiery do mnie do "Tajożnego" z poleceniem natychmiastowego udania się do Krasnojarska i załatwienia tam spraw związanych z wyjazdem. Nigdy chyba w życiu nie przeżywałem bardziej gorączkowego stanu radosnego podniecenia. Skróciłem więc swój wypoczynek. Nie czekając na statek, którym płynąc po Jenisjeju mógłbym się dostać do Krasnojarska, zaraz następnego dnia potwornie roztrzęsioną ciężarówką, udałem się do tego miasta, aby co rychlej załatwić sprawę.

Do Krasnojarska dojechałem ledwo żywy. Długa jazda po

polnej, wyboistej drodze wykończyła mnie. Jadąc obserwowałem z zaciekawieniem rozległe pola dalekiego, północnego sowchozu. Przeważnie zasadzone one były kartoflami, które tu wybierało się z ziemi nie czekając, aż dojrzeją, gdyż krótkie północne lato nie stwarzało po temu warunków. Wskutek tego kartofle te szybko psuły się. Miejscami zieleniły się zagony drobnej kapusty i innych jeszcze roślin i jarzyn. Zboża na polach nie było, tutejsze warunki nie sprzyjały jego wegetacji.

Tak dotarłem do Krasnojarska. Sprawy we właściwych urzędach załatwiłem dość szybko i sprawnie. Otrzymałem paszport zagraniczny i już mogłem wyjeżdżać do Polski, jako obywatel radziecki podróżujący za granicę. Trzeba było wracać z powrotem do Norylska, tam polikwidować moje sprawy i stamtąd samolotem odlecieć do Moskwy. Wracałem do Norylska statkiem po Jenisjeju, jednej z najwspanialszych rzek azjatyckiego kontynentu. Podróży tej nie zapomnę chyba nigdy. Było to jedno z najwspanialszych moich przeżyć na dalekiej Północy, godna rekompensata za przeżyte udręki śledztwa, łagru i zesłania.

Mając whele wolnego czasu z ogromnym zainteresowaniem zwiedziłem Krasnojarsk, gród o bogatych tradycjach rewolucyjnych, jeden z największych ośrodków kulturalnych i przemysłowych dalekiej Syberii, dawna - założona w XVII wieku przez wędrownych Kozaków - osada. Czerwonawe grunty potężnego jaru nad Jenisjejem, w którym osada rozłożyła się, dały jej nazwę. Zwiedziłem domek - muzeum wielkiego malarza Surikowa, który tu się urodził i tu pracował. Podziwiałem w muzeum przyrodniczym potężny szkielet mamuta, znaleziony w wiecznie zlodowaciałym gruncie tundry, wypoczywałem nieco w pięknym parku, jednym z najwspanialszych na terenie Związku Radzieckiego, a potem ruszyłem w kierunku

portu rzecznego, spragniony spotkania z Jenisjejem.

Kiedyś, jeszcze jako uczniaka, szafirowa linia tej rzeki na szkolnej mapie nęciła urokiem zaczarowanej przygody, a oto teraz stać się ona miała treścią pełną barw, życia i piękna. Teraz miałem ujrzeć Jenisjej w całym jego majestacie. Gdy jako znękany i zmaltretowany więzień wyładowywałem się w Dudince spod pokładu statku, nie miałem ani możności, ani chęci dłuższego napawania się czarem tej rzeki. Krótka podróż do "Tajożnego" też nie dała mi wiele do tego okazji. Teraz oto Jenisjej widziałem przed sobą w całej okazałości. Pamiętna z mapy szkolnej niebieska linia żyła teraz przede mną. Srebrzyła się tysiącem błysków, czaruje majestatem olbrzymiej rzeki, nad której wodami żyją jednocześnie i wielbłąd, i biały niedźwiedź.

Stojąc na wysokim tarasie potężnego gmachu krasnojarskiego portu patrzę w twarz „Brata Oceanu," jak w starych legendach nazwany jest Jenisjej. Jedna z tych legend powiada, że gdy Jenisjej, który urodził się rzeką, doszedł do rozumu i spostrzegł, że cała jego potęga wodna ginie wlewając się do Oceanu, zapragnął sam zostać oceanem. Gdy jednak gromadząc potężne swe wody zatopił wokół ziemię, z której przestały się unosić ludzkie modły ku niebu, dziadek bogów wielki Nom wezwał go do siebie żądając, aby ustąpił z zalanych przezeń obszarów. Sprzeczano się długo, wreszcie Jenisjej zadecydował: "Dobrze, zostanę ponownie rzeką, ale raz do roku będę się stawał oceanem i będę uważany za 'Brata Oceanu".

Jak urzeczony patrzyłem na przedziwną krasę tej majestatycznej rzeki i teraz dopiero zaczynałem należycie pojmować czytane niegdyś słowa Czechowa: "Namiętni wielbiciele Wołgi nie obrażą się na mnie, gdy powiem, że nie widziałem w swoim życiu wspanialszej rzeki niż Jenisjej. Krasa Wołgi napomina

strojną, skromną, tęskniącą dziewczynę. Jenisjej za to jest jak rycerz potężny i szalony, który nie wie, jak wyładować swoją energię, co ze swoją począć młodością".

I oto teraz tą błękitną drogą Brata Oceanu mam się udać w kilkudniową podróż. Oszołomiony wrażeniami wszedłem na pokład luksusowego statku "Matrosow" i zająłem miejsce w wygodnej kajucie. Po chwili zawarczały motory, statek drgnął, zakołysał się, zatoczył szeroki krąg i prując piersią fale ruszył w rejs na daleką Północ. Za mną zostało miasto okolone jarami, dziesiątki statków i kutrów. Zostały wyniosłe arkady portu, który ~~swoją~~ długo był jeszcze widoczny, aż wreszcie zmalał i zniknął zupełnie zaciemniony dalą.

Samotny, daleki wygnaniec, może pierwszy Polak przemierzający te bezkresy, zostałem sam na sam z Jenisjejem. To nic, że urzeczeni majestatem wodnego mocarza, porozumiewając się niemal szeptem, na trzech pokładach statku gromadzili się podróżni. Ich obecność wcale mi w medytacjach nie przeszkadzała. W niemal nabożnym skupieniu wchłaniałem krasę Brata Oceanu. Wśród setek podróżnych, z których każdy miał tu jakiś swój cel, jakieś określone zamierzenia, ku którym dążył, ja byłem sam ze swoim niespokojnym sercem, z tęsknotą.

Statek mknął naprzód prując srebrne fale. Zniknęły już wszelkie ślady człowieka. Wzrok odpoczywał wpatrzony w ciemną zieleń tajgi. Milczące cedry i świerki tu i ówdzie przecięte białą smugą brzozy, oto obramowanie dalekich brzegów, po których ślizga się oko. Ale teraz drzewa poczynają piąć się coraz wyżej, cień pada na jasną powierzchnię wody. Groźnie nad topielą sterczą nagie skały, strojne u szczytów piuropuszami zieleni. To Skały Atamańskie wrzynające się w wodę, która tu kłębi się i wije, układa się w wiry i leje, szumi jakby niezadowolona z na-

cisku skał. Mijamy skały. Za nami zostaje jeszcze Prediwna - stocznia dostarczająca barż i kutrów - i oto już rozstaliśmy się ze wszelkimi śladami bytu człowieka. Jest coraz ciszej, coraz barziej dziko. Gdzieś w tajemniczych wnętrz tajgi powoli wypełza mrok. Rozlane szeroko srenrne wody, przemieniają się w złoto. Ognista kula słońca stacza się za ciemną ścianę lasu gęsto pokrywającego wysokie, skaliste brzegi, wśród których teraz płyniemy. Wreszcie giną ostatnie promienie słońca. Szarzeje złoto wodnych bezmiarów, szlak wodny staje się czarny, a na tej czerni jaśnieją tylko białe, ostrzegawcze boje.

Swój odpoczynek w kajucie ograniczyłem do minimum. Jak najwięcej czasu chciałem być na pokładzie, aby nic nie uronić z tego piękna, które los pozwolił mi oglądać. Mój poczciwy "Kijew" nie próżnuje. Czułym okiem obiektywu wyłapuje co ciekawsze obrazy, które wyłaniały się. Obrazy te, utrwalone na błonie, do dziś stanowią dla mnie wartościową pamiątkę, są świadectwem moich niezapomnianych przeżyć na błękitnym szlaku Brata Oceanu.

Urzekające piękne są Jenisiejskie Porohy. Oto zbliżamy się do pierwszego z nich - Porohu Kazaczyńskiego. O skały sterczące z głębin rozbijają się fale, wystrzelając białą pianą ku górze. Spokojny bieg wody mąci się, kłębią się wiry i leje, chyżość wody się zwiększa, brzegi zwężają się, w panującą dotychczas ciszę wdziera się potężny szum. Przejście na Porohu jest bardzo wąskie. Gdyby się w nim spotkały dwa statki, jeden musiałby się roztrzaskać o sterczące z wody kamienne olbrzymy. Kapitan nie spuszcza oka z roztańczonych fal, cała uwaga sterników skierowana jest na przyrządy sterownicze. Statek kołysze się mknąc szybko naprzód. Miejscami woda tworzy jak gdyby wzniesienia - to głazy podwodne. Biada statkowi, który by, nieświadom niebezpieczeństwa,

chciał wpłynąć na owe wzniesienia.

Wydostawszy się z ciasnych kleszczy porohu Jenisjej uspokaja się i znów szerzej toczy swe wody. Obniżają się brzegi: lekki zakręt i z prawej strony srebrzy się nowa, wielka masa wód. To Angara, splata się z Jenisjejem. Misza zaprzyjaźniony marynarz powiada mi o niej piękną legendę:

Bajkał - staruch bogaty, w którego przejrzystych głębinach żyły niezliczone rybne królestwa, miał mnóstwo żon, a jedną tylko córkę, Angarę. Kiedyś, latające na zachód mewy, przyniosły jej wieść o krasie i sławie witezia Jenisjeja. Serce dziewczęce spragnione miłości, poczęło kochać i tęsknić. W tęsknocie Angara postanowiła wybrać się i wpaść w objęcia wymarzonego kochanka. Trzeba było to uczynić w tajemnicy przed ojcem zazdrośnie strzegącym jedynej córy. Pewnego poranka Bajkał przebudziwszy się spostrzegł, że jego córka zniknęła. Oszalały z gniewu wzniósł spienione fale i potężnym głazem cisnął w stronę uciekającej. Głaz ten tkwi do dziś w miejscu, skąd Angara wypływa. Niestety, odpryski głazu oraz wzburzone i zmieszane z mułem fale prysnęły w oczy staruszka i oślepiając go na pewien czas. A tymczasem Angara osiągnęła cel i znalazła się w objęciach kochanka.

Olbrzymia przestrzeń od ujścia Angary aż do następnej rzeki Podkamiennej Tunguzki to bogate ongiś tereny złotodajne. Złota Tajga dostarczała niegdyś setek tysięcy kilogramów tego tak pożądanego kruszcu. Ale i dziś jeszcze dorzecza Angary tu i ówdzie błyną złotem. Kopalnie państwowe nie ustają w poszukiwaniach wysyłając w tajgę ekipy odpowiednio wyposażonych w nowoczesny sprzęt poszukiwaczy złota. Daleka Północ kryje w sobie jeszcze niezmierzone bogactwa.

Statek szybko posuwał się naprzód. W pewnej chwili ściana lasu na lewym brzegu się przerywa a w smudze przybrzeżnej wody

odbijają się kopuły cerkwi. Mijamy Jenisejsk, starą jeszcze z XVII wieku, osadę kozacką, którzy tu kiedyś w poszukiwaniu przygód docierali na gibkich łodziach. Za Jenisejskiem stopniowo gąszcz tajgi zamienia się w drobne krzewy i coraz częstsze nizinne przestrzenie. Zaczyna się tundra. Ale oto raz jeszcze piętrzą się góry, Jenisej gwałtownie się zwęża i z szumem wpada w skalny labirynt. Przed nami najwspanialszy na naszej drodze, niesamowicie piękny i dziki poroh: Poroh Osjinowski.

Podróżując tu kiedyś znakomity podróżnik norweski Fridtjof Nansen, który w dziko sterczących skałach doszukiwał się podobieństwa ze słynnymi fiordami w swojej ojczyźnie, tak poroh ten opisał:

" W miarę zbliżania się do porohu prąd stawał się coraz silniejszy. Wreszcie otwarł się przed nami wąwóz i wprost na nas runęła potężna, lśniąca masa wód. Imponujące widowisko! Na porohach woda pieniła się tylko koło przylądków, a pośrodku szybkość prądu wygładzała jej powierzchnię, na której gdzieniegdzie widać było przetocza i wiry. Motorowiec drżał pod naporem prądu, torując sobie drogę naprzód pod zbliżającym się lesistym wybrzeżem. Potężny pęd wody znosił nas na ukos. Zapadał już zmierzch. Nad głowami kłębiły się ciężkie, groźne chmury, które zdawały się zawadzać o czubki drzew, a pod nami niepowstrzymanie gnała naprzód rozszalała masa wód. Serce napełniało uczucie, że jesteśmy całkowicie zdani na łaskę sił przyrody. Robiło się coraz ciemniej; horyzont na zachodzie był pokryty sinymi chmurami, pośród których z rzadka przebijały się blaski zachodzącego słońca. Ciemna masa wód w piorunującym tempie przelatywała obok nas. Cały ten obraz tchnął jakąś ponurą potęgą".

Przeżywam to samo, co przeżywał przed laty wielki podróżnik. Prąd wody jest teraz bystry i wartki. Ogarnia nas lekki półmrok, powiało wilgocią i chłodem. Statek niesiony potężnym wirem wody zanurza się w mroczną gardziel skalną. Jenisiej, który od Kazaczyńskiego Porohu na drodze swojej nie spotykał żadnego oporu, jest teraz jakby zaskoczony tą nową przeszkodą. Pieni się, huczy i całą siłą wali w skały stojące mu na przeszkodzie. Statek wydaje się, że pędzi wprost na kamienne zapory i lada chwila roztrzaska się o nie. Chwile pełne niebywałej emocji i grozy! Z szumem rozpryskujących się fal łączą się tu i ówdzie głośne szmery przy skalnych ścianach: to potoki górskie, które wiją się zygzakowato z góry wpadając w ciemne wody Jenisieja. Gdzieniegdzie bieleją spod nich pasma nigdy nie tającego lodu, ostro rysując warkocz potoku na tle zielonego pokrycia gór.

Pędzimy wprost na sterczącą z wody skałę potężnych rozmiarów, ale lekki ruch sterem i statek zbacza mknąc szybko obok niej. Minęliśmy Korablik, skałę przypominającą wyglądem okręt, za nią drugą, nieco mniejszą, która teraz dopiero ukazuje się naszym oczom. Płyniemy w kamiennym labiryncie, przed statkiem nie widać otwartej przestrzeni, lawiruje zręcznie; posuwa się w przód, to znów zbacza, to się zbliża, to oddala od skał.

Przed długi czas najodważniejsi nawet myśliwi i rybacy nie odważali się przeprowadzać swoich barek przez Poroh Osjinowski. Nikt nie wiedział, w których miejscach ukryte są podwodne rafy, o które łódź może roztrzaskać się. Aż pewnego razu jeden z myśliwych włócząc się po skałach w czasie, gdy ruszały lody, zauważył, że kry spływają przez poroh w jakimś ustalonym szyku: jedne kłębiły się i wirowały jakby nie znając drogi, inne posuwały się równo i szybko, porwane silnym, niewidzialnym prądem. Po

dłuższej obserwacji tajemnica porohu stała się zrozumiała: miejsca, w których kry płynęły szybko i bez przeszkód, były miejscami wolnymi od skał podwodnych, a więc i bezpiecznymi dla przejścia statków. Ta spostrzegawczość dopomogła myśliwemu, został pierwszym, doskonałym pilotem przeprowadzającym statki przez niebezpieczne przejścia Osjinowskiego Porohu.

Drogą wytkniętą kiedyś przez spostrzegawczego myśliwego przechodzi teraz i nasz statek. Wydostajemy się z mrocznego labiryntu skalnego i niebezpieczeństw porohu. Prąd wody staje się słabszy, robi się jaśniej, wody znów rozlewają się szeroko połyskując w słońcu tysiącem srebrnych iskier. Brzegi jak gdyby się rozstępują. Karleje i ginie tajga. Na falach Jenisjeja, teraz już majestatycznych i powolnych, wpłynąłem w nieobjęte i tajemnicze królestwo tundry.

Mijamy ujście rzeki Podkamiennej Tunguzki, jednego z największych dopływów Jenisjeja, i wśród szarych, nizinnych brzegów, zbliżamy się powoli do północnego kręgu polarnego.

Jesteśmy w dawnym Okręgu Turochańskim, który służył kiedyś władzom carskim jako miejsce zesłania najbardziej niebezpiecznych przestępców politycznych. Surowość klimatu, nieprzebyte, martwe śnieżne pustynie, absolutnie niemal bezludzkie z rozrzuconymi tu i ówdzie czumami Ostjaków, brak jakichkolwiek środków komunikacyjnych - dawały gwarancję, że więzień nie ucieknie, a żarty tęsknotą i rozpaczą wyzbędzie się wszelkiej buntowniczej myśli. To tutaj właśnie w małej osadzie Kuriejka przebywał na zesłaniu - Józef Stalin.

I znów znalazłem się za Kręgiem Polarnym. Dalekie zarysy brzegów stają się ledwo widoczne w bladoniebieskiej dali. Coraz

częściej mijamy olbrzymie tratwy ciągnięte przez motorowce. To płynie nieocenione bogactwo syberyjskiej tajgi, do Igarki, portu i miasta, którego sensem i celem istnienia jest drewno. Zatoczywszy olbrzymie pókole statek wpływa do zatoki. Igarka ma ciekawą historię: Przed wielu laty, na skutek niesnasek rodzinnych, osiadł w tych dzikich, nie zamieszkałych ostępach północnych były bosman Jegor, trudniący się kiedyś przeprowadzaniem łodzi i barek przez niebezpieczne jenisejskie porohy. Poufale zwano go powszechnie Jegorka, mając go trochę za dziwaka. Ale Jegorka miał swoje zamiary. Ożenił się z Ostjaczką, a na brzegu zatoki pobudował osiedle. Zachęceni jego przykładem, poczęli się wokoło niego osiedlać tubylcy i tak powstało nowe osiedle dalekiej Północy - Igarka, jak Ostjacy przekształcili imię Jegora. Z czasem osiedle uznano za dogodne do budowy portu. Dziś jest to jedyny północny port na Jenisjeju, gromadzący idące na eksport drewno. Tutaj, przy wysokiej wodzie, przybywają już statki oceaniczne różnych państw zaopatrujące się w cenny ładunek - las syberyjski.

Po krótkim postoju w porcie wypływamy dalej. Zmęczony gwałtownym pędem w górnym swoim biegu Jenisjej odpoczywa. Płyniemy jakby po stojących wodach olbrzymiego jeziora. Jest piękna słoneczna noc.

W pewnej chwili, wśród tej martwoty i pustki, na dalekim, jasnym horyzoncie, pojawiają się nikłe początkowo, stopniowo coraz wyraziste zarysy konstrukcji. Pojawiają się potężne dźwigi, maszty przeróżnych statków i zabudowania wielkiego portu. To Dudinka. Po raz już drugi wpływam do tego portu.

Kiedyś, dziesięć lat temu, przybywałem tu od strony Oceanu Lodowatego, zmaltretowany więzień, w łachmanach, z nogami pookręcanymi w szmaty, dziś przybywam ze strony przeciwnej, od strony wielkiego lądu, dostatnio odziany, syt wrażeń i rozradowany oglądanym pięknem, z radzieckim paszportem zagranicznym w kieszeni.

Teraz już moje sprawy potoczyły się niemal w błyskawicznym tempie. Szybko polikwidowałem wszystko w Norylsku. Nie wiedząc, co mogę wziąć ze sobą, wszystkie niemal rzeczy porozdawałem, zachowując jedynie negatywy robionych na północy zdjęć, a tych miałem dużą ilość.

Z bliskimi osobami, z którymi zżyłem się w Norylsku, a którzy okazywali mi wiele przyjaźni i serca, pożegnałem się serdecznie i znalazłem się na lotnisku czekając na samolot, którym miałem odlecieć do Moskwy. Na lotnisku oczekiwała na samolot jeszcze grupka Rosjan odlatujących na "matierik". Odprowadzało mnie kilku przyjaciół. Z byłych więźniów norylskiego łagru odlatywała wraz ze mną młoda para narodowości żydowskiej, która, jak się później dowiedziałem, wkrótce znalazła się w Izraelu. Odlatywał też ze mną były łagiernik, Węgier, któremu ambasada węgierska w Moskwie przysłała węgierski dowód osobisty i pełną dokumentację wyjazdową. Mnie ambasada polska w Moskwie, gdy się do niej zwróciłem prosząc o takie dokumenty, odpowiedziała, że nic w tej sprawie uczynić ani pomóc mi nie może.

Lot do Moskwy trwał dwie doby. Na noc zatrzymaliśmy się w Nowosybirsku, tam, skąd pochodził mój norylski przyjaciel, poeta Wołodia. Lotnisko w Nowosybirsku poinformowane już zostało, że przybędzie tam "podróżujący" w tym stronach obcokrajowiec,

a z nim i obywatel radziecki z paszportem zagranicznym. Oczekiwano nas więc na lotnisku. Wprost z samolotu zaprowadzeni zostaliśmy do specjalnego, luksusowego lokalu, mieszczącego się na górnych kondygnacjach portu lotniczego. Tam już czekała na nas cała niemal ekipa eleganckich i usłużnych kelnerów, którzy postawili przed nami obfitą i wyszukaną kolację. Po zjedzeniu kolacji odprowadzeni zostaliśmy na noc do prawdziwie luksusowego apartamentu. Okazało się, że ta podróż z obywatelem obcego państwa wyszła mi na dobre. Mnie, jako obywatela państwa radzieckiego, nawet z paszportem zagranicznym, z pewnością z takim ceremoniałem i takimi luksusami by nie podejmowano.

Drugiego dnia z rana, znów po wystawnym śniadaniu, odlecieliśmy do Moskwy. Ten całodzienny lot zmęczył mnie niepomiernie. Wydawało mi się, że wyszarpnięto ze mnie wszystkie wnętrzności, szczególnie wówczas, gdy już dolatując do Moskwy raz po raz wpadaliśmy w powietrzne "dziury". Na lotnisku Moskiewskim wysiadłem ledwie żywy. Nie mogłem ustać na nogach, spod których uciekała mi ziemia. Zaopiekowały się mną dwie sanitariuszki, które po podaniu mi jakichś kropli odprowadziły mnie do taksówki. Tam już znalazły się i moje bagaże. Podałem kierowcy adres i wkrótce znalazłem się na Arbacie w mieszkaniu siostry mego przyjaciela - fotografa z Norylska - do której zostałem skierowany przez niego. Doznałem jak najserdeczniejszego, prawdziwie rosyjskiego przyjęcia. W gościnnym domu mojej nowej znajomej zabawiłem kilka dni pragnąc gruntownie, korzystając z okazji, poznać stolicę kraju, którego z pospolitego więźnia stałem się solidnym obywatelem. W związku Radzieckim nikogo to ani dziwiło, ani gorszyło. W tym kraju, w owym czasie obywatele dzielili się na trzy kategorie: tych, którzy siedzą, tych, którzy siedzieli, i tych, którzy będą siedzieli. Ja, okazuje się, należałem do

kategorii drugiej.

Po możliwie dokładnym zwiedzeniu Moskwy, nie chcąc nadużywać gościnności gospodyni, tymbardziej że z wyżywieniem wówczas jeszcze w Moskwie nie było tęgo, zebrałem się do wyjazdu. Uczynna gospodyni załatwiła mi bilet do Warszawy, odprowadziła na dworzec, dopilnowała właściwego umieszczenia mego skromnego bagażu - i oto znalazłem się, niemal temu nie wierząc, w pociągu, który miał mnie uwieźć w daleką podróż, jakże jednak małą w stosunku do przebytych już przeze mnie w tym kraju podróży: w podróż tym razem już ostatnią, podróż do wytęsknionej ziemi ojczystej.

Jakże jednak odmienna była ta podróż od tej, którą dziesięć lat temu tą drogę przebyłem. Wówczas w zamkniętym więziennym wagonie, wyniszczony skazaniec, dziś szanowany obywatel z paszportem zagranicznym. Inne było teraz moje położenie i inny kierunek drogi. Przez Smoleńsk, Mińsk, Baranowicze przybyliśmy do Wilna. Serce mi zadrgało. Wszak było to moje ukochane miasto. Tu się uczyłem, tu przeżyłem tyle chwil radosnych z buńczucznej nieraz młodości, młodocianych przyjaźni. Korzystając z postoju pociągu na stacji wyszedłem przed dworzec, aby na ukochane miasto, bodaj przelotnie rzucić okiem. Widok miasta zasłonił mi potwornej wielkości pomnik Stalina. Wróciłem wsiadłem do wagonu, z którego okna oglądałem z dala poniszczone dachy i wieże wileńskich kościołów.

Teraz pociąg jechał już przez znajome i bliskie sercu tereny. Ileż to razy na ziemie te patrzyłem z okien pociągu jeżdżąc do Wilna do szkoły, a ostatnio, już pod bombami niemieckimi, przedzierając się tam do pułku z kartą mobilizacyjną na piersi. W głowie mi się jakoś mieścić nie mogło, że oto ziemie te nie są

już nasze. Mimo to w głębi duszy modliłem się do tej ziemi jako do najbardziej swojej. Napawałem oczy jej widokiem i znajdowałem ją jeszcze bardziej piękną, bardziej kochaną, bardziej urzekającą od tej, na którą patrzyłem kiedyś, przed laty, w czasach beztroski i pokoju.

Na węzłowej stacji w Landwarowie pociąg zatrzymał się na dłuższy czas. Tu po raz pierwszy usłyszałem kolejarzy mówiących po polsku. Mowa polska podziałała na mnie jak narkotyk. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje... Skurcz zrodzony gdzieś w głębi piersi, dochodził do gardła, dusił i wreszcie przekształcił się w gwałtowny spazm szlochu. Płakałem... Z oczu kapały mi łzy ciężkie, a tak serdeczne... Wówczas pojąłem, co to są łzy szczęścia...

Tak kończy się moja epopeja, której etapy były tak liczne, naznaczone udręką i niedolą, ale nawet i w tej niedoli potrafiłem znajdować momenty piękne i urzekające. Przedziwne jest serce człowieka i błogosławiona jego moc znajdowania dobra, nawet w powodzi zła. Przez szeregi Armii Krajowej, przez więzienie, śledztwo, łagier i zesłanie wiodła mnie droga do wolnej ojczyzny, która niestety nie potrafiła zrazu docenić ogromu ofiary składanej na Jej ołtarzu przez takich jak ja. Nie stroję się w togę patosu i nie przybieram pozy bohatera. Bohaterem nie byłem. Byłem tylko maleńką cząstką masy ofiarnej młodzieży kresowej, która bez reszty oddała się Polsce. Ja przetrwałem szczęśliwie, ze mną z pewnością przetrwało wielu, wielu jednak życiem swoim przypieczętowało służbę Polsce. Tym, którzy przetrwali i gdzieś biją ich serca, ślę ku nim moje najlepsze myśli, Tych, którzy

nie przetrwali, otaczam czcią należną męczennikom i przed ich pamięcią chylę czoła.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Słowa, które tu skreśliłem, nie dyktowała nienawiść. Do Rosjan nie chowam urazy. Przeciwnie - bardzo ich sobie cenię i mam wśród nich wielu przyjaciół. W tym, co tu opowiedziałem, starałem się podkreślić, jak w ciężkich latach łagru i zesłania, poniewierki i upodlenia, widziałem wyciągnięte ku mnie pomocne dłonie Rosjan. Były między nimi i dłonie komunistów. Nie we wszystkich udało zabić człowieczeństwo.

Nie piętnuję Rosjan, piętnuję fatalną, obłędną i zakłamaną politykę okresu stalinizmu budzącą nienawiść i różniącą ludzi między sobą. Rozbieżność polityki polskiego Rządu Emigracyjnego z interesami Sowietów i państw sojuszniczych była nam obcy, i w żadnym wypadku nie wolno było nas obdarzać mianem "bandytów". Służyliśmy Polsce, nie polityce. Władzom radzieckim po ich wkroczeniu ujawniliśmy się, gdy nas jednak poczęto traktować jak bandytów i wywozić z ojczyzny w przededniu jej wyzwolenia, uszliśmy znowu w podziemie, w żadnym jednak wypadku nie zasłużyliśmy na prześladowania i na to zezwierzęcenie, z jakim nas traktowano. Może był to obłęd i szowinistyczne zaćmienie, którego dzisiejsi władcy Wielkiego Państwa Rad, w czasie pieretrojki być może się wstydzą. Przeświadczony jestem, że tak jest w istocie. Narody nie mogą się nienawidzieć, narody muszą się bratać i wzajemnie szanować. Jeśli po tylu krzywdach doznanych ze strony Rosjan, potrafiłem być w Ludowej Polsce długoletnim działaczem na niwie krzewienia przyjaźni polsko-radzieckiej, to jest chyba najlepszym dowodem, że idei tej hołduję.

Słowa, które skreśliłem, nie są, powtarzam, wynikiem nienawiści, one piętnują jedynie błędy, jakie naród silniejszy popełniał w stosunku do narodu słabszego. Miejmy nadzieję, że błędy te, rzucające piętno hańby na cały naród rosyjski więcej się nie powtórzą, a historia przypisze je błędom polityki i sferom rządzącym w Sowietach, które wówczas za politykę tę były odpowiedzialne.

Stan chorych ok. 140. Zbliżała się godz. 19.00, gdy wezwano mnie do dyrektora. Tam oczekiwał na mnie, jak się później zorientowałam. Kierownik Wydziału Polskiego NKGB. Powtórzyła się procedura z 12 maja 1940 r., kiedy to zostałam aresztowana w Białymstoku. Groźbą i obiecankami usiłowano mnie zmusić do zeznań na niekorzyść koleżanki A.U. Zdumiewał mnie fakt, że drobiazgowo znali treść rozmów prowadzonych po kolacji wigilijnej. Obstawałam niezmiennie, że właśnie dlatego, iż zależy mi na szacunku nie tylko swoich ziomków, ale również i ich, propozycja tego rodzaju współpracy jest dla mnie nie do przyjęcia. Około 7.00 rano podpisałam oświadczenie, że nikomu nie wyjawię treści prowadzonego przesłuchania, poprosiłam o odprowadzenaie mnie do szpitala, gdzie zdążyłam jeszcze zrobić obchód chorych.

ROK 1944.

Bardzo trudny. Dzieci na głodowych racjaach otrzymywanych tylko z Wydziału Oświaty. Marzną, głodują w nieogrzewanych salach. Ogólna apatia. Dzieci i personel zapadają na zdrowiu nagminnie. Biegunka, tyfus brzuszny, podagra. Od 1943 r. nie obchodzi się świąt naszych polskich i katolickich. W okresie Bożego Narodzenia również i ja leżałam w szpitalu. Zaprzyjaźniona rodzina pp. Żobuerów zabrała mnie do siebie na Dni Swiąteczne. Byli tak delikatni, że były nawet akcenty potraw tradycyjnych. Boże Narodzenie spędziłam również z nimi.

ROK 1945.

Boże Narodzenie. Wreszcie w Polsce.

Wacław Olasikowicz

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA ZA KRĘGIEM POLARNYM

Jest rok 1947 czy też 1948, dokładnie już nie pamiętam. W każdym razie był to już któryś z kolei rok pobytu w radzieckim łagrze. Na szczycie bramy obozu otoczonego gęstą siatką kolczastego drutu widniał ogromny szyld z napisem: „Ispravitielno trudowoj łagier 6 oddielenije" — „Poprawczy obóz pracy 6 oddział". Takich „poprawczych" obozów pracy było tam kilka. Znajdowały się one na dalekiej północy, aż za Kręgiem Polarnym, w najbardziej na północ wysuniętym mieście — Norylsku, o którym już pisałem.

Norylsk — to wielki ośrodek metalurgiczno-hutniczy, to miasto na wiecznych lodach, położony na siedemdziesiątym stopniu szerokości północnej. Wyrósł on na

gruncie, który pozostaje w stanie ciągłego przemarznięcia. W olbrzymim jego przemyśle, a w pierwszym rzędzie na ciężkich robotach budowlanych w trwającej stale jego rozbudowie, zatrudnione zostały liczne rzesze Polaków zwiezione tam wolą satrapy z Kremla ze wszystkich terenów Polski zajętych przez władze radzieckie.

W jednym z baraków wielkiego łagru, położonego niedaleko bramy głównej obozu i ja znalazłem swoją kwaterę na dziesięcioletni pobyt, na który skazany zostałem „sprawiedliwym" wyrokiem sądu radzieckiego. Przy drzwiach wejściowych zajmowałem dolną pryczę, która rychło zyskała zaszczytną nazwę „ambasady polskiej". Stało się to dzięki temu, że w łagrze nie wyzbyłem się swego nawyku społecznika utrzymując ożywione kontakty z rodakami zamieszkałymi w pobliskich barakach rozległego obozu. Szczególnie bliskie i serdeczne kontakty utrzymywałem z „bracią leśną", młodzieżą z szeregów Armii Krajowej. Nic też dziwnego, że w wolnych od pracy chwilach, przy mojej pryczy, gromadzili się moi współwięźniowie rodacy. Trwały wówczas długie, niekończące zda się rozmowy i dyskusje. A dyskutować było o czym. O tym, co się w łagrze dzieje, co w nim wydarzyło się komu, co zdołano podchwycić z rozmów ludzi wolnych w czasie pracy.

Tak nadszedł dzień 25 grudnia, święta Bożego Narodzenia. Była długa, niekończąca się noc polarna. Trwały ogromne zadymki i mrozy. Przed pierwszym świętem mróz znacznie przekroczył 40 stopni. Przy takiej temperaturze do roboty nas nie wyganiano, mieliśmy więc nieco więcej wolnego czasu, co ułatwiło spędzenie wieczoru wigilijnego w „ambasadzie polskiej", czyli przy mojej pryczy w baraku norylskiego łagru. Odwiedziło mnie kilku rodaków, a wśród nich naturalnie w pierwszym rzędzie kilku „chłopców leśnych" oraz jeden ksiądz katolicki. W głęboko wzruszającym, niemal modlitewnym nastroju, przełamaliśmy się, zamiast opłatka, szczyptami chleba życząc sobie pomyślnego odbycia wyroku i możliwie rychłego powrotu do Ojczyzny. Potem zapadło milczenie, ciche westchnienia i łzy w oczach...

I taka była wiglia Świąt Bożego Narodzenia spędzona przez grupę Polaków zesłańców w łagrze w Norylsku.

Kiedyś wolą białego cara rzesze zesłańców Polaków gnane były w odległe krańce Sybiru, teraz wolą cara czerwonego z Kremla, rzesze Polaków powędrowały dalej i znalazły się aż za Kręgiem Polarnym...

W milczeniu, ściskając mi dłonie, opuszczała mnie po tak spędzonej wigilii grupa moich przyjaciół współwięźniów rodaków. Sam zostałem na pryczy w „ambasadzie polskiej", myślą unosząc się w strony ojczyste, do jasnych mieszkań z migocącymi światłami choinek...